CÓRECZKA

Kochanek sprzed lat
Obietnica złożona małej dziewczynce
Sekret, który może kosztować życie wielu ludzi

Liliana Fabisińska

Liliana Fabisińska

CÓRECZKA

FILIA

Rozdział 1
Foremka z prosiaczkiem

To nie był dobry dzień na pieczenie pierniczków.

Zaklęła pod nosem, wkładając do koszyka słoik miodu. Niedokręcony! Po co ktoś odkręcał miód stojący na półce w supermarkecie? Wąchał? Próbował? W jaki sposób?

Otrząsnęła się z niesmakiem. Szybko zamieniła słoik na inny, wyciągnięty z głębi regału, i odetchnęła głęboko.

Wypuść powietrze powoli, licząc do dziesięciu – powtórzyła w myślach słowa obciętej na jeżyka instruktorki. Właśnie tym tekstem zaczęli spotkanie w ubiegłą sobotę. I w poprzednią. Tak naprawdę każde szkolenie zaczynali od relaksacji. Bez względu na to, czy to były zajęcia z koncentracji uwagi dla licealistów czy superzaawansowane szkolenie z terapii Gestalt, i tak musieli się na dzień dobry relaksować. Sama zmuszała do tego studentów na wszystkich warsztatach.

Szkoda, że nie mogła zabrać takiej instruktorki do domu. Przydałaby się przynajmniej dwadzieścia razy dziennie z tym swoim: „Żadne problemy dnia codziennego nie wyprowadzą cię z równowagi”. Ciekawe, czy na serio wierzyła, że te słowa staną się prawdą, jeśli tylko będzie się je powtarzać dostatecznie często.

Agata zerknęła na listę. Miód – jest. Mąka – jest. Jajka – są. Soda oczyszczona… O matko, w jakim dziale szukać sody? Z przyprawami? Ale kto chciałby przyprawiać jedzenie czymś tak niejadalnym?

Komórka w jej kieszeni zawibrowała leciutko.

Dziekan, oczywiście.

Oparła się o regał z owocami w puszkach i postanowiła przeczekać. Dziś nie może. Naprawdę. Nie tym razem. Obiecała Filipowi ten wieczór już rok temu, gdy okazało się, że wszystkie dzieci z jego przedszkola piekły pierniczki z babciami i mamami. Wszystkie oprócz niego. Teraz był już w zerówce, ale poza tym nic się nie zmieniło. Dzieci z jego klasy prawie codziennie opowiadały o tym, jak wałkowały i lukrowały pierniczki. Tylko on jeden nie.

Przekładała to pieczenie już dwa razy. Bo przecież praca… Nie, dziś nie przełoży.

Obiecała rano, że to będzie ten dzień. Jeśli tylko Filip zje w szkolnej stołówce cały obiad…

Zjadł, była tego pewna. Przecież tak marzył o tych pierniczkach.

Komórka pisnęła na znak, że ktoś zostawił wiadomość na sekretarce.

Nie musiała jej odsłuchiwać. Wiedziała doskonale, w jakiej sprawie dzwoni dziekan w piątkowy wieczór. Chciał jej wcisnąć jakąś grupę zaocznych. Nagłe zastępstwo. Jak tyle razy przedtem.

– Nie dzisiaj – powiedziała półgłosem, prostując plecy i ruszając w stronę kasy.

– Tata, tata! Mówiłem ci, że wróci wcześniej! – Filip w geście triumfu wyrzucił w górę swoje pozlepiane miodem dłonie i pobiegł do drzwi, jak mały konik potrząsający niesfornymi blond loczkami. – Tata! Obiecał przecież, że przyjdzie, zanim zaczniemy lukrować!

Uśmiechnęła się, jak zawsze, kiedy nikt nie mógł przyłapać jej na obserwowaniu synka, i szybko otworzyła drzwi.

– Marcin? Jakim cudem… – Kąciki ust momentalnie wróciły na swoje miejsce. To nie był Marcin. Jej wzrok, zawieszony prawie dwa metry nad ziemią, gdzie powinny być orzechowe oczy patrzące zza okularów w drucianej oprawce, trafił w pustkę. Spojrzała niżej. I jeszcze niżej. – Przepraszam, myślałam, że to mój mąż…

Drobniutka osoba stojąca na wycieraczce bez słowa złożyła ośnieżoną parasolkę i zsunęła z głowy mokry kaptur. Rude włosy rozsypały się we wszystkie strony.

– Przepraszam – powtórzyła Agata w nadziei, że to wywoła jakąś reakcję.

Nic z tego. Dziewczyna stała i wpatrywała się w nią spod przydługiej, krzywej grzywki.

Agata przestąpiła niecierpliwie z nogi na nogę.

– Opłatek? – próbowała zgadnąć. – Sprzedajesz opłatek? Dziękuję, już mamy.

Dziewczyna potrząsnęła głową.

Agata nie miała pojęcia, ile ona może mieć lat. Dwanaście? Osiemnaście? Diabli wiedzą. Z nastolatkami nic nie było oczywiste. To, że dziewczyna była niska, niczego nie przesądzało.

– Trochę się śpieszymy, pieczemy pierniczki – powiedziała, machając ręką gdzieś w głąb mieszkania, mniej więcej w kierunku kuchni. – Czy mogę ci w czymś pomóc?

Dziewczyna milczała.

– Pani pomóc? – poprawiła się Agata. Może jednak była starsza niż się wydawało? Może nie była przebranym za kobietę dzieciakiem, lecz kobietą przebraną za dziecko?

– Nie, chyba nie – odezwała się w końcu ruda, wzruszając ramionami w za dużej czarnej kurtce.

Agata obiecała sobie, że w sobotę zmusi Marcina, żeby naprawił wreszcie zamek w furtce. Przez domofon odprawiłaby tę dziewczynę w dwie sekundy.

No nic, trudno. Wzięła głęboki oddech, próbując zwalczyć irytację.

– W takim razie, skoro nie mogę pani w niczym pomóc… – mówiła najspokojniej jak umiała. – W takim razie… pani pozwoli, że wrócimy do pierniczków?

Filip wyglądał, jakby wymarzone ciasteczka przestały mieć dla niego jakiekolwiek znaczenie. Wpatrywał się w przemokniętą rudą nastolatkę jak zaczarowany.

– Popatrzę sobie. – To nie było pytanie. Ona po prostu oświadczyła, że będzie obserwować Agatę i jej synka! Po czym zrobiła krok przed siebie, przekraczając próg i wchodząc do przedpokoju w swoich ośnieżonych martensach. Rozejrzała się po mieszkaniu ciekawym wzrokiem.

Agata poczuła, że budzi się w niej lwica. Musiała bronić Filipa!

– My się chyba nie znamy, prawda? A więc nie ma żadnego powodu, żeby…

– Nie pamiętasz mnie – znów stwierdzenie, a nie pytanie. – Osiem lat temu byłaś moją mamą. Tylko przez kilka dni…

Agata roześmiała się i powiedziała:

– Co to za bzdury?!

A potem śmiech ugrzązł jej w gardle. Nagle zrozumiała.

– Kro... Zuzia? – wyszeptała, mierząc dziewczynę wzrokiem. Nie mogła w to uwierzyć. Ruda ani trochę nie przypominała tamtej Kropeczki. Kruchej drobinki z równiutko przyciętą czarną grzywką i poważnymi czarnymi oczami, wielkimi jak spodki.

Coś tu się nie zgadzało!

– Nie masz czarnych oczu. – Potrząsnęła głową. Spod szopy wściekle pomarańczowych włosów patrzyły na nią oczy kosmity. Turkusowe i trochę martwe. Zadrżała. Bała się tej dziewczyny. Tych oczu bez wyrazu.

Ruda sięgnęła dwoma palcami prosto do oka i wsadziła je pod powiekę. Agata wstrzymała oddech.

– Co ty robisz?!

Dziewczyna szybkim ruchem wyciągnęła z oka szkło kontaktowe w kolorze greckiego morza.

Po czym po raz pierwszy się roześmiała! Najwyraźniej przerażona mina Agaty była naprawdę zabawna.

Teraz patrzyła na nią jednym okiem turkusowym, pozbawionym emocji, a drugim czarnym jak u kruka.

– Już mi wierzysz? – zapytała, wbijając wzrok w ścianę nad głową Agaty.

Kobieta poczuła przenikliwy chłód. Objęła się ciasno ramionami. Najchętniej cofnęłaby czas i w ogóle nie otwierała tych drzwi. To miał być taki miły wieczór!

– Mamo, chodź! Nie umiem rozbić jajka! – Jak na zamówienie, Filip stanął w progu kuchni, umazany mąką i przyprawą do pierników. Uśmiechał się od ucha do ucha. – Znalazłem foremkę z prosiaczkiem. Wiesz, gdzie była?

– W niebieskim okrągłym pudełku z gwiazdkami na wieczku – odpowiedziała ruda błyskawicznie, po czym złapała się za usta. – Przepraszam. Nie chciałam.

Agata oparła się o ścianę i próbowała oddychać spokojnie, jak na treningu relaksacyjnym. Wiedziała, że powinna powoli wypuszczać powietrze, licząc do dziesięciu. Tyle razy uczyła tego innych ludzi. Ale dziś sama nie była w stanie tego zrobić.

– Znasz moje pudełko w gwiazdki? – zapytała trochę bez sensu.

Ruda nie odpowiadała.

– A gdzie stało to pudełko? – spytał Filip, strzepując mąkę z dłoni na wypielęgnowaną podłogę. – No, mamo? Wiesz, gdzie było?

Agata nie miała pojęcia. Nie pamiętała aż do dziś, że w ogóle ma takie pudełko. Patrzyła bezradnie na swoje marokańskie kafle obsypane mąką i umazane błotem, w które zamienił się śnieg z butów dziewczyny.

– Stało na górze, na szafkach kuchennych? Pod samym sufitem? – Ruda miała chyba dar jasnowidzenia.

Agacie coś przestało się zgadzać. Nawet jeśli ta dziewczyna faktycznie była Kropeczką… dziewczynką, która spędziła kilka dni w jej domu osiem lat temu… to przecież to nie był ten dom! Nie było w nim tych szafek! W tamtej kuchni w ogóle nie było wiszących szafek, tylko stary kredens. Skąd mogła wiedzieć?

– Nie wolno wspinać się po szafkach – powiedziała mechanicznie do Filipa. – Tyle razy ci mówiłam, że…

– Wiem, wiem, przepraszam. – Błękitne oczy synka wpatrywały się w nią błagalnie. Jakby chciał powiedzieć: „Nie psuj tego dnia”.

Wzięła głęboki oddech.

– Chodźmy do kuchni, upieczemy te pierniczki. Zuzanko, może się przyłączysz?

– Jestem Zuza. Nie Zuzia, nie Zuzanka. Zuza i już, dobrze?

– Oczywiście. – Agata przywołała na twarz coś na kształt uśmiechu. Przynajmniej miała nadzieję, że tak to wyglądało. – A więc, Zuza, masz ochotę robić z nami świąteczne pierniczki? Strasznie późno się za nie zabraliśmy, nie zmiękną do Gwiazdki, ale przynajmniej będą ładnie wyglądać na choince…

– Może pani wziąć moją foremkę z prosiaczkiem. – Filip uśmiechnął się, pokazując szczerbate dziąsła bez trzech jedynek i jednej dwójki. – Jest najładniejsza, prawda?

– To była kiedyś moja foremka. – Usta Zuzy zacisnęły się w wąską kreskę. – Ale nie ma sprawy, wytnij nią tyle prosiaków, ile chcesz.

Rozdział 2
Tylko jeden słoik

Atmosfera w kuchni była tak gęsta, że można by było ją kroić nożem. Zuza bez ruchu siedziała w kącie, patrzyła Agacie i Filipowi na ręce i nie odzywała się ani słowem.

Filip z początku próbował ją zagadywać.

– Też pieczesz z rodzicami pierniczki?

Cisza.

– Chcesz pozagniatać ciasto?

Cisza.

– Chcesz oblizać łyżkę po miodzie?

Cisza.

– Napisałaś list do Mikołaja? O co go poprosiłaś?

– Nie ma żad… – zaczęła Zuza, ale Agata była szybsza. Nikt nie będzie odbierał jej synkowi wiary w Świętego Mikołaja tydzień przed Bożym Narodzeniem! Nie pozwoli na to!

– Nie ma żadnej foremki, która by ci się podobała? Naprawdę? – powiedziała głośno, piorunując Zuzę wzrokiem. – A ta, z choinką? Zobacz, jaka śliczna!

– Albo ta z ludzikiem! – Filip podbiegł do niej radośnie. – Oglądałaś *Shreka*? To Ciastek, poznajesz? Zrobimy mu potem lukrowane guziczki.

– Ciastek jest fajny. – Zuza uśmiechnęła się, na moment zdejmując maskę zimnej twardzielki.

Agata odetchnęła z ulgą. Temat Mikołaja został zakończony, przynajmniej na razie.

– Chcesz wyciąć kilku Ciastków? Masz, powycinaj! Zabierzesz ich potem do domu, na swoją choinkę! – Filip wciskał foremkę w dłoń Zuzy. Bez skutku. Siedziała i patrzyła w ścianę swoimi wściekle turkusowymi, zimnymi jak stal oczyma.

Czterdzieści minut później na stole leżały już trzy tace pierniczków gotowych do lukrowania. Ale poza tym nic się nie zmieniło. Zuza siedziała bez słowa, Filip od czasu do czasu mówił coś w jej stronę z coraz mniejszym przekonaniem, a Agata

desperacko udawała, że wszyscy świetnie się bawią.

– Tamdadadam! Mam tu różową posypkę, zielony lukier, różowy lukier, czarne cukrowe perełki na oczy i najlepsze: siedem słodkich flamastrów, którymi możemy narysować wszystkie wzorki, jakie sobie wymyślimy – zawołała, czując się jak klaun zabawiający pacjentów hospicjum. – Od czego zaczynamy? Oczka prosiaczków, bombki na choinkach czy guziki u tych trzynastu Ciastków?

Filip kiwał się na swoich krótkich nóżkach, podekscytowany.

– Prosiaczki! – zdecydował w końcu. – A możemy je polukrować całe na różowo? Albo… – Aż pisnął, zachwycony czymś, co nagle przyszło mu do głowy. – Mamo, zrobimy czarnego prosiaczka? Tylko jednego, dla taty? Pamiętasz, jak nam opowiadał o śwince, którą miała jego babcia? I którą całą wysmarował pastą do butów, żeby babcia i dziadek nie sprzedali jej na targu? Zrobimy mu taką świnkę? Mamusiu, proszę! Tata tak się ucieszy…

Usta Zuzy zacisnęły się mocniej i leciutko zadrżały. Zupełnie jakby słowa chłopczyka poruszyły w niej jakąś bolesną strunę.

Agata poczuła, że dłużej nie wytrzyma.

– Bardzo się cieszę, że cię widzę, ale… dlaczego przyjechałaś? Dlaczego teraz? Coś się stało? Tata cię przysłał?

Cisza.

– Tata nie wie, że tu jestem – odpowiedziała w końcu niemal niedosłyszalnie.

– Na pewno się martwi. – Agata wyciągnęła rękę, żeby ją objąć, ale Zuza uchyliła się gwałtownie. Kobieta poczuła się tak, jakby ktoś wymierzył jej policzek. Nie rezygnowała jednak:

– Zuza, posłuchaj. Jesteś niepełnoletnia. Nie możesz tak sama jeździć po Polsce! Zadzwonię do twojego taty, dobrze? Podaj mi numer.

– Tata nie może teraz rozmawiać. Jest zajęty. – Wydęła usta i podciągnęła kolana pod brodę. – Zajmij się lepiej pierniczkami, lukier zastygnie i nic z tego nie wyjdzie. Nie zwracaj na mnie uwagi.

– Jak mogę nie zwracać… – zaczęła Agata, ale nagle poczuła się bardzo zmęczona. Piekły ją powieki i wiedziała, że za moment się rozpłacze. Musiała wziąć się w garść, dla Filipa. To był jego dzień. Jego wymarzone pierniczki.

Podjęła jeszcze jedną desperacką próbę. Będzie zachowywać się tak, jakby Zuzy tu wcale nie było. Będzie się dobrze bawić z Filipem, tak jak to sobie zaplanowali.

– Oczywiście, że zrobimy czarną świnkę. – Klasnęła w dłonie, prostując plecy i szczerząc zęby w telewizyjnym uśmiechu. – Z polewą czekoladową. Zaraz ją przygotuję.

Energicznym ruchem sięgnęła po tabliczkę gorzkiej czekolady i… bum! Słoik z miodem zsunął się z szafki i rozbił na środku podłogi. Szkło poleciało we wszystkie strony.

– Kurwa mać! – nie wytrzymała Agata. Nie mogła dłużej powstrzymywać łez.

Filip też. Z płaczem wybiegł z kuchni i trzasnął drzwiami. Na białych kaflach pozostały ślady miodu, który miał na kapciach.

– Nie ruszaj się – poleciła Agata dziewczynie, momentalnie biorąc się w garść. – Podnieś nogi. Muszę to uprzątnąć.

Łatwo powiedzieć! Litr płynnego miodu lipowego zdołał oblepić wszystko. Krzesła, dół piekarnika, dwie nogi od stołu. Wlał się pod szafki, lodówkę, kuchenkę. I jeszcze to szkło! Mnóstwo drobnych kawałeczków szkła. Zebrałaby je odkurzaczem, gdyby nie ten lepki miód… Zebrałaby miód szmatą, gdyby nie to szkło… Miotała się po kuchni z dwoma ścierkami, zmiotką i mopem. Włosy lepiły jej się do spoconego czoła, jakby też były wysmarowane miodem, a dłonie drżały z wściekłości.

Zuza siedziała nieruchomo, patrząc z zainteresowaniem na rękawicę do chwytania gorących naczyń, wiszącą koło kuchenki.

– Wtedy miałaś inną, prawda? Ze wzorkiem w wisienki?

Agata nie wiedziała, śmiać się czy płakać.

– W wisienki, faktycznie – odpowiedziała w końcu, wydłubując pięciocentymetrową szklaną drzazgę spod lodówki.

I znowu się rozpłakała.

– Myślałaś o mnie chociaż raz przez tych osiem lat? – zapytała nagle Zuza.

Łzy ciekły Agacie po policzkach równą strugą.

– Nawet nie wiesz… Nawet nie wiesz, jak często. Miałam nadzieję, że mnie nie pamiętasz. Że nie złamałam ci serca.

– Pamiętam wszystko. – Na twarzy Zuzy pojawił się na moment łagodny, miły uśmiech. – Najbardziej tę windę w twoim bloku. Jeździłam nią w tę i z powrotem przez godzinę, kiedy kłóciłaś się z tatą. I te kolorowe szybki w szafce w łazience.

Agata otarła rękawem łzy i pociągnęła nosem.

– Wciąż mam tę szafkę. Tylko dwie szybki się rozbiły i Marcin… mój mąż… wstawił zwykłe, przezroczyste.

Zuza zeskoczyła z taboretu i popędziła do łazienki.

– Uważaj! Szkło! – krzyczała za nią Agata. – Nie, nie tam. To gabinet mojego męża. Łazienka jest po prawej!

Zuza wróciła po minucie, może dwóch.

– Tak… to ona – potwierdziła z powagą. – Ta sama. Chociaż wtedy wydawało mi się, że była większa.

Agata uśmiechnęła się, próbując spojrzeć jej w oczy.

– Nic dziwnego. We wspomnieniach z dzieciństwa wszystko jest większe niż w rzeczywistości. Ludzie też.

Zuza pokręciła głową.

– Ty nie – powiedziała z powagą.

– Co nie? – Agata nie bardzo rozumiała, co dziewczyna ma na myśli.

– Ty nie jesteś we wspomnieniach większa niż naprawdę. Właściwie wydawało mi się, że jesteś mojego wzrostu.

Agata roześmiała się głośno. Trochę zbyt głośno i zbyt radośnie, by brzmiało to szczerze.

– Miałaś sześć lat! Nie mogłam być twojego wzrostu.

– Sześć i pół. Właściwie prawie siedem… – Zuza w skupieniu pokiwała głową i przymknęła oczy.

Agata czekała chwilę, czy powie coś jeszcze. Nie. Więc wróciła do sprzątania.

– Byłaś dużo niższa od taty – odezwała się nagle Zuza. – Wydawałaś się przy nim taka maleńka i krucha. Kiedy cię przytulał, bałam się, że cię zgniecie. Że cię stracę na zawsze.

Agata poczuła, że coś dusi ją w gardle. Jakaś wielka gula.

Wreszcie się odezwała, zaciskając drżące dłonie na kiju od szczotki:

– Nie zgniótł mnie.

Zuza przez chwilę w wielkim skupieniu bawiła się włosami. Ale tym razem Agata nie wracała do wycierania podłogi. Wiedziała, że dziewczyna jeszcze coś powie. I powiedziała, niemal szeptem:

– Nie zgniótł cię… ale i tak cię straciłam. Do dziś nie wiem, dlaczego.

Agata poczuła, że się czerwieni. Jak miała to wszystko wyjaśnić gimnazjalistce? I dlaczego… dlaczego akurat ona miała to robić?

– Ojciec nigdy ci nie opowiedział?

– Nigdy. – Zuza potrząsnęła głową. – Nie chciał o tym rozmawiać. Kiedy pytałam, zaciskał usta i mówił, że to skomplikowane, że jestem za mała. Tylko raz, kilka miesięcy temu, powiedział więcej. Wypił piwo, może dwa… i powiedział: „Wybacz. To nie powinno się zdarzyć. Nie powinniśmy cię wciągać w tę grę”. Wiesz, co miał na myśli?

Agata nie była w stanie wypowiedzieć choćby słowa. Pokiwała tylko głową. „W tę grę”! Mogłaby powtórzyć dokładnie to samo. To była gra… bardzo niebezpieczna. Zwłaszcza dla małych dziewczynek.

– Opowiesz mi, co się wtedy właściwie stało? – Zuza nie odpuszczała. Teraz to ona szukała wzroku Agaty. A Agata uciekała. Potrzebowała chwili, żeby zebrać myśli.

– Po to tu przyszłaś? Żeby zrozumieć tamtą sytuację? – zapytała, żeby zyskać na czasie. Chociaż właściwie… ona wcale nie miała czasu. Powinna biec do Filipa. Biedny, musiał się okropnie zdenerwować!

Zuza patrzyła na nią, nie mrugając oczami.

– Po co tu przyszłaś? – powtórzyła Agata. – Żeby zrozumieć?

Zuza zaprzeczyła, potrząsając rudymi włosami.

– Mam zgadywać?

Cisza. W powietrzu znów wisiało napięcie. Kobieta stała przez chwilę bez ruchu, a potem – z braku lepszego pomysłu – jeszcze raz przetarła podłogę mokrą szmatą.

– Myślałam, że się ucieszysz z mojej wizyty… – Głos Zuzy brzmiał teraz niemal zalotnie.

– Bardzo się cieszę, ale…

– Ale wolałabyś, żebym już poszła? – Dłonie dziewczyny zacisnęły się w pięści.

Agata zaprzeczyła gwałtownie:

– Nie, skąd. Naprawdę. Ja po prostu… Wiesz, nie możesz tu być bez zgody rodziców. Jesteś niepełnoletnia. Tata na pewno się martwi…

– Raczej nie. – Zuza znów wbiła wzrok w ścianę i jeszcze mocniej zacisnęła dłonie.

Agata poczuła, że na razie nie dowie się niczego więcej.

W kuchni panowała głucha cisza. W pokoju Filipa też. I to drugie zdecydowanie ją niepokoiło.

– Muszę iść do synka… Przepraszam, zaraz wrócę – powiedziała, zostawiając Zuzę samą.

Filip zasnął zapłakany na podłodze, z woreczkiem czarnych, lukrowych kuleczek w dłoni. Kulki rozsypały się po dywanie, kilka przylepiło się do małych paluszków chłopca. Jedna potoczyła się aż do nogi od biurka.

Znowu sprzątanie – jęknęła w duchu Agata.

Na palcach poszła po wilgotne chusteczki. Przetarła nimi zapłakaną buzię i lepkie rączki synka. Potem delikatnie przeniosła go na łóżko, rozebrała, umyła kolejnymi trzema chusteczkami i ubrała w piżamkę. Filip wymamrotał coś przez sen i kilka razy poruszył ustami, jakby szukał matczynej piersi. Uśmiechnęła się ze wzruszenia, wsunęła mu w ramiona poprzecieranego króliczka Puszka i przykryła synka kołdrą.

– Śpij słodko – szepnęła, gasząc światło. – Jutro upieczemy drugą partię… weselszą.

Stała przez chwilę z dłonią na klamce. Wiedziała, że musi wrócić do kuchni i do przerwanej rozmowy z Zuzą, ale wcale nie miała na to ochoty. Jak miała wyjaśnić jej wszystko to, co wydarzyło się osiem lat temu? Dlaczego nie zrobił tego jej ojciec?

Wzięła głęboki oddech, wyprostowała plecy i cicho wyszła z pokoju synka. I od razu w przedpokoju wpadła na swojego męża, który ośnieżony i roześmiany, w zaparowanych okularach i wełnianej czapce, wchodził właśnie do domu, dźwigając sześć czy siedem paczek owiniętych kolorowymi, błyszczącymi papierami.

– Wyłączyłaś telefon? – Patrzył na nią zdumiony. – Dzwonię od trzech godzin! Chciałem się poradzić, co kupić pod choinkę twojej mamie. I Toli. Nie wiem, czy dalej lubi Lego i dinozaury. A tu klops, moja żona nie odbiera! Musiałem zaryzykować i kupić to, co sam chciałbym dostać, będąc trzyletnią dziewczynką.

– Byłeś kiedyś trzyletnią dziewczynką? – Musiała się roześmiać. Marcin zawsze

umiał ją rozbawić, nawet w najtrudniejszych chwilach.

Zrobił tajemniczą minę, puścił oko i pocałował ją prosto w usta.

– To ja już pójdę. – Zuza wysunęła się z kuchni i złapała kurtkę z wieszaka. – Przepraszam, że tak wpadłam bez zapowiedzi.

I zniknęła, zanim Agata zdążyła zaprotestować.

– Kto to był? – Marcin, wciąż w kurtce i z paczkami w rękach, stanął jak wryty.

– Córka znajomych. Nie znasz ich. – Ostatnim, na co Agata miała w tej chwili ochotę, było wyjaśnianie mu, skąd się wzięła Zuza w jej życiu.

– Jakaś dziwna – mruknął Marcin, podając żonie część paczek i próbując zdjąć kurtkę.

– Dzisiejsze nastolatki zwykle są dziwne. – Agata wzruszyła ramionami.

– Umieram z głodu. – Marcin zrobił krok w kierunku kuchni i, po raz drugi w ciągu trzech minut, zamarł ze zdumienia. – Mój Boże, co tu się stało? Napadli nas?

– Ależ skąd. – Agata roześmiała się, zdecydowana bagatelizować wydarzenia ostatnich godzin. Miotała się po przedpokoju, usiłując odłożyć gdzieś paczki owinięte kolorowym papierem. – Nie rób takiej miny, proszę cię. To tylko jeden słoik miodu. Strąciłam go przez nieuwagę.

– Słoik? Słoik wyrzucił wszystko z naszych szafek? – Marcin z kolei nie chciał pokazać, jak bardzo jest zdenerwowany i wystraszony. – I czego w nich szukał? Złota?

Rozdział 3
Noworoczne postanowienia

Niełatwo było przekonać Marcina, że absolutnie nic się nie stało.

– Ktoś grzebał w naszych rzeczach – mówił roztrzęsiony, gdy już sprawdził, czy Filip jest bezpieczny i gdy zdjął przemoczone buty i skarpetki. – Powinniśmy zawiadomić policję.

– To tylko Zuzia. Znaczy, Zuza. – Agata machnęła lekceważąco ręką. – Nie przejmuj się, naprawdę. Pewnie się nudziła, kiedy kładłam Filipka spać.

– Nudziła się? I dlatego wywaliła wszystko z piętnastu szuflad na podłogę? To jakaś wariatka! Musimy zawiadomić jej rodziców.

– Nie mam z nimi kontaktu. – Agata nie zamierzała kłamać ani niczego taić. Nie miała jednak siły na opowiadanie historii sprzed ponad ośmiu lat. Nie teraz. Jutro. – Od lat się nie widzieliśmy. Nie wiem, co tej dziewczynie przyszło do głowy, żeby przyjechać tu właśnie teraz. Nie miałam pojęcia, że w ogóle mnie pamięta.

Marcin patrzył na nią przez moment i już otworzył usta, żeby coś powiedzieć, gdy nagle w progu kuchni stanął zaspany Filip, trzymając za uszy swojego pluszowego królika.

– Gdzie Zuzia? – zapytał. – Już poszła? Szkoda. Chciałem jej dać kilka pierniczków. Jest taka smutna…

– Sam widzisz – szepnęła Agata do męża. – On ją lubi. I jej ufa.

– Ja nie – westchnął Marcin. – I wolałbym, żeby więcej nie wchodziła do naszego domu… Chodź, synku. Już późno. Zaniosę cię do łóżeczka.

– Tata! – Filip zarzucił ojcu rączki na szyję. – Zdążyłeś na lukrowanie, tak jak obiecałeś.

Agata obiecała sobie, że znajdzie Zuzę i jej ojca. I sprawdzi, co się u nich dzieje. Czuła, że ta wizyta, akurat teraz, nie była przypadkowa. Miała wrażenie, że Zuza rozpaczliwie potrzebuje pomocy. Gdyby tylko powiedziała jej, o co chodzi, zamiast się bawić w jakieś dziwne gierki!

Naprawdę chciała ją odszukać… ale po świętach. Mieli gościć u siebie na Wigilii

teściów i dwie siostry Marcina z mężami i dziećmi. Oraz, oczywiście, mamę Agaty. Ostatnie dni przed Gwiazdką oznaczały więc nieustanne sprzątanie, gotowanie, bieganie po sklepach… i pracę. Masę pracy. Dla Agaty koniec grudnia zawsze był gorący. Wszystkie stacje telewizyjne potrzebowały teraz ekspertów od wychowania. Ona była takim ekspertem, zaproszenia płynęły więc szerokim strumieniem. Czy zechce wypowiedzieć się w programie o tradycji i jej roli w wychowaniu dziecka? Czy skomentuje zagadnienie drogich prezentów kupowanych dzieciom? Czy powie, dlaczego należy unikać kupowania maluchom żywych niespodzianek, czyli psów, kotów i jeży pigmejskich? Bardzo prosiliby o dziesięciominutową rozmowę w programie na żywo o tym, w jakim wieku dziecko powinno przestać wierzyć w Świętego Mikołaja i co zrobić, jeśli uparcie w niego wierzy, mając lat dziesięć, dwanaście czy piętnaście. A może zechciałaby wypowiedzieć się na temat dawania dzieciom pieniędzy zamiast prezentów? Czy jej zdaniem uczy to przedsiębiorczości i samodzielności, czy raczej odziera Boże Narodzenie z magii?

Była ulubionym ekspertem od dzieci wszystkich radiostacji i telewizji śniadaniowych. Ale przecież miała też swoje obowiązki na uczelni. Studenci przypominali sobie pod koniec semestru o pracach, których nie oddali, i zarzucali ją grubymi skoroszytami, pełnymi drobno zadrukowanych kartek.

– Nie przejmuj się, wszystko przygotuję. – Marcin objął ją i przyciągnął do siebie, gdy trzy dni przed Wigilią wróciła do domu o pierwszej w nocy, zielona ze zmęczenia. – Jeśli zdołasz, spisz listę tego, co zostało jeszcze do zrobienia. A jeśli się nie uda, to trudno. Sam wymyślę najważniejsze rzeczy.

– Jesteś kochany. – Agata oparła głowę na jego ramieniu. – Co ja bym bez ciebie zrobiła?

Pocałował ją w czoło i postukał palcem w zegarek.

– No już, idź spać. Szybko. Zajmę się wszystkim, słowo harcerza.

Faktycznie się zajął. Wigilia była doskonała. Wszyscy się najedli, wszyscy dostali wymarzone prezenty, a Filip i jego mała kuzynka Tola byli przekonani, że Mikołaj zadzwonił do drzwi akurat wtedy, kiedy wyglądali przez okno, szukając pierwszej gwiazdki.

– Za rok go zobaczę! Muszę go zobaczyć! Zaczaję się tu, a Tola z drugiej strony… – Filip skakał z emocji po całym pokoju, ściskając w dłoniach czerwoną lokomotywę z napisem „Hogwarts Express”. Dokładnie taką, jaką narysował w liście do Mikołaja.

– Dziękuję – szepnęła Agata mężowi, kiedy pożegnali ostatnich gości i układali naczynia w zmywarce.

– Dziękuję – szeptała tydzień później, kiedy zorganizował w ich domu sylwestra dla czwórki najbliższych przyjaciół. Filip na tę jedną noc przeniósł się do babci, a oni siedzieli przy stole, na którym stał wielki grill elektryczny, i zaśmiewali się, wspominając sylwestra sprzed siedmiu lat. Agata i Marcin wymienili

porozumiewawcze spojrzenia. To wtedy, siedem lat temu, o północy dał jej pierścionek zaręczynowy. Całowali się godzinami, nie przejmując się znajomymi, z którymi spędzali tamtą noc. W walentynki wzięli ślub. A jedenaście miesięcy później urodził się Filip.

– Kocham cię – szepnął jej do ucha.

– Ja ciebie też – odpowiedziała, układając na grillu kolejne kawałki mięsa i bakłażana. I nerwowo zerkając na zegarek. O trzeciej w nocy miała jechać do radia skomentować w audycji na żywo zagadnienie postanowień noworocznych. Nie mogła nawet napić się szampana. Za nowy, szczęśliwszy rok. I za zdrowie Justyny i Tymona, którzy zaskoczyli ich przed chwilą informacją, że wyjeżdżają na pół roku do Stanów. A po powrocie zamierzają wziąć ślub.

– Pozazdrościliśmy wam trochę – mówiła Justyna, pokazując pierścionek z szafirami. – I wiecie co? Zaraz po ślubie postaramy się o młodszego kolegę dla Filipa! To nasze postanowienie na ten rok!

– Czy pani ma jakieś noworoczne postanowienie? A może eksperci niczego sobie na nowy rok nie obiecują? – zapytała dziennikarka pod koniec rozmowy, gdy omówiły już kwestię odchudzania, zapisywania się pierwszego stycznia na kursy językowe, generalnych porządków w szafach i naprawiania stosunków z sąsiadami.

Agata chciała odpowiedzieć jakoś lekko i zabawnie. Za to właśnie była lubiana przez media. I przez studentów. Ale nagle zmieniła zdanie.

– Mam takie postanowienie – powiedziała bez uśmiechu, bawiąc się obrączką na palcu. – Chcę odnaleźć mojego przyjaciela sprzed lat i jego córkę. Widziałam ją niedawno, ale nie zdążyłyśmy dłużej porozmawiać. – Wzięła głęboki oddech. Wiedziała, że Marcin słucha tej audycji razem z czwórką przyjaciół wciąż obecnych w ich domu. A mama ją nagrywa, jak zawsze, i odsłucha z taśmy wcześnie rano. Musiała ostrożnie dobierać słowa. – Grzegorz, jeżeli mnie słyszysz, odezwij się, proszę. Twoja cudowna córka wie, gdzie mnie szukać.

Dziennikarka uniosła brwi. Tego nie miała zapisanego w scenariuszu. Zapanowała niezręczna cisza, wprawiająca w panikę każdego radiowca. Brodacz siedzący za konsoletą zaczął dawać nerwowe znaki ręką. Agata postanowiła ratować sytuację. To w końcu ona wpakowała tę blondynkę i brodacza w kłopoty.

– Jak państwo słyszą, nawet psycholodzy, pedagodzy, coache i inni eksperci od ludzkiej duszy ulegają czasami magii noworocznej nocy i próbują zacząć o północy od początku. Obiecują sobie, że będą mniej pracować, więcej rozmawiać z dzieckiem, jeść warzywa, rzucą palenie… albo znajdą starych przyjaciół, z którymi stracili kontakt. I tak samo jak innym ludziom, zwykle nic nam z tego nie wychodzi.

– To chyba najlepsza puenta dzisiejszego programu. – Blondynka w wielkich słuchawkach odzyskała głos. – Dziękujemy naszemu gościowi, doktor Agacie Marks z Instytutu Psychopedagogiki i Tera…

Ostatnie słowa zagłuszyła rytmiczna piosenka, którą Agata słyszała po raz pierwszy w życiu. Pożegnała się z dziennikarką, realizatorem dźwięku i dwoma mężczyznami w wyciągniętych swetrach, których roli nie zdołała odgadnąć. Idąc do windy, usłyszała z głośnika wesoły głos blondynki:

– Tej piosenki nie trzeba nikomu przedstawiać. To największy hit minionego roku, zdobywca wszystkich nagród, od czerwca okupujący pierwsze miejsca list przebojów…

Agata westchnęła zrezygnowana. Powinna chyba obiecać sobie, że będzie mniej pracować. I słuchać w samochodzie znowu radia zamiast audiobooków, które miały pomóc jej w szlifowaniu brytyjskiego akcentu.

Następnego dnia obudziła się o dziesiątej. Marcin pochrapywał obok, leżąc na wznak bez piżamy. Kiedyś zawsze spał nago. Teraz pozwalał sobie na to tylko wtedy, gdy Filipa nie było w domu. Położyła głowę na jego ramieniu i ze wzruszeniem zauważyła pierwsze siwe włosy na klatce piersiowej. Pocałowała go delikatnie. Skoro nie ma Filipa… i obydwoje mają dzień wolny…

– Kim jest Grzegorz? – zapytał, otwierając oczy i siadając gwałtownie. – Dlaczego nagle tak ci zależy na spotkaniu z nim?

O matko! Scena zazdrości o zamierzchłą przeszłość? Roześmiała się. Marcin był najmniej zazdrosną osobą, jaką znała. Nie przejmował się jej wyjazdami ani przyjaźnią z Tomkiem, którego pocieszała po rozwodzie przez trzy noce z rzędu. Nie martwiło go, że studenci dzwonili w niedzielę o ósmej rano, a ich wiadomości nagrane na automatycznej sekretarce wcale nie brzmiały oficjalnie. Ufał Agacie, a ona ufała jemu. A teraz, nagle, taki szum? Przez jedno zdanie powiedziane w radiu?

– Zlituj się. – Pocałowała go jeszcze raz, ale nie zareagował. – To było dawno, dawno temu… Widziałam go wtedy pierwszy i ostatni raz w życiu. Po prostu chciałabym się dowiedzieć, o co chodzi z tą wizytą Zuzy.

– Nie możesz zwyczajnie zadzwonić? Do niej albo do niego?

– Nie mam numeru – powiedziała Agata zgodnie z prawdą. – Ten sprzed ośmiu lat nie odpowiada. A Zuza najwyraźniej wie, jak mnie odszukać.

– Wszyscy w Polsce umieliby cię odszukać, moja celebrytko. – Marcin nareszcie odzyskał dobry humor. Objął ją i pocałował, tak namiętnie jak siedem lat temu. Zadrżała, przywierając do jego nagiej klatki piersiowej. Powoli rozpiął jej flanelową piżamę. Zaczął schodzić ustami coraz niżej. Przygryzła wargę, żeby nie krzyknąć. Zamknęła oczy.

Dzwonek telefonu wdarł się w ciszę, przerywaną tylko ich szybkimi oddechami.

– Nie odbiorę – wydyszała Agata. – Nie odbiorę. Nie przestawaj, proszę.

– Odbierz. – Marcin przetoczył się na drugą stronę łóżka, usiłując dosięgnąć jej komórki. – To może być ten Grzegorz. Odbierz i zakończ tę historię.

Ale to nie był Grzegorz, lecz matka Agaty.

– Córeczko, co to za sprawa? – Jej głos był bardziej piskliwy niż zwykle. Musiała być naprawdę zdenerwowana. – Co to za Grzegorz? Ja nie znam nikogo takiego! Czy ty się wdałaś w jakiś romans?

Rozdział 4
Królewna Śnieżka

Mijały dni, a ona nie mogła zapomnieć o tamtym spotkaniu. Za każdym razem, gdy dzwonił telefon, miała nadzieję, że to Zuza albo Grzegorz. Każdy samochód parkujący pod ich domem wywoływał przyśpieszone bicie serca. Ale nic się nie wydarzyło. Chwilami miała wrażenie, że tamten dziwny grudniowy wieczór tylko się jej przyśnił. Zuza zniknęła równie nagle, jak się pojawiła.

Agata wciąż niemal codziennie obiecywała sobie, że ją odszuka i dowie się, dlaczego przejechała pół Polski, żeby się z nią zobaczyć. Ale te styczniowe dni były stanowczo za krótkie. Filip wciąż chorował i opuszczał zajęcia w zerówce. Gimnastykowali się z Marcinem potwornie, żeby zapewnić mu opiekę. Błagali jej mamę, żeby z nim została. A jeśli nie mogła, Marcin urywał się z pracy na kilka godzin, a Agata przekładała zaliczenia ze studentami albo seminaria… Jak na złość, na uczelni akurat zbliżała się sesja, wszyscy więc zaczęli nagle ze wszystkim bardzo się śpieszyć. Od rana do wieczora przyjmowała ostatnie, spóźnione prace zaliczeniowe, egzaminowała studentów, którzy chcieli zdawać w terminie zerowym, i, często długo po godzinach pracy, siedziała z magistrantami na seminariach. W październiku uroczyście wręczono jej nagrodę samorządu studenckiego dla najbardziej cenionego wykładowcy. To sprawiło, że Agata pracowała jeszcze ciężej. Cały czas starała się udowodnić, że naprawdę na ten tytuł zasłużyła. Wiedziała, że wielu starszych naukowców uważa, że jej się nie należał. Była przecież tylko doktorem, bez habilitacji. I pracowała tu zaledwie od ośmiu lat.

Od ośmiu lat… Nagle stanął jej przed oczyma tamten dzień. To były pierwsze tygodnie jej pracy na uczelni. Myślała, że złapała Pana Boga za nogi. O etacie asystenta marzyli wszyscy doktoranci, a dostała go właśnie ona. Uśmiechnęła się na wspomnienie onieśmielonej, nerwowo potakującej wszystkim dookoła dziewczyny, którą wtedy była. Trzeci rok z rzędu próbowała skończyć pisać swoją pracę doktorską o traumie dziecka w rodzinie patchworkowej. Jej promotor tracił cierpliwość, gdy po raz dziesiąty spóźniała się z oddaniem kolejnego rozdziału, bo trafiła na jeszcze jedną ciekawą książkę, którą koniecznie musi do niego włączyć.

– Nie masz męża, dzieci, chorej matki ani drugiego etatu, więc usiądź na tyłku i napisz to do samego końca – mówił profesor. – Nie szukaj kolejnych książek i artykułów. Nie rób już żadnych badań. Masz wszystko. Tylko wreszcie to napisz. Zobaczysz, że wstrząśniesz polską pedagogiką.

Śmiała się, pewna, że z niej kpi. Nie przypuszczała, że temat, który sobie wybrała, przyniesie jej siedem nagród i międzynarodowe uznanie, a w dodatku sprawi, że stanie się drugą Supernianią. Wtedy, osiem lat temu, nikt nie zapraszał jej do radia czy telewizji jako eksperta od wychowania, od emocji dziecka, a w końcu już prawie od wszystkiego. Każdy dzień był wyzwaniem. Na widok dziekana ze strachu uginały jej się kolana. I właśnie tego ciemnego, deszczowego dnia, pod koniec października, do jej pokoju wpadła jak burza asystentka dziekana. Oczywiście musiała przyjść akurat wtedy, gdy Agata spóźniła się do pracy prawie czterdzieści minut przez upiorny, gigantyczny korek na moście. Nie zdążyła jeszcze zdjąć kurtki, z włosów na podłogę kapał jej deszcz.

Dobrze, że to pani Ewa, a nie książę na białym koniu – pomyślała wtedy, mimo stresu, i uśmiechnęła się pod nosem.

– Dziekan potrzebuje *Królewny Śnieżki* Disneya – powiedziała asystentka bez żadnych wstępów czy powitań. – Na konferencję w piątek. Nie ma jej w żadnym sklepie. W żadnej księgarni. Biały kruk. Nie ma w żadnej wypożyczalni z tych, do których dzwoniłam. Nie mogę się tym dłużej zajmować, mam na głowie stu dwudziestu konferencyjnych gości, noclegi, poczęstunek… wszystko. Już nie wiem, jak się nazywam. Naprawdę… Niech pani wygrzebie ten film spod ziemi, pani Agatko. Zasłuży pani na jego dozgonną wdzięczność. Przekona się pani, że bardzo się to pani przyda.

Ostatnie zdanie brzmiało prawie jak groźba.

– Na DVD czy na kasecie? – zapytała Agata.

Asystentka spojrzała na nią jak na wariatkę.

– Jest dwudziesty pierwszy wiek. Oczywiście, że na DVD!

– Oczywiście. – Agata przygryzła wargę. – Zrobię, co w mojej mocy.

– Proszę zrobić więcej! Znacznie więcej! Proszę użyć nawet mocy diabelskich, jeśli będzie trzeba – rzuciła pani Ewa i wypadła z pokoju równie gwałtownie, jak do niego wpadła.

– Nie patrz na mnie – jęknęła Gośka, siedząca przy biurku pod oknem, mimo że Agata stała do niej tyłem. – Nie pomogę ci. Przepisuję dziekanowi siedemnaście stron tabelek na tę piątkową konferencję.

– Poradzę sobie sama. – Agata uśmiechnęła się krzywo. *Królewna Śnieżka* to przecież znany film. Nie będzie trudno go znaleźć.

Po pięciu godzinach poszukiwań poczuła, że zbiera się jej na płacz. W żadnym

sklepie nie było *Śnieżki*. W żadnej bibliotece. Na żadnym eBayu ani Allegro. To znaczy, owszem, była jedna. Używana. Na kasecie VHS.

– Bierz kasetę – poradziła jej Gocha, gdy poszły zrobić popołudniową kawę.

– Ale przecież pani Ewa mówiła…

– Niech mówi, co chce. Bierz kasetę, idź do ksero, tego koło warzywniaka, i poproś, żeby ci przegrali na płytę.

– W punkcie ksero? – Agata postukała się w głowę. – Co oni mają wspólnego z kasetami?

– Rozwinęli działalność, jakieś pół roku temu – wyjaśniła Gośka. – Nie zauważyłaś, że przybili nowy szyld?

Agata nie zauważyła, ale natychmiast nadrobiła to niedopatrzenie. Otuliła się ciasno kurtką i wybiegła na deszcz. Upewniła się, że kasetę faktycznie bez problemu da się przegrać na płytę i wróciła do komputera.

– Pewnie już ktoś ją kupił – jęknęła.

Ale nie. *Śnieżka* wciąż tam była. Tyle tylko, że…

– O nie! To aukcja, a nie „kup teraz”. – Nie mogła uwierzyć własnym oczom. – Licytacja kończy się za dwanaście dni.

– Dzwoń do tej firmy i błagaj, żeby ci sprzedali przed terminem. Zaoferuj im dziesięć razy więcej niż ich cena wywoławcza. Wysoka jest? – zainteresowała się Gośka.

– Dziewięćdziesiąt dziewięć groszy. – Agata parsknęła śmiechem. – To nie firma tylko jakaś młoda matka. Napisała: „Kaseta z filmoteki mojej córeczki, oglądana dwa razy”. Uczelnię stać chyba na przebicie ceny wyjściowej nawet dwadzieścia razy. Jak myślisz?

– Myślę, że i pięćdziesiąt razy pani Ewa łyknie bez kłopotu. Tylko wiesz, uczelnia nie ma raczej konta na Allegro. Ty masz? Kupujesz ze swojego?

– Mam – mruknęła Agata. W pracy nikt nie wiedział o jej kolekcji starych obieraczek do warzyw. Potrafiła spędzać na Allegro i eBayu długie godziny, szukając nietypowych egzemplarzy. Gdy kończyła się jakaś aukcja, była w amoku. Raz nawet zdarzyło jej się spóźnić na ćwiczenia ze studentami. Ale wygrała licytację!

– Dzwoń – poganiała ją Gośka.

To był kolejny sekret. Może nawet większy niż jej wielka słabość do obieraczek. Agata panicznie się bała rozmów telefonicznych z nieznajomymi. Nie minęło to zresztą do dziś. Popularna pani doktor, w audycjach radiowych i telewizyjnych elokwentna i zabawna, tak naprawdę drżała z lęku przed wybraniem obcego numeru i wyłuszczaniem swoich racji. Dziś umiała już nad tym doskonale zapanować. Wtedy – jeszcze nie.

– Wolę napisać – oświadczyła. I usprawiedliwiła się szybko: – Gdyby pani Ewa albo sam dziekan pytali co i jak, będę miała wszystko czarno na białym.

– Może i słusznie – zgodziła się Gośka.

A więc napisała. Wciąż musiała mieć ten list gdzieś na dysku, w starym komputerze.

– Marcin, ten stary notebook jeszcze działa? – zapytała poważnie, przerzucając przepastne szuflady komody. Nie zaglądała tam od wieków. Komputer wymieniła od tamtej pory co najmniej trzy razy.

– Ten stary, najstarszy? – Mąż oderwał się od segregowania prania i spojrzał na nią z zaciekawieniem. – Zmieniasz zainteresowania badawcze? Przenosisz się na wydział archeologii? Takimi prehistorycznymi egzemplarzami nie może się interesować chyba nikt normalny?

– Archeologia szufladowa. – Pocałowała Marcina w kłujący policzek.

Uznała, że lepiej nie mówić nic niż kłamać. A na opowiadanie całej historii wciąż zupełnie nie miała ochoty.

Komputer włączał się chyba przez dwadzieścia minut. Śmierdział potwornie, ale działał. Agata cofnęła się w programie pocztowym do dat sprzed ośmiu lat.

Jest! Znalazła krótkiego maila, od którego wszystko się zaczęło.

Od: AgataSalata

Do: Magdusia27

Szanowna Pani, piszę do Pani z wielką, ogromną, idiotyczną prośbą. Prośbą o zakończenie aukcji przed czasem. Od razu, teraz. Cena nie ma znaczenia. Zapłacę, ile Pani zechce, choć nie powinnam chyba tak od razu tego zdradzać. Ale od tej „Królewny Śnieżki” zależy moja przyszłość, moja kariera. To jest być albo nie być mojego doktoratu. Mogę przesłać zaświadczenie z uczelni. Chodzi o pewną konferencję naukową, na której MUSI zostać wyświetlony kawałek tego filmu. Nie sposób go kupić! Jest Pani moją jedyną nadzieją.

Cena nie gra roli… Chyba już to pisałam?

Błagam o pozytywne rozpatrzenie mojej prośby,

Agata Marks, Wydział Ped…

Uśmiechnęła się do siebie. Choć przecież wtedy, osiem lat temu, nie było jej wcale do śmiechu. Magdusia27 nie odpisywała do wieczora. Agata zaczynała wpadać w panikę. Dopiero przed snem, już wyłączając komputer, odebrała wiadomość:

Szanowna Pani Agato! Rozumiem nadzwyczajną sytuację, zamykam aukcję, film wysyłam jutro z samego rana kurierem. Cena wywoławcza jest OK. Proszę nic nie dopłacać, przelać tyle, ile wynika z opisu na Allegro. Cieszę się, że przysłużę się polskiej nauce. Pozdrawiam,

Magdusia27

Zdążyła jeszcze napisać, żeby przesyłkę zaadresować na uczelnię, a nie na mieszkanie, w którym nie ma jej całymi dniami. A potem zaczęła czekać na kuriera. Z każdą godziną coraz bardziej niecierpliwie.

– Madzia27 zrobiła cię w trąbę. – Gośka próbowała śmiać się, choć wcale nie było jej do śmiechu. Wiedziała przecież, jakie piekło zrobi dziekan, jeśli film nie dotrze na czas.

– Co z tym kurierem? – Marcin wyrwał ją z zamyślenia. – Słyszysz mnie? Powinien już przyjść.

– Przyszedł – odpowiedziała bez zastanowienia. – Zostawił paczkę Gośce, kiedy poszłam na obiad.

– Jakiej Gośce? – Marcin zrobił wielkie oczy. – Ona przecież nie żyje?

– Nie żyje. – Agata poczuła, że coś ściska ją za gardło, jak zawsze, gdy musiała powiedzieć to na głos. – Ale wtedy żyła.

– Kiedy żyła? – Marcin patrzył na nią zdumiony.

– No, wtedy, kiedy przyszedł kurier z tą paczką.

– O czym ty mówisz? – Pochylił się tak, żeby patrzeć jej w oczy. – Coś się stało? Jesteś zmęczona?

– Nie, wcale nie… – Odsunęła się trochę, próbując zebrać myśli. – Kurier przyniósł film, odetchnęłyśmy z Gochą z ulgą i dopiero kiedy zajrzałyśmy do środka, okazało się…

– Czekaj, jaki film? To przecież miały być te wielkie klocki Lego? – Marcin był już naprawdę zdezorientowany i wystraszony.

– Klocki Lego? – Agata przez moment miała wizję dziekana budującego na konferencji konstrukcję z kolorowych klocków i jednocześnie referującego z przejęciem coś o diagnozowaniu zdolności twórczych u przedszkolaków. W końcu jednak się otrząsnęła i wróciła do teraźniejszości. – Chodzi ci o prezent dla Filipa, tak?

– A ty myślałaś, że o co? O złoto Majów? – Marcin przytulił ją, wzdychając ciężko. – Moja celebrytko, co się z tobą dzieje? Twój syn ma jutro urodziny, prezent dla niego utknął w śniegu gdzieś po drodze, a ty wcale się nie przejmujesz?

– Oczywiście, że się przejmuję. – Agata poczuła, że ogarnia ją panika. Co za pech z tymi zakupami na Allegro! Czy zawsze coś musi iść nie tak? – Może to jakiś oszust?

– Miał dużo dobrych opinii. Ponad tysiąc – przypomniał jej Marcin. – Nie dałby rady tylu sfabrykować…

Filip miał jedno marzenie: klocki Lego z serii „Harry Potter”. Wycofanej z produkcji cztery czy pięć lat temu. Już w liście do Mikołaja prosił o lokomotywę

z napisem „Hogwarts Express” i o wielkie pudło z Hogwartem, boiskiem do quidditcha i wszystkimi figurkami bohaterów. „I niezapomnij Mkołajó o Hagricje!” – pisał w listopadzie. Pięć razy pytał, czy Agata wysłała jego list do siedziby Mikołaja w Rovaniemi. Niestety, brodaty święty nie wywiązał się z zadania. Pod choinką znalazły się tylko lokomotywa, plastikowa czarodziejska różdżka i czarna peleryna. Oraz list od Mikołaja: *Drogi Filipie, elfy nie zdążyły wyprodukować klocków. Przepraszam! Dzieci na całym świecie prosiły właśnie o ten zestaw. Ale będę o Tobie pamiętał, słowo daję!*

Agata i Marcin obiecali sobie wtedy, że dopadną ten Hogwart. Że wykopią go choćby spod ziemi. No i wykopali. W drugiej połowie stycznia, cztery dni przed urodzinami Filipa, pojawił się na Allegro. Jak na zamówienie. Nie było w nim figurki Hagrida, ale bez kłopotu znaleźli ją na innej aukcji.

– Hagrida mamy – przypomniała Agata. – Zawsze to coś.

Marcin stuknął się w czoło.

– Hagrid bez swojej chatki? Bez zamku? I bez Harry’ego? Tylko go wkurzymy takim prezentem.

– Dojdzie jutro, zobaczysz. Na pewno dojdzie.

Przez chwilę siedzieli przytuleni. Agata jedną ręką wyłączyła komputer, drugą zaczęła nieśpiesznie błądzić po udzie Marcina. Wcale nie była pewna, czy ma ochotę na seks. Była wykończona pracą, ale czuła, że jest coś winna mężowi. A przede wszystkim bardzo chciała zagłuszyć jakoś wspomnienia sprzed ośmiu lat.

Niecierpliwie zaczęła ściągać mu sweter.

Marcin, jakby tylko na to czekał, posadził ją sobie na kolanach i zajął się guzikami jej bluzki.

– Dwadzieścia dwa? – mruknął z udawanym przerażeniem. – Nie możesz nosić bluzki na suwak? Albo na zatrzaski?

Roześmiała się, trochę za głośno. Trzy sekundy później w progu pokoju stał zaspany Filip z królikiem Puszkiem w rączce.

– Mamo, zamówiłaś dla mnie tort w cukierni? Nie zapomniałaś? – zapytał cichutko.

Agata i Marcin odskoczyli od siebie. Agata, zarumieniona, zapinała błyskawicznie guziki.

„Nie panikuj, jeśli dziecko nakryje cię na seksie. Im naturalniej zareagujesz, tym mniejsze zrobi to na nim wrażenie” – radziła ostatnio słuchaczom w porannej audycji. Nie panikuj! Dobre sobie!

– Mamo? – Filip podszedł bliżej, kąciki ust niebezpiecznie mu drżały. – Zapomniałaś o moim torcie, tak?

– Ależ skąd, skarbie. Ależ skąd! – Wzięła go na ręce, ucałowała i zaniosła z powrotem do łóżka. – Będziesz miał najpiękniejszy tort na świecie, obiecuję.

Poprawiła mu blond loczki, wchodzące uparcie do oczu (Fryzjer! Muszę go

w końcu zapisać do fryzjera! – zanotowała w pamięci), po czym wróciła do pokoju z miną skazańca.

„Nigdy nie okłamuj dziecka. To niszczy wasze relacje i sprawia, że malec przestaje ci ufać” – to z ostatniego artykułu w „Nowoczesnych Rodzicach”, za który zebrała tyle pochwał.

– Szlag by to trafił – szepnęła, zaciskając zęby.

– Zapomniałaś o torcie – jęknął Marcin, kładąc się na łóżku. Plecami do niej.

Rozdział 5
Urodziny

Pierwsze zajęcia ze studentami zaczynała o dziesiątej. Do tej godziny obdzwoniła siedemnaście cukierni i odwiedziła cztery. Bez skutku. Owszem, mieli torty. Bardzo piękne, czekoladowe, śmietanowe, przystrojone owocami… Ale tortu z Harrym Potterem nie mogli wyczarować w ciągu kilku godzin.

– Gdyby pani zadzwoniła wczoraj…

– Mogła pani zamówić przez Internet!

– Proszę pani, my przyjmujemy zamówienia dwa tygodnie wcześniej, nasi cukiernicy to wybitni mistrzowie.

– Byłaby szansa, ale kolega akurat dziś pojechał do lekarza…

W przerwie między wykładami znowu usiadła z telefonem przy biurku. I w ciągu dziesięciu minut usłyszała osiem odpowiedzi odmownych.

– A dlaczego nie upieczesz tego tortu sama? – zapytała Pola ze swojego kąta pokoju. – Kończysz zajęcia o drugiej, tak? A gości masz o której?

– O szóstej. – Agata pokręciła głową. – Nie mam szans.

– Zdążysz! Wszystko zdążysz zrobić. – W Polę nagle wstąpiła jakaś potężna energia. – Mam teraz okienko, skoczę na zakupy, wszystko ci przygotuję, zapiszę ci przepis mojej babci. Najprostszy i najszybszy tort na świecie. Dekoracje mają być czarne, tak? Zrobisz je z masy cukrowej, to banalne, przekonasz się.

Agata bez przekonania pokiwała głową. Nie przypuszczała, że mogłaby poradzić sobie nawet z najprostszym przepisem czyjejś babci, nie mówiąc już o figurkach czarodziejów z masy cukrowej. Pierniczki gwiazdkowe do dziś były twarde jak kamień i podejrzanie powybrzuszane. Tort wydawał się znacznie bardziej skomplikowany.

– Agata, poradzisz sobie. – Pola uśmiechnęła się krzepiąco. – Filip na pewno chętnie ci pomoże… Mam jechać z tobą i upiec ten tort? Może znajdę kogoś, kto popilnuje za mnie pierwszorocznia ków na zaliczeniu…

– Nie, nie. Nie musisz, dzięki. To przecież nie może być trudne. Zresztą Marcin jest w domu… Pomoże mi w razie czego.

Marcina nie było w domu. Wyjeżdżając z ciasnego parkingu pod uczelnią, przeczytała kątem oka SMS-a:

Dobra wiadomość! Misja zakończona. Klocki doszły. Schowałem w szafie za płaszczami. Już zapakowane w ten zielony papier w kotki. Jadę do pracy, chociaż na chwilę. Będę przed 18:00.

– Dobra wiadomość? – mruknęła do siebie. – Chyba dla ciebie i dla twojego prezesa!

Dla Agaty to, że mąż nie musi już czekać na kuriera i może wyjść z domu, brzmiało koszmarnie. Przecież ona nie poradzi sobie sama z pieczeniem tortu!

– Oczywiście, że sobie poradzimy – mówiła kwadrans później do Filipa. – Chciałam, żebyś miał jedyny taki tort na świecie. Nie z katalogu, ale nasz własny. Od nas dla naszych gości. Czy to nie wspaniałe?

Filip nie wyglądał na przekonanego, nie miał jednak wyjścia. Mieszał grzecznie wszystko, co mu podawała. Bił pianę tak długo, aż mu zbielała rączka.

– Gdybym kończył jedenaście lat, a nie sześć, dziś przyszłaby wiadomość z Hogwartu, że mnie przyjęli. – Spojrzał gdzieś w szparę między szafkami, jakby się spodziewał, że wyleci stamtąd sowa z kopertą w dziobie.

Sowa! Agata prawie pisnęła z radości. Umie rysować sowę! To chyba jedyne, co kiedykolwiek udało jej się ładnie naszkicować. Nauczyła się jeszcze w podstawówce, od koleżanki z ławki. I potem przez trzy czy cztery lata rysowała sowy wszędzie. Na okładkach zeszytów, bloków, na piórniku, nawet na koszulce.

– Wystarczy trochę cukru pudru… albo bitej śmietany – mruczała pod nosem, wreszcie zadowolona i podekscytowana. – Nie muszę robić żadnych czarnych czarodziejów z masy cukrowej. Zrobię Hedwigę! Białą, z rozłożonymi skrzydłami!

– Mamo? – Filip podekscytowany nie był ani trochę. Raczej zrezygnowany. – Jesteś pewna, że powinniśmy już wstawiać to ciasto do piekarnika?

– Oczywiście, że tak. – Uśmiechnęła się do niego szeroko. – Będzie pyszne.

– Mamo… A tej piany to nie trzeba do niego dodać? To po co ją biliśmy?

– Piana? – Agacie pozostała tylko nadzieja, że nie wypowiedziała na głos żadnego z niecenzuralnych słów, które właśnie przegalopowały przez jej mózg. – To na później. Do… do kremu. To będzie zupełnie niezwykły, puszysty krem.

– Fajnie – mruknął Filip i wyszedł z kuchni.

– Włączę ci bajkę, dobrze? – Agata szybko wytrząsnęła zawartość tortownicy do kosza na śmieci. Zdąży wymieszać wszystko jeszcze raz. Na pewno zdąży. Ma chyba dostatecznie dużo cukru i mąki, i jajek, i…

Do kuchni nagle wdarł się dźwięk dzwonka. Ktoś naciskał go jak szalony, raz za razem. Spojrzała na zegarek. Jakim cudem Marcin tak wcześnie wyrwał się z pracy, skoro cały poranek spędził w domu, czekając na wizytę kuriera?

– Otwórz sobie kluczem! – krzyknęła przez ramię. – Mam brudne ręce!

Ale Filip już rzucił się do drzwi, piszcząc z radości.

– Tata, tata, tata, masz baloniki?

To nie był tata.

Agata miała wrażenie, że jakiś złośliwy los uparł się tej zimy, by zepsuć jej i jej synkowi wszystkie piękne dni. Kim tym razem była postać stojąca przed jej domem w śniegu po kostki? Była pewna, że nie widziała jej nigdy przedtem.

Nie miałam żadnych innych narzeczonych z córkami! – pomyślała w panice.

Zrobiła krok do przodu. Panika ustąpiła miejsca wściekłości. Nie, nie da nikomu zepsuć urodzin Filipa!

– Jesteśmy zajęci – oświadczyła sucho. – W czym mogę pani pomóc?

– Nie poznajesz mnie? – Dziewczyna z prostymi jak druty, fioletowymi włosami do pasa zsunęła futrzane słuchawki z uszu na szyję, po czym spojrzała Agacie głęboko w oczy.

Kobieta zadrżała.

– Kro… to znaczy… Zuza, to ty?

Nie wierzyła własnym oczom. Dziewczyna roześmiała się, widząc jej zdumienie.

– Trochę się zmieniłam. – Ten chichot też był zupełnie nowy.

Agata stała bez ruchu, nie mogąc wydobyć z siebie słowa. Najwyraźniej nowe wcielenie Zuzy kochało fiolet. Miała nie tylko fioletowe włosy, ale też fioletowe rzęsy, fioletowy szalik, a w ręku ściskała bukiet fioletowych kwiatków. Z wolna przykrywała je cienka warstewka śniegu.

W drugiej dłoni, prawie wlokąc go po ziemi, Zuza trzymała za ucho wielkiego burego miśka.

Filip też to zauważył.

– Biedny miś! – wykrzyknął, wybiegając w kapciach na ośnieżone schodki.

– Cześć, mały. – Zuza schyliła się, chcąc pocałować chłopca, ale jej usta trafiły w próżnię. Filip też się schylił, żeby wyciągnąć z jej ręki misia.

– Biedny miś, zimno mu – powiedział, tuląc do siebie mokrego pluszaka.

– Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin! – Zuza schyliła się jeszcze bardziej, żeby cmoknąć go w policzek, ale Filip pobiegł już do domu, roześmiany od ucha do ucha. To był pierwszy prezent, jaki dostał tego dnia.

Zaraz jednak wybiegł znowu, przerażony.

– Mamo, pali się! Kuchnia się pali!

Agata popędziła do środka. Zuza biegła za nią. Nie zauważyła nawet, że futrzane białe słuchawki spadły z jej szyi na śnieg.

– Codziennie coś pieczecie? – zapytała Zuza, gdy Agacie udało się ugasić pożar w koszu na śmieci. – Chyba nie idzie ci to najlepiej. Może powinnaś sobie darować?

– To był mój tort urodzinowy. – Usta Filipa wygięły się w żałosną podkówkę. – Chyba nie będę miał tortu.

– Będziesz miał, nie martw się. – Zuza zsunęła z ramion płaszcz, za duży chyba o dwa rozmiary, i starannie umyła ręce. – Macie jajka?

– Tak, oczywiście. – Agata bezwiednie się jej podporządkowała. Podawała kolejne narzędzia, podsypywała mąkę, szukała po szafkach puszki kakao.

– Nie szukaj, zrobię krem czekoladowy. – Zuza machnęła ręką.

Pracowała bez słowa. Poruszała się po kuchni miękko jak kot, wszystkie jej ruchy były szybkie i pewne. Ręka nie zadrżała jej nawet przy przecinaniu puszystego biszkoptu na trzy placki. Posmarowała je kremem i oblizała nóż, mrucząc z zadowolenia, a potem odwróciła się do Filipa, który siedział na taborecie i wpatrywał się w nią z zafascynowaną miną.

– Chcesz mieć jakąś dekorację? Figurki? Czy może napis? – zapytała.

Agata ocknęła się z odrętwienia.

– Na torcie będzie Hedwiga, sowa Harry’ego Pottera, cała biała. Zrobię ją sama – powiedziała.

– Ja nie chcę Hedwigi, chcę Hagrida! – Usta Filipa znowu wygięły się w podkówkę. – Obiecałaś mi Hagrida.

– Hedwiga jest fajna – próbowała go uspokoić Agata.

– Zrobię ci Hagrida – powiedziała szybko Zuza. – Aguś, masz jakieś bakalie?

Aguś… Nikt nigdy od tamtych dni spędzonych z Grzegorzem nie mówił na nią „Aguś”. Zadrżała.

– Masz coś? Rodzynki, orzechy, suszoną żurawinę… cokolwiek? – Zuza wpatrywała się w nią intensywnie.

– Mam masę cukrową, całą czarną – przypomniała sobie Agata. – Tylko nie mam pojęcia, jak się jej używa.

– Masa jest dla tych, którzy idą na skróty – prychnęła Zuza. – Ja chcę zrobić Hagrida z prawdziwego zdarzenia. Daj mi tarkę, zetrę resztkę czekolady na wiórki i zrobię z niej brodę i włosy.

W tym momencie w drzwiach zazgrzytał klucz. Pojawił się Marcin, ledwo widoczny zza kolorowych balonów, które otaczały go ze wszystkich stron.

– Tato, tato, będę miał Hagrida na torcie! – Filip zaczął skakać jak szalony. – Tato, zobacz! Zuzia mi go zrobi!

Tym razem Zuza nie zaprotestowała przeciw temu zdrobnieniu. W skupieniu sypała wiórki czekoladowe na tort tak, by powstała z nich głowa olbrzyma.

– To ona? – szepnął Marcin bezgłośnie do Agaty. Przynajmniej zdawało mu się, że robi to bezgłośnie.

– Tak, to ja – przytaknęła Zuza, nie odrywając oczu od tortu i układając z rodzynek i wiórków czekoladowych fałdy płaszcza Hagrida. – Ale proszę się nie bać, nie

zepsuję Filipowi urodzin. Zaraz sobie pójdę.

Przycięła szybko suszone morele tak, by powstały z nich buty gajowego Hogwartu i ruszyła do drzwi. Zakładając płaszcz, zauważyła fioletowe kwiatki, które odłożyła, by zająć się tortem.

– Trzymaj, to dla ciebie. Na przeprosiny za tamto. – Wcisnęła je Agacie w dłoń i wyszła bez pożegnania. Nie zatrzymała się ani na chwilę. Gdy była w połowie drogi do furtki, pod jej stopą głośno pękł plastik. Białe słuchawki!

– Zuza, poczekaj! – zawołała za nią Agata. – Może zostaniesz na przyjęciu urodzinowym Filipa? Będzie mu bardzo miło!

– Zuzia, zostań! – zawołał chłopiec.

Ale jej już nie było. Zniknęła za rogiem.

Agata poczuła, że coś dusi ją w gardle.

– No, to kłopot z głowy. – Marcin uśmiechnął się, tuląc ją mocno do siebie. – Przebierz się, kochanie, moi rodzice będą tu lada moment…

Pięć godzin później, półprzytomnie całując Agatę na dobranoc, Filip wyszeptał:

– To były najlepsze urodziny w moim życiu.

Musiała szybko odwrócić głowę, żeby nie zobaczył łzy toczącej się po jej policzku. Była taka szczęśliwa, że wszystko się udało. Chociaż z drugiej strony zupełnie nie mogła zrozumieć, dlaczego nawet nie otworzył wielkiej paczki z klockami Lego, zdobytej z takim trudem. Ledwo na nią spojrzał! Wcale nie sprawdził, czy w środku jest figurka Hagrida, na której tak mu zależało! Za to misia od Zuzy nie wypuszczał z objęć przez cały czas. Nawet teraz, zasypiając, lewą ręką tulił do siebie poprzecieranego królika Puszka, a prawą misia.

– Wiesz, mamo, co było najlepsze? – Chłopczyk w półśnie z wysiłkiem podniósł powieki.

– Co? – Uśmiechnęła się, głaszcząc go po policzku.

– Hagrid – wyszeptał, rozpromieniając się na moment.

– Hagrid? Przecież nawet nie zajrzałeś do pudełka z klockami.

– Hagrid na torcie, mamusiu – wyjaśnił, obracając się na bok. – Zuzia zrobiła go specjalnie dla mnie. Jest superowa! Szkoda, że nie mam takiej siostry jak ona.

Agata przygryzła wargę i pogłaskała go po jasnej jak len głowie, próbując nie wybuchnąć płaczem. Nie tutaj, przy łóżku synka, nie w dniu jego urodzin. Szybko wyszła z pokoju. Tym razem to nie były łzy szczęścia.

Tej nocy nie mogła zasnąć. Kręciła się w łóżku, patrzyła w sufit, próbowała liczyć barany. Miarowe pochrapywanie Marcina tylko działało jej na nerwy.

„Szkoda, że nie mam takiej siostry jak ona…”. To zdanie wciąż kołatało jej się po głowie.

– Szkoda, że nie byłaś jednak moją córką. Że byłaś nią tylko przez kilka dni – powiedziała bezgłośnie gdzieś w przestrzeń. Nikomu nigdy nie opowiedziała tej historii z Grzegorzem. Nikt z jej znajomych nigdy go nie spotkał. Tylko mama, odwiedzając ją w tamtym mieszkaniu przy Reymonta, dziwiła się pozadzieranym obiciom sofy. „Ktoś odwiedził cię z kotem?" – pytała. Agata potakiwała. „Tak, koleżanka jechała z kotem do weterynarza, wpadła po drodze"…

Nikt nie wiedział, jak często przez te wszystkie lata zastanawiała się, co słychać u Kropeczki. Jak teraz wygląda, jaka jest duża, co lubi robić… I kim jest jej nowa mama. O ile w ogóle jest jakaś nowa mama…

Przez moment, chyba w piątym miesiącu ciąży, była pewna, że urodzi maleńką Zuzię. Kopię tej, którą spotkała… której mamą była przez kilka dni. Dziewczynkę z identycznymi dołeczkami w policzkach i czarną grzywką. Gdy usłyszała, że to chłopiec, roześmiała się i oświadczyła lekarzowi, że to pomyłka. Że następne USG na pewno pokaże, że to jednak dziewczynka. I urodzi miniaturkę Zuzi. I będzie obcinać jej gęstą czarną grzywkę prosto, pod linijkę.

Filip urodził się całkiem łysy.

Poduszka była mokra od łez. Agata podniosła się z łóżka i cicho, nie zakładając kapci, przeszła do kuchni. Nie mogła zdecydować, czy powinna napić się wina, czy raczej herbaty malinowej. Nazajutrz czekały ją szczepienia, konieczne przed wyjazdem na marcową konferencję w Pekinie. Chyba nie powinna przed nimi pić alkoholu?

Usiadła przy stole i bezmyślnie patrząc w okno, zaczęła chrupać chipsy, które zostały z przyjęcia.

Ale co to? Czy miała przywidzenia? Może to tylko kot? Przecież już nie raz zdarzało mu się wskoczyć na furtkę i uruchomić czujnik lampy wiszącej nad drzwiami.

Na dworze nagle zrobiło się jasno jak w dzień. Światło odbijało się w świeżym śniegu.

Agata ostrożnie podeszła do okna i schowała się za zasłonką, dłonią szukając stojaka na noże. Nie było go tam, gdzie być powinien. Pewnie teściowa gdzieś go przestawiła. Albo inny urodzinowy gość… Wyciągnęła rękę trochę dalej. I jeszcze. Jest! Zacisnęła palce na największym z cudownie ostrych – i koszmarnie drogich – noży ceramicznych, polecanych w reklamie przez jakiegoś wielkiego szefa kuchni znanego na całym świecie.

– Musimy naprawić tę furtkę! – postanowiła, chyba po raz setny. – Wystarczy nacisnąć klamkę, żeby wejść do naszego ogrodu. To nie do pomyślenia. Jutro z samego rana podjadę do sklepu i…

Światło na podjeździe pod domem na moment zgasło.

– To na pewno kot sąsiadów. – Odetchnęła z ulgą. – W końcu nie ma takiego dużego mrozu… Może zostawili uchylone okno, więc wyszedł sprawdzić, czy wszystkie myszy zapadły w sen zimowy?

W tym momencie światło zapaliło się znowu. Na śniegu wyraźnie widziała cień. To nie był cień kota!

Patrzyła jeszcze przez chwilę, po czym wypuściła nóż z ręki i otworzyła okno.

– Zuza, na litość boską! Co ty tu robisz w środku nocy?

Rozdział 6
Zlikwidować małego

– Uciekł jej ostatni autobus. Co miałam zrobić? Wyrzucić ją w środku nocy na śnieg i mróz? Kazać jej wracać do domu nocnym pociągiem? Albo autostopem? – Agata starała się nie krzyczeć. Albo raczej: krzyczeć szeptem, żeby nie obudzić Zuzy i Filipa.

Marcin nie miał skrupułów. Podnosił głos coraz bardziej.

– Czego ta dziewczyna od ciebie chce? Czy to jakaś zwariowana psychofanka?

– Nie mam psychofanek. Ani w ogóle żadnych fanek. – Agata przewróciła oczami. – Jestem nauczycielem akademickim, który czasami powie coś w telewizji, a nie żadną celebrytką. Zuza poznała mnie w dzieciństwie, mówiłam ci. Była w wieku Filipa. No, może kilka miesięcy starsza. Teraz najwyraźniej przeżywa trudne chwile i szuka kogoś życzliwego.

– Nie ma żadnej ciotki? Przyjaciółki? Matki? – Marcina na pewno było słychać w salonie, gdzie na pościelonej byle jak kanapie spała dziewczyna z fioletowymi włosami. – Ktoś gdzieś w domu na pewno się o nią teraz zamartwia! Dlaczego uparła się, żeby jeździć przez pół Polski akurat do ciebie?

– Pewnie widziała mnie w telewizji, przypomniała sobie… – Agata zastanawiała się nad tym setki razy od tamtego pierwszego grudniowego spotkania przy pierniczkach. Dlaczego akurat teraz, po tylu latach, Zuza postanowiła się z nią spotkać? I wciąż nie znała odpowiedzi.

W środku nocy, wpuszczając dziewczynę do domu, też jej nie dostała. Zuza, szczękając zębami, powiedziała tylko: „Przepraszam, uciekł mi autobus, nie wiedziałam, dokąd iść”. Przyjęła z wdzięcznością kubek herbaty, czysty ręcznik i szczoteczkę do zębów. Siedziała w łazience chyba przez godzinę. A potem zwinęła się w kłębek na kanapie pościelonej przez Agatę, przykryła głowę kołdrą i momentalnie zaczęła pochrapywać.

– Biedactwo, musisz być wykończona. Śpij, śpij. – Agata poczuła ukłucie w sercu. Zgasiła światło i odwróciła się, by na palcach wrócić na piętro, do sypialni.

Dopiero wtedy zauważyła stojącego w przedpokoju Marcina. Był naprawdę

wściekły.

– Jutro z nią porozmawiamy – powiedziała, kiedy na moment zamilkł. – Chodźmy do łóżka, jest druga w nocy…

Zasnęła tylko na chwilę. Na zegarze była trzecia, a Agata zupełnie nie czuła się senna. Myśli galopowały w jej głowie z prędkością światła. Tym razem poddała się od razu, nie próbowała liczyć baranów ani oddychać tak, jak pokazywała obcięta na jeżyka instruktorka na sobotnich warsztatach. Wiedziała, że to na nic. Po raz drugi tej nocy bezszelestnie wysunęła się z łóżka i ruszyła w dół z kapciami w ręku. Żeby tylko nie zaskrzypiał żaden schodek.

Z salonu, gdzie spała Zuza, sączyło się światło. Serce skoczyło Agacie do gardła. Resztka senności minęła w okamgnieniu. Co ona tam robi? Dlaczego nie śpi o tej porze? Może ich okrada? Grzebie na półkach? Niszczy jej kolekcję obieraczek?

Na palcach, wciąż bardzo uważając, by nie stanąć na skrzypiącej desce pośrodku przedpokoju, dotarła do drzwi salonu. Były uchylone.

Zuza spała jak aniołek. W prawej dłoni ściskała długopis. Pod jej policzkiem leżał zeszyt z Myszką Miki na okładce.

Agata stała przez chwilę bez ruchu, patrząc na twarz pochrapującej dziewczyny. Zniknęły gdzieś bezczelność, buta, gniew, które malowały się w jej oczach i na ustach w ciągu dnia. Po fioletowym tuszu na rzęsach nie było nawet śladu. Teraz wreszcie Agata zobaczyła w tych rysach, w rozchylonych leciutko wargach, długich rzęsach i małym nosku, swoją Kropeczkę sprzed lat.

Wyciągnęła rękę, żeby pogłaskać ją po fioletowych kosmykach i wyjąć z dłoni długopis. Jeszcze go sobie przez przypadek wbije w oko!

W tym momencie Zuza przekręciła się na drugi bok, wypuszczając długopis z palców. Toczył się wolno po prześcieradle, w stronę brzegu kanapy. Jeszcze chwila, a z łoskotem spadłby na ziemię. Agata chwyciła go szybko. Nie chciała, żeby hałas obudził dziewczynę. Niech się wyśpi… Kto wie, co czeka ją rano? Dokąd i jakimi środkami lokomocji się wybiera?

Zeszyt z Myszką Miki leżał teraz samotnie, dziesięć lub piętnaście centymetrów od głowy Zuzy. Agata podniosła go, chcąc odłożyć na stolik, żeby się nie pogniótł. Podniosła i odchyliła okładkę. Tylko trochę. Na pierwszej stronie wykaligrafowano starannie, nieco dziecięcym pismem: *Pamiętnik Zuli*.

A więc była nie tylko Zuzą, ale też Zulą. Byle nie Zuzią, Zuzanką, Zuzikiem. Byle nie Kropeczką.

Agata przekręcała kolejne kartki, szukając ostatniej zapisanej. Kątem oka cały czas obserwowała skuloną pod kołdrą dziewczynę. Spała spokojnie, kołdra miarowo unosiła się i opadała przy każdym jej oddechu. Znalazła dwa krótkie, grudniowe wpisy.

18 grudnia

Muszę do niej jechać. To jedyne, co mi pozostało. Tylko ona może mi pomóc to wszystko wyjaśnić. Tylko od niej mogę zacząć. Ruszam pociągiem o 7:26. Już postanowiłam.

19 grudnia, noc

Dotarłam do jej domu. Cel nr 1 osiągnięty. Nawiązałam kontakt. Jest niższa, niż pamiętam. I ładniejsza niż w telewizji. Była zaskoczona. Nie zapomniała mnie przez te lata. Wiem, że nie. Trudno mi ją okłamywać. Ale jeśli powiem wszystko, co wiem, nigdy mi nie pomoże.

Cel nr 2: wrócić tam jutro rano i wyeliminować małego.

Agata zadrżała. Co Zuza chce zrobić Filipowi? Jak zamierza go wyeliminować? Tamtej nocy, gdy od nich wyszła, najwyraźniej nocowała gdzieś niedaleko. Miała zamiar wrócić rano na Modrzewiową. Dlaczego więc tego nie zrobiła?

Agata chciała przeczytać inne wpisy, poszukać w nich podpowiedzi, ale nagle Zuza poruszyła się niespokojnie. Mruknęła coś przez sen. Coś, co brzmiało jak „prasowanie". Machnęła ręką w przestrzeń i powiedziała „prasowanie" jeszcze raz, znacznie głośniej.

Agata szybko odłożyła zeszyt na poduszkę. Długopis rzuciła na podłogę. Delikatnie, żeby nie stuknął. A potem wyszła na palcach, nie gasząc światła. Może Marcin się nie dowie, że zmarnowała trochę prądu, który tak skrupulatnie oszczędzali w imię ekologii. Trudno. Musi to zrobić… musi zrobić wszystko, żeby uratować Filipa przed „zlikwidowaniem". Tak to chyba nazwała Zuza w pamiętniku? Czy wciąż zamierzała to zrobić? A może od grudnia zdążyła zmienić plany?

Po plecach Agaty przebiegł dreszcz.

Ruszyła do kuchni, wypiła duszkiem szklankę wody, a potem wspięła się cicho na piętro. Nie zostawiła żadnych śladów. Tak będzie lepiej. Zuza nie dowie się nigdy, że Agata czytała jej pamiętnik, nie będzie więc próbowała być jeszcze bardziej ostrożna w tym swoim planie likwidacji Filipa. Łatwiej będzie go wtedy rozpracować i udaremnić.

Na wszelki wypadek zostawiła jednak otwarte drzwi do sypialni. Zuza nie ma pojęcia, która deska i który schodek skrzypią przeciągle przy najlżejszym nadepnięciu. Nie ma szans, by wspiąć się na górę i wejść do pokoju Filipa, nie budząc Agaty.

O ile ona w ogóle zdoła jeszcze zasnąć po tym, co przeczytała.

Rozdział 7
Tamto stare zdjęcie

– Płatki kukurydziane czy musli? Co ci podać, Krope… – Ręka z kartonem płatków zastygła w pół gestu. Agata ugryzła się w język. Dziewczyna przecież tak nalegała, żeby mówić na nią tylko „Zuza”… Pewnie się zdenerwuje.

A jednak nie.

– „Kropeczka”? Naprawdę wtedy tak na mnie mówiłaś? – Zuza spojrzała na nią szczerze zdumiona. I, chyba po raz pierwszy, uśmiechnęła się szeroko. – Nie przyśniło mi się to! Byłam pewna, że tak mnie nazywałaś, ale tata twierdził, że coś sobie ubzdurałam! Sama to wymyśliłaś? Ale dlaczego?

– Byłaś malutka jak kropeczka. – Agata z trudem powstrzymała się przed przytuleniem jej do siebie. Nie chciała jednak ryzykować, że dziewczyna ją odepchnie i znowu zamknie się w sobie. – A poza tym miałaś sukienkę w kropki. Czerwoną w białe kropki. I słodką piżamkę w kropki. I bluzeczkę. I czapkę. Nawet kokardy miałaś w kropki. W różnych kolorach, codziennie inne, ale zawsze w kropki! Zastanawiałam się wtedy, czy twój tata kupił to wszystko na wyprzedaży jakiejś kropkowanej kolekcji.

Przez twarz Zuzy przebiegł dziwny grymas. Jakby zabolał ją sam pomysł, że ojciec mógłby jej coś kupić na wyprzedaży. Albo jakby zabolała ją myśl o ojcu. To akurat Agata rozumiała doskonale. Sama przez wiele lat nie mogła spokojnie wymienić imienia taty ani oglądać jego zdjęć. Nie mogła pogodzić się z tą stratą, tak nagłą, absurdalną… Chyba właśnie od śmierci ojca zaczęło się jej zainteresowanie psychologią, terapią, pomaganiem…

– Przepraszam. – Agata nerwowo próbowała utrzymać kontakt wzrokowy z Zuzą… i tę kruchą nić porozumienia, która pojawiła się o poranku przy kuchennym stole. Nie powinna mieć z tym najmniejszego problemu. Była przecież specjalistką od wychowywania nastolatków. Na jej wykłady o systemie wartości współczesnych gimnazjalistów waliły tłumy studentów. Na konferencji w Pekinie miała wygłosić referat pod frapującym tytułem: *Nastolatki to przybysze z innej galaktyki. Poznaj ich język i zacznij się z nimi skutecznie komunikować*.

Szkoda, że ona nie mogła skutecznie komunikować się z Zuzą. Dziewczyna każdym spojrzeniem, gestem, słowem budowała wokół siebie gruby mur. Cieniutka nić porozumienia zniknęła bez śladu.

Jadły w milczeniu. Agata zerknęła na zegarek.

– Muszę być na uczelni o ósmej – wyjaśniła, nie chcąc, żeby Kropeczka uznała, że wygania ją z domu. – Filip idzie dziś na drugą lekcję, mąż odwiezie go, jadąc do pracy. Ale ty… – Wzięła głęboki oddech. Wcale nie chciała tego mówić. Nie chciała zostawiać Zuzy z Filipem i niczego niepodejrzewającym Marcinem. Bała się. Wiedziała jednak, że dziewczyna czeka na te słowa. – Ale ty… no wiesz, siedź, ile chcesz. Wrócę po siedemnastej.

Przygryzła wargę. Kto wie, co zrobi Zuza w domu pod jej nieobecność. Wyobraźnia podsuwała Agacie najpotworniejsze wizje. Trucizna dosypana do puszki z ulubionymi płatkami śniadaniowymi Filipa. Podpiłowana półka z książkami, która spadnie mu na głowę, gdy usiądzie przy biurku, żeby rysować szlaczki. Ładunek wybuchowy pod jego poduszką.

Roześmiała się nerwowo. No nie, z ładunkiem to jednak przesadziła. Gdyby Zuza miała w torbie bombę, chyba nie czekałaby z jej podłożeniem.

– Z czego się śmiejesz? – Dziewczyna patrzyła na nią zdziwiona.

– Nie, nic takiego… Przepraszam – odparła, potrząsając głową. Nie mogła przecież powiedzieć prawdy o figlach płatanych jej przez wyobraźnię. Szukała w pośpiechu jakiegoś wątku, czegoś wiarygodnego, co usprawiedliwiłoby ten nagły śmiech. Miała całkowitą pustkę w głowie, wydukała więc tylko: – Przepraszam. Coś mi się przypomniało.

Przy stole znów zapanowała zimna, niezręczna cisza.

Zuza patrzyła w ścianę, a Agata ukradkiem przyglądała się jej nachmurzonej, szczupłej twarzyczce i poobgryzanym paznokciom, na których krzywo przyklejono fioletowe gwiazdki. Nie umiała znaleźć w niej podobieństwa do tamtej drobinki, siedzącej – mimo przejmującego zimna – całymi godzinami na huśtawce pod blokiem. Pamiętała czerwony płaszczyk i nóżki jak wałeczki, ubrane w pasiaste rajstopki. Dziś Zuza miała nogi do samego nieba i spódnicę, która odkrywała znacznie więcej, niż powinna. „Jak matka mogła pozwolić jej tak się ubrać w środku zimy?” – pomyślała Agata ze złością, zanim uświadomiła sobie, że matka dziewczyny prawdopodobnie nic nie wie o jej kusej spódnicy… Tak samo jak nie wiedziała o pasiastych rajtuzach i za dużych, czerwonych bucikach.

Zuza nieustannie patrzyła w ścianę. Agata wiedziała, że to ostatnia chwila, żeby przebić ten mur. A może… tak, to był świetny pomysł. To powinno zadziałać.

– Przypomniało mi się zdjęcie, które zrobił ci tata. Z kotem na huśtawce. – Uśmiechnęła się do jej profilu. – A właściwie cała seria zdjęć. Pamiętasz? Poszliśmy je wywołać natychmiast, tego samego dnia. Wy zabraliście do domu większość

odbitek, ale jedna została u mnie.

– Masz ją jeszcze?

Uśmiech zniknął z twarzy Agaty. Mać, mać, mać! Próbując uniknąć małych kłopotów, wpakowała się w dużo większe.

– Mam, oczywiście!

Uczyła studentów, żeby nigdy nie lekceważyli dzieci. Bardzo słusznie! Uczyła rodziców na warsztatach, żeby nigdy dzieci nie okłamywali. Słusznie, oczywiście… Ale teraz przecież musiała. Tylko ten jeden raz.

– Mam, oczywiście, że mam.

Myśli Agaty w panice wskakiwały do kolejnych szuflad, teczek, pudełek, segregatorów. Mać! Przecież zdjęcie było na wierzchu jeszcze tak niedawno. Trafiła na nie przy sprzątaniu, pewnie przed Wielkanocą… A może wpadło jej w ręce wtedy, gdy szukała polisy ubezpieczeniowej? Albo wizytówki ortodontki, tej polecanej przez Ankę?

– Mam je… – głęboki oddech – tutaj. Nie masz pojęcia, jak często na nie patrzę!

Szeroki uśmiech miał ukryć niepewność. To musiała być ta wizytówka, tak… Zdjęcie musi leżeć na prawo od niej. Na pewno. Musi… Ale przecież wcale nie wiedziała, czy naprawdę jest tam, w szafce pod oknem. Tam, gdzie książeczka zdrowia Filipa i wizytówki lekarzy.

Na szczęście było. Prawie na wierzchu. To znaczy… przynajmniej nie całkiem na dnie. I – co za ulga! – nie było wygniecione ani podarte. Wyglądało tak, jakby naprawdę o nie dbała.

Zuza wpatrywała się w fotografię jak zaczarowana. Przesunęła palcem milimetr nad swoją twarzą z dzieciństwa, a potem poruszyła ręką tak, jakby chciała pogłaskać czarnego kota z białym uchem, leżącego spokojnie na kolanach ubranych w pasiaste rajstopy.

– Nigdy nie widziałam tego zdjęcia – powiedziała cicho, a po jej twarzy nagle pociekła łza. Tylko jedna. Agata nawet nie była pewna, czy ta łza naprawdę tam była. Zniknęła tak szybko.

Zuza jeszcze raz przesunęła paznokciem z fioletową gwiazdką nad nieruchomym czarnym kotem, a potem szepnęła:

– Czasami wydawało mi się, że go sobie wymyśliłam. Że nigdy nie miałam żadnego kota. Tata wywiózł go do kogoś… do jakiejś ciotki na wieś, chyba tydzień po powrocie od ciebie.

Agata poczuła się nagle zmęczona. Samotna. I odpowiedzialna. Już nie tylko za los Zuzy, która nie wiedzieć czemu jeździ nocą po Polsce zamiast spać we własnym łóżku zaraz po odrobieniu lekcji. Teraz się okazało, że jest odpowiedzialna także za kota, którego Grzegorz nagle postanowił oddać. Nie była tylko pewna, co ona miała z tym wspólnego.

– Tata dziwnie się wtedy zachowywał – powiedziała dziewczyna, nie odrywając oczu od fotografii. – Chwilami chyba trochę się go bałam.

Agata wzięła głęboki oddech.

– On na pewno się o ciebie martwi – powiedziała, próbując zajrzeć w kosmiczne, fioletowe oczy Zuzy. – Może powinnaś do niego zadzwonić?

Dziewczyna potrząsnęła głową i znów zaczęła wpatrywać się intensywnie w ścianę.

Agata nie rezygnowała.

– Może w takim razie ja do niego zadzwonię? Powiem… Chcesz? Powiem, że wpadłyśmy na siebie przypadkiem i zaprosiłam cię do domu. Odwiozę cię samochodem pojutrze, jeśli się zgodzi. Dziś i jutro siedzę na uczelni od rana do nocy.

– Mogę zostać. Nie musisz do niego dzwonić. – Zuza wzruszyła ramionami. – Na pewno się zgodzi…

– No właśnie. – Usta Agaty rozciągnęły się w uśmiechu. Natychmiast złapała się na tym, że jest to uśmiech służbowy. Używany w telewizji. Na zebraniach u dziekana. I w poradni, w rozmowach z wyjątkowo opornymi klientami. Lub tymi w bardzo ciężkiej depresji. Ostatnio przyszedł do niej sześciolatek z myślami samobójczymi. Uraczyła go tym uśmiechem, kiedy cierpliwie tłumaczyła, że nie powinien rezygnować z życia z powodu kłótni z babcią. Zuza nie należała do tego rodzaju osób.

Do jakich w takim razie należała? Agata wciąż nie miała pewności. Uśmiechała się więc nadal.

– Skoro wiesz, że tata się zgodzi, to dlaczego po prostu nie wyjmiesz komórki i nie wybierzesz jego numeru? Powiemy mu, gdzie jesteś i będziemy miały z głowy całą tę sprawę.

Zachęcająco kiwnęła głową.

Fioletowe oczy patrzyły hardo wprost na nią, za to kąciki ust drżały ostrzegawczo.

– Nawet nie wiesz, jak chciałabym mu powiedzieć, że tu jestem. Ale to niemożliwe. Tam, gdzie tata jest teraz, nie da się pogadać przez telefon.

W grobie! On nie żyje i leży w grobie! Stąd ten ból na jej twarzy, kiedy o nim wspominam – pomyślała Agata natychmiast. – Albo jest w więzieniu!

Tak, to by tłumaczyło wizyty Zuzy, siedzenie w nocy w ogrodzie. Nie miała dokąd iść. Nie miała nikogo!

– Biedactwo… – Wysunęła rękę, żeby pogładzić Zuzę po ramieniu, ale dziewczyna błyskawicznie zrobiła unik. Dłoń Agaty trafiła w pustkę.

W tym momencie do kuchni wpadł Filip.

– Zuzia? – Rozpromienił się. – Kurczę, ale fajnie, że wróciłaś! Zostaniesz u nas? Możesz spać u mnie w pokoju, położymy materac na podłodze.

Jakie to było proste, przynajmniej dla niego.

– Nie, nie. – Zuza pokręciła głową, przygryzając wargę. – Muszę niedługo wracać do domu. Przyjechałam tylko… wiesz, pogadać z twoją mamą. Mam do rozwiązania

takie zadanie. Strasznie trudne. Mam nadzieję, że twoja mama mi pomoże.

To był jakiś szyfr. Szkoda tylko, że Agata nie mogła go zrozumieć. I że naprawdę musiała już jechać na uczelnię i na to nieszczęsne szczepienie.

Rozdział 8
Nie szukaj mnie

Za nic nie chciała zostawiać Zuzy z Filipem i Marcinem. Nie tylko dlatego, że bała się o synka. Tak naprawdę wcale nie wierzyła, że dziewczyna chce go „wyeliminować”. Dała mu przecież misia… upiekła tort… Agata czuła wyraźnie, że Zuza w głębi serca bardzo go lubi i nie byłaby w stanie go skrzywdzić.

Bardziej bała się tego, co może zrobić Marcin, kiedy się obudzi i zobaczy Zuzę w swojej kuchni. Był najłagodniejszym, najmilszym, najdelikatniejszym mężczyzną, jakiego znała. Po dwóch związkach z szaleńcami pokochała go właśnie za tę delikatność, za to, że czuła się przy nim taka bezpieczna i spokojna. Teraz jednak… Tak, widziała wyraźnie, że Zuza działa na niego jak płachta na byka. Mógł powiedzieć albo zrobić coś okropnego.

– Jedź ze mną – powiedziała do dziewczyny, malując szybko usta przy lustrze w przedpokoju. – Pogadamy sobie w samochodzie.

Zuza posłusznie założyła płaszcz i wyszła za nią z domu.

W milczeniu patrzyła, jak Agata otwiera garaż i mocuje się z zamarzniętą bramą. Cały podjazd zasypany był śniegiem. Kobieta złapała szuflę i zaczęła go odgarniać.

– Spóźnię się do pracy – jęknęła. Jak mogła nie pomyśleć, że po takiej śnieżycy trzeba wyjść z domu pięć minut wcześniej?

Dziewczyna stała bez ruchu i patrzyła jej na ręce.

– Rusz się! – Agata nie wytrzymała. – Rusz się i mi pomóż.

Zuza stała dalej.

Agata poczuła, że – mimo mrozu – pocą się jej dłonie. Po raz pierwszy od bardzo, bardzo dawna kompletnie straciła panowanie nad sobą.

Rzuciła łopatę i podeszła do dziewczyny.

– Zuza, czego ty chcesz? Powiedz mi prawdę! Chcę wiedzieć, po co tu przyjeżdżasz, o co w tym wszystkim chodzi, dlaczego postanowiłaś zniszczyć spokój mojej rodziny?

– Wyrzucasz mnie? – Przez moment Agacie wydawało się, że dziewczyna płacze.

Ale nie, nie płakała. Patrzyła kobiecie hardo w oczy. – Chcesz, żebym sobie poszła? Chcesz o wszystkim zapomnieć? Chyba się nie da.

– O czym ty mówisz?

Zuza otworzyła sobie drzwi samochodu. Usiadła na fotelu pasażera, zapięła pas i zaczęła bawić się radiem.

– Nie działa przy wyłączonym silniku? – zapytała ze zdumieniem.

Agata naprawdę dawno nie była taka wściekła. Zawsze powtarzała, że brzydzi się przemocą. Że do agresji fizycznej uciekają się ci, którzy nie mają żadnego innego pomysłu. A teraz miała ochotę wyciągnąć tę dziewczynę za fioletowe włosy na śnieg i zmusić, żeby wreszcie wszystko jej powiedziała.

Opanowała się jednak. Dokończyła odśnieżanie i usiadła za kierownicą, oddychając ciężko.

– Nie chcę rozmawiać o tym pod twoim domem. Pojedziemy gdzieś na kawę? – Zuza uśmiechnęła się, zupełnie jakby proponowała koleżance wspólne wyjście na lunch.

– Jesteś chyba za młoda na picie kawy? – Agata uznała za najbezpieczniejsze przybranie tego samego beztroskiego tonu, przynajmniej na chwilę. Może dzięki temu posuną się o krok dalej w stronę prawdy?

– Wypiję zbożową. – Zuza puściła oko. – To jak, jedziemy? Na kawę i ciacho.

– Nie mogę. Nie teraz. Studenci czekają. – Agata nigdy nie odwoływała zajęć, nawet kiedy miała gorączkę albo skręconą nogę. – Muszę jechać na uczelnię. Ale jeśli poczekasz na mnie półtorej godziny… Możesz posiedzieć na wydziale. Mamy tam naprawdę fajną knajpkę.

Była pewna, że Zuza zniknie jak zwykle bez słowa. Że nie znajdzie jej po zajęciach w uniwersyteckiej kafeterii. Że wróci za miesiąc albo za rok, jak to ona. Była na to przygotowana. Przynajmniej tak jej się wydawało.

Półtorej godziny później Zuza jednak wciąż tam była. Siedziała nad kubkiem herbaty i bardzo skupiona przeglądała coś na ekranie komórki.

– Sprawdzałam, czego tak właściwie uczysz tych studentów – powiedziała, kiedy Agata usiadła obok niej. – Jakieś dziwne te przedmioty. Nie macie tu matmy, polskiego, fizyki? Co to ma być: Teoria ugruntowana? Alternatywne metody pracy z rodziną? Pedagogika popularna jako kontekst zawodowy animatora społeczno-kulturowego? Naprawdę uczysz takich rzeczy?

Agata nie chciała rozmawiać o swojej pracy.

– Mam czterdzieści pięć minut przerwy. Muszę w tym czasie podjechać do przychodni na szczepienia.

– Po co ci szczepienia? Coś ci jest? – Zuza po raz pierwszy sprawiała wrażenie naprawdę zainteresowanej losem Agaty. – Jesteś chora?

– Szczepień nie robi się chorym ludziom. Robi się je po to, żeby nie zachorować. – Agata sama słyszała w swoim głosie belferską nutę, ale nie umiała się jej pozbyć. – Muszę je zrobić, bo w marcu jadę na konferencję do Pekinu. Jest cała lista szczepień zalecanych przed podróżą do Chin. Trzeba zacząć odpowiednio wcześnie.

– A, profilaktyka. – Zainteresowanie Zuzy zniknęło równie nagle, jak się pojawiło. – To co, podjadę z tobą i pogadamy po drodze?

Już próbowały tak pogadać między domem a uczelnią. Ale może tym razem będzie inaczej? Skoro Zuza sama to zaproponowała?

– Jesteś za młoda, żeby jeździć po Polsce bez opieki – powiedziała Agata, gdy tylko ruszyły z uczelnianego parkingu. – Musimy zadzwonić do twojego taty. On naprawdę nie wie, że do mnie przyjechałaś?

– Nie wie. – Zuza w wielkim skupieniu wpatrywała się w przykryte śniegowymi czapami drzewa rosnące za oknem, przy samej jezdni.

– Musimy do niego zadzwonić, powiedzieć mu, że tu jesteś. – Agata nawet nie umiała sobie wyobrazić, jak bardzo Grzegorz się denerwuje, odkrywszy, że nastoletnia córka nie wróciła na noc i zabrała ze sobą plecak. Była przecież jego oczkiem w głowie.

– Agata, słuchaj… on jest bardzo chory. Nieprzytomny. Pewnie nigdy już się nie obudzi. Więc naprawdę go w tej chwili nie obchodzi, gdzie i z kim jestem. Ale gdyby wiedział, że tutaj przyjechałam, byłby przeszczęśliwy. Uwierz mi.

Agata z trudem zapanowała nad kierownicą. Trzy razy okrążyła rondo, zanim znalazła właściwy zjazd w stronę przychodni, w której była już tyle razy.

– Nieprzytomny? Umierający? – powtórzyła, obiecując sobie, że się nie rozpłacze.

A więc Zuza naprawdę szukała sobie nowej rodziny! Nie miała dokąd pójść i dlatego odnalazła kobietę, która kiedyś przez kilka dni pozwalała mówić do siebie „mamo”. Pozwalała, chociaż nie powinna…

– Zuza – zaczęła, wbijając palce w kierownicę – przepraszam, że cię wtedy zawiodłam. Że nie umiałam być twoją mamą… a w zasadzie żoną Grześka. Że nam nie wyszło.

– Zdarza się. – Wzruszeniu ramionami towarzyszyło prychnięcie. – Ojciec nie jest ideałem. Rozumiem cię, serio.

To „serio” mówiła identycznie jak Grzegorz, przedłużając odrobinę ostatnią głoskę. Identycznie jak on, naprawdę.

Agata wiedziała, że nie powinna składać żadnych obietnic, dopóki nie porozmawia z Marcinem. A właściwie: z Marcinem i z Filipem. To było przecież ich wspólne życie i ich wspólny dom. Nie mogła ot tak sprowadzić im na głowę lokatorki. Musiała spokojnie porozmawiać z mężem wieczorem przy lampce wina. Tak, cóż… Chyba będzie musiała odkryć kilka kart, opowiedzieć mu trochę więcej o swojej krótkiej, burzliwej znajomości z Grzegorzem. Inaczej Marcin nie zdoła jej zrozumieć. Opowie

mu wszystko… no, prawie wszystko… i pozwoli zdecydować, co zrobić z Zuzą. Powinna podejść do sprawy spokojnie. Rozważyć wszystkie możliwości. Tak jak zawsze radzi swoim klientom przychodzącym na terapię.

– Możesz zamieszkać u nas, dopóki… dopóki twój tata nie wyzdrowieje – powiedziała wbrew rozsądkowi i planom, które przed chwilą ułożyła. – Mamy na górze mały pokój, nieużywany… Uporządkuję go dzisiaj po pracy.

Podjechały pod przychodnię. Akurat zwolniło się miejsce przed samym wejściem.

– Poczekasz tutaj? To potrwa tylko chwilę – powiedziała Agata i wybiegła z samochodu, zostawiając kluczyki w stacyjce. Trzy razy obejrzała się przez ramię, jakby chciała się upewnić, że Zuza wciąż tam jest, że na nią czeka.

Wyglądała tak, jakby zapadła w drzemkę.

Biedactwo – pomyślała Agata z czułością. – Musi być wykończona.

– Pani Agata Marks? – zapytał portier, kiedy wychodziła z przychodni dziesięć minut później.

Przytaknęła, trochę zdziwiona. Kobiety, owszem, zaczepiały ją na ulicy. Znały jej twarz z telewizji śniadaniowych. Prosiły o radę, pytały, czy kupić sześciolatkowi komórkę, o której marzy, chciały się dowiedzieć, jak wyjaśnić dziecku, że króliczek umarł albo że rodzice się rozwodzą. Ale portier? Mężczyźni w wieku emerytalnym, pilnujący kluczy do poszczególnych gabinetów przychodni uniwersyteckiej, nie oglądali chyba programów z jej udziałem?

– Jakaś dziewczynka zostawiła to dla pani – powiedział, wyciągając w jej stronę woreczek foliowy. W środku były kluczyki od samochodu i kartka wyrwana krzywo z zeszytu. Zuza nabazgrała na niej szybko dwa zdania: *Dzięki za wszystko, Aguś. Muszę wracać do domu, nie szukaj mnie. Z.*

Rozdział 9
Magdusia27

– Dlaczego tak się uparłaś, żeby ich znaleźć? – Marcin wyszukiwał w komputerze kolejne numery telefonów i co chwilę wypuszczał z drukarki kartkę zapełnioną namiarami na szpitale wojewódzkie, specjalistyczne i wszystkie inne. – Nie wiemy, w jakiej części Polski leży. Nie wiemy, czy to w ogóle jest w Polsce. Równie dobrze mógł się rozchorować w Niemczech, Anglii albo na Przylądku Dobrej Nadziei.

Agata obdzwoniła już czterdzieści siedem szpitali. Wszędzie podawała się za panią Ratyńską, żonę Grzegorza. W niektórych na pytanie o pacjenta o takim nazwisku odpowiadali bez problemu, w innych kazali przyjechać osobiście, bo informacji przez telefon nie przekazują. Zaznaczała je na liście na czerwono. Do sprawdzenia w drugiej kolejności, jeśli wydzwanianie nie da żadnych rezultatów.

– Nie wiesz nawet, czy ma raka czy się topił, czy wyciągnięto go z pożaru… – Marcin nie ustawał w wysiłkach, by przekonać ją, że te telefony są kompletnie bez sensu. Nie reagowała, więc wciąż drukował kolejne namiary.

– Może to w ogóle nie jest szpital, tylko hospicjum? – Agata ucieszyła się z nowego pomysłu. I zaraz ukryła twarz w dłoniach. Do wszystkich szpitali, które zamierzała obdzwonić, musiała w takim razie doliczyć jeszcze kilkadziesiąt… albo kilkaset hospicjów w całej Polsce.

– Nie zamartwiaj się. Zuza naprawdę wygląda na taką, która sobie poradzi. – Marcin zdecydowanie wolałby, żeby zapomniała o tym pomyśle. Podszedł do krzesła Agaty od tyłu i mocno ją przytulił, a potem zaczął masować jej kark. – Gdyby chciała, żebyś do nich pojechała, podałaby ci swój adres… albo chociaż telefon. Nie podała, więc zostaw ją w spokoju.

Agata pokiwała głową, udając, że się zgadza. Wiedziała, że nie przekona Marcina. Nadal masował jej plecy. Doskonale zdawał sobie sprawę, jak to na nią działa. Zwykle nie umiała się oprzeć jego dłoniom, ale dziś było inaczej. Nie chciała, żeby ten wieczór skończył się w taki sposób. Nie była w nastroju. Nie mogła kochać się z mężem, myśląc o Kropeczce może właśnie jadącej zimnym, ciemnym pociągiem. Albo idącej przez jakieś opustoszałe miasto czy miasteczko. Nie mogła wygonić

z myśli jej… i Grzegorza. A kiedy go sobie wyobrażała, nie był wcale nieprzytomnym, umierającym pacjentem podłączonym do kroplówki. W jej myślach zawsze pachniał dymem swej nieodłącznej fajki i uśmiechał się szelmowsko. Jakby chciał powiedzieć: „Wyskakuj z ciuchów, Perełko. Mam ochotę na szybki numerek, tu i teraz”. Nie, nie mogła kochać się z mężem z tym obrazem w głowie. Poza tym miała jeszcze coś do zrobienia i wolała, żeby Marcina nie było wtedy obok.

– Zaraz pójdę spać. – Ziewnęła, przeciągając się i patrząc na zegarek. Metoda „na wykończoną” zawsze działała. – Ledwo widzę na oczy, idę pod prysznic.

– Ja pierwszy! – rzucił Marcin, pędząc do łazienki.

Zupełnie jakby mieli tylko jedną!

Odczekała chwilę, nasłuchując, czy Marcin zaczął już chrapać. Minuta, dwie, trzy… Jest! Miarowe, płytkie pochrapywanie nie pozostawiało wątpliwości. Spał!

Sięgnęła po stary komputer i odczekała kolejnych kilka minut, patrząc, jak się nagrzewa i uruchamia system operacyjny. Jak ona mogła pracować kiedyś na takim powolnym, beznadziejnym sprzęcie?!

Nie miała żadnego pomysłu na to, jak znaleźć Grzegorza i Zuzę. Żadnego oprócz tych starych maili. Może jest w nich czyjeś nazwisko? Jakaś nazwa miejscowości? Firmy, w której pracują jego rodzice albo siostra? O ile w ogóle miał rodzeństwo. Musiała znaleźć jakiś punkt zaczepienia. Jakikolwiek. Jak najszybciej. Bo – w przeciwieństwie do Marcina – wcale nie była przekonana, że Zuza da sobie radę. Martwiła się o nią. Czuła się za nią odpowiedzialna. Już raz w życiu ją zawiodła. Tym razem naprawdę chciała stanąć na wysokości zadania. Chociaż nie bardzo wiedziała, na czym polega to zadanie. I co zrobi, kiedy odszuka dziewczynę.

O ile ją odszuka…

Przeglądała listę starych maili. Kiedy to było? Październik? A może już listopad? Nie, to była końcówka deszczowego, zimnego, paskudnego października. Ponad osiem lat temu.

Pierwsze maile w sprawie *Królewny Śnieżki* ominęła. Przeglądała je przecież niedawno. Wydawało się, że na nich cała sprawa się zakończy. Towar wysłany, przelew zrobiony, dziękuję za miłą transakcję, zostaw komentarz na Allegro. Jak zwykle.

Towar doszedł, faktycznie.

– Dziekan będzie zachwycony! – Razem z Gośką niecierpliwie rozrywały papier, jakby w środku krył się skarb piratów albo kolia z diamentami.

– No żesz kurwa jego mać! – powiedziała Gocha kilkanaście sekund później, gdy wyjęły z paczki kasetę. Kasetę z napisem „Śpiąca Królewna”. Na opakowaniu długowłosa blondynka w różowej sukience z zamkniętymi oczami czekała na

pocałunek księcia.

Agata spojrzała najpierw właśnie na nią, a nie na stylizowany złoty napis.

– Śnieżka miała czarne włosy – powiedziała, zdziwiona. – Widziałam ten film chyba z pięć razy…

– Bo to nie jest żadna *Śnieżka*, tylko jebana *Śpiąca Królewna*! – Gośka nagle zaczęła się śmiać jak opętana.

Agata patrzyła na nią zszokowana. Nigdy nie słyszała Gośki wyrażającej się w taki sposób. Starsza od Agaty o sześć czy siedem lat, bardzo zdeterminowana, by wreszcie zrobić doktorat. Najpierw na drodze stanęła jej jedna ciąża, rok później druga… Starszy synek był wcześniakiem, dwa lata spędziła z nim w szpitalach. Wróciła na uczelnię dopiero, gdy poszedł do szkoły. I była pewna, że teraz wreszcie nic jej nie przeszkodzi. Gdyby Agata miała wskazać wśród swoich znajomych jedną prawdziwą damę, byłaby to Gośka. Zawsze ubrana stosownie do okazji, powściągliwa, nieobgadująca bliźnich. Nigdy nie słyszała w jej ustach przekleństw. Nigdy, aż do tej chwili.

– To nie jest *Śnieżka*? – Dopiero po chwili dotarło do Agaty, co tak naprawdę powiedziała Gośka. – To naprawdę nie jest *Królewna Śnieżka*?!

– Nie umiesz czytać? – Gośka podstawiła jej kasetę pod nos. Nie było wątpliwości. Dostały nie ten film, który zamówiły. – Rany boskie, dziewczyno, dzwoń do tej Kasiulki, i to szybko!

– Do Magdulki – poprawiła ją Agata.

– No to Magdulki, wszystko jedno – zgodziła się Gocha. – Dzwoń! Dowiesz się przynajmniej, czy to pomyłka czy zwykłe naciągactwo.

– Naciągactwo? Za dziewięćdziesiąt dziewięć groszy? – Roześmiała się. – To się kobieta obłowi…

– Dzwoń do niej, no już! – Gośka wcisnęła jej telefon do ręki.

Agata podeszła do komputera i sprawdziła numer do kobiety, od której kupiła film. Nie lubiła dzwonić do obcych, ale nie było wyjścia…

Telefon nie odpowiadał. Spróbowała jeszcze raz. I jeszcze.

– No tak, zwiała z kasą. – Gośka pokiwała głową.

– Z jaką kasą? – Agata roześmiała się nerwowo i szybko napisała maila.

Maila, którego teraz, ponad osiem lat później, znalazła w skrzynce nadawczej swojego starego notebooka:

Od: AgataSalata
Do: Magdusia27
PILNE!!!

Szanowna Pani, przesyłka doszła, co bardzo mnie ucieszyło, ale niestety radość minęła, gdy otworzyłam paczkę. Przesłała mi Pani nie ten film, na którym tak bardzo

mi zależało! Dostałam „Śpiącą Królewnę” zamiast „Królewny Śnieżki”, a to jej fragmenty mają być wyświetlone na wielkiej konferencji, o której już Pani pisałam. Przyznam, że jestem zrozpaczona. Poinformowałam już dziekana, że dostarczę ten film. Niedotrzymanie słowa sprowadzi na mnie poważne kłopoty i może zakończyć się nawet utratą pracy i niemożnością obronienia doktoratu, nad którym pracuję. Apeluję do Pani z całego serca o pomoc. Proszę powiadomić mnie jak najszybciej, czy zaszła pomyłka i może mi Pani niezwłocznie dostarczyć właściwy film, czy też nie ma Pani „Królewny Śnieżki” i muszę szukać jej gdzieś indziej. Konferencja odbywa się w piątek, a ja muszę jeszcze przegrać film na płytę DVD. Musi on więc dotrzeć do mnie do czwartku. Czekam z ogromną niecierpliwością na wiadomość. Proszę potraktować sprawę poważnie! Jestem przez cały dzień pod mailem, na wszelki wypadek przypominam też mój numer telefonu: 501…

Po czterdziestu minutach przyszedł SMS. Z numeru, na który bez skutku próbowała się dodzwonić.

Nie wiem, jak przepraszać. Wielka pomyłka. Kurier już ruszył ze Śnieżką. Będzie u Pani jutro przed 9:00. Proszę wybaczyć! Zdążymy! Maila wyślę wieczorem.

– Po co mi jej mail? Chcę mieć ten cholerny film, a nie maila z przeprosinami! – jęknęła Agata.

Ale mail zgodnie z obietnicą przyszedł do niej kilka minut po dwudziestej. Mail, jakiego zupełnie się nie spodziewała.

Nie powinnam w ogóle go czytać, a już na pewno nie powinnam na niego odpowiadać! – myślała teraz, po latach.

Przeczytała jednak. I wkrótce potem jej życie zaczęło pędzić jak rollercoaster w wesołym miasteczku.

Pani Agato,

Nie wiem, jak Panią przepraszać. Nigdy w życiu nie spotkało mnie coś takiego. Nie jestem zawodowym sprzedawcą, zdarza mi się wystawiać na Allegro filmy, książki i płyty, z których „wyrosłem”, albo takie, z których wyrosła moja córeczka. Ostatnio sprzedaję kasety z prozaicznego powodu: zepsuł nam się odtwarzacz wideo, przechodzimy więc nieodwracalnie na płyty DVD.

Nie umiem wyjaśnić, jakim sposobem zapakowałem nie ten film, o który Pani prosiła. Nie wystarczy chyba tłumaczenie, że jako mężczyzna nie byłem nigdy, nawet w dzieciństwie, fanem żadnej z księżniczek i wszystkie one wyglądają dla mnie identycznie. Mógłbym wyjaśniać Pani, w jakim żyję w tej chwili stresie, jak koszmarne przeżycia spotkały mnie i moją córeczkę w ostatnich miesiącach… Mógłbym pisać o wyjeździe do Nowego Jorku, który niebawem mnie czeka, i wiąże się z wieloma przygotowaniami… Ale po co miałbym tym Pani zawracać głowę?

Chcę po prostu zapaść się pod ziemię ze wstydu, że narobiłem Pani takiego kłopotu. Ufam, że film dojdzie na czas i uda się wyświetlić go na konferencji zgodnie z planem. Oczywiście ten pierwszy, wysłany omyłkowo, proszę zatrzymać bez żadnych dopłat. Będę szczęśliwy, jeśli przyda się kiedyś, w przyszłości, na jakiejś konferencji. A może ucieszy się z niego Pani dziecko?

Przy okazji: nie jestem kobietą, jak wynikałoby z nazwy mojego konta. To bardzo stare konto mojej żony. Stąd to nieporozumienie. Nie chciałem nikogo oszukać, podszywając się pod płeć przeciwną, jak mogłaby Pani uważać. Po prostu starego konta z wieloma pozytywnymi komentarzami używa się znacznie łatwiej niż zupełnie nowego, nikomu nieznanego. A przecież jest od lat w mojej rodzinie.

Jeszcze raz proszę Panią o wybaczenie,

Grzegorz Ratyński (konto Magdusia27)

Nie było w tym mailu niczego niestosownego, niczego osobistego. Zwyczajne przeprosiny i wyjaśnienie, że Magdusia27 to konto żony, a filmy sprzedaje mąż. A jednak to właśnie od tej wiadomości wszystko zaczęło pędzić jak szalone i znajomość z Grzegorzem przestała być relacją handlową, a stała się czymś bardzo, bardzo prywatnym i intymnym. Czymś, czego zupełnie się nie spodziewała. Po rozstaniu z Ludwikiem naprawdę nie miała ochoty na żaden nowy związek. Do dziś nie wiedziała, jakim cudem wytrzymała z nim tak długo. Dużo starszy od niej, imponował jej wiedzą, erudycją, tytułem profesora… Oczywiście znała ten mechanizm, nawet kiedyś napisała o nim wysoko punktowany artykuł do jednego z najlepszych czasopism psychologicznych na świecie. Wiedziała doskonale, dlaczego się z nim związała. Szukała w nim ojca, którego tak wcześnie straciła. Poczucia bezpieczeństwa, ramion, w których można się schować… Dostała jednak tylko chłód, dziesiątki reguł na każdą okazję… i nieustanne poczucie, że powinna być wdzięczna losowi, iż profesor Ludwik Kański zainteresował się taką zwykłą, szarą doktorantką jak ona.

Rozstanie nie było łatwe. Przez moment wydawało się, że będzie musiała zmienić uczelnię, pisać ten doktorat w Krakowie albo w Toruniu. Próbował nawet zablokować jej drogę do etatu asystenta. Na szczęście jej promotor też miał swoje kontakty. I potrafił być bardzo uparty. Ludwik musiał skapitulować.

Zdecydowanie nie zamierzała wtedy wchodzić w żaden nowy związek. Chciała skupić się w końcu na pracy i na pisaniu doktoratu. Przykład Gośki pokazywał, jak niebezpieczne bywają miłość i macierzyństwo dla kobiety. Potrafią skomplikować wszystkie plany. A Agata nie chciała pisać doktoratu do czterdziestki! Postanowiła więc: najpierw obrona, potem mężczyzna… i ewentualnie dzieci. Ucinała wszystkie flirty, zanim na dobre się zaczęły, nie zauważała dwuznacznych spojrzeń kolegów z Rady Doktorantów.

Ale czy mogła się spodziewać, że kaseta kupiona dla dziekana na Allegro wywróci te plany do góry nogami?

Następnego dnia, z samego rana, kurier przyniósł na uczelnię *Królewnę Śnieżkę* i wielki bukiet kwiatów. Nie mogła zostawić tego bez komentarza. Wysłała więc krótką, grzeczną wiadomość, że kwiaty były niepotrzebne, że naprawdę się nie gniewa, a pomyłki zdarzają się każdemu. I że, oczywiście, przesyła na konto drugi przelew – za drugi film.

Nie ma najmniejszych powodów, żeby robił mi Pan prezenty. Otrzymałam dwa filmy, więc chcę zapłacić za oba, wraz z kosztami przesyłki. Proszę nie mieć żadnych wyrzutów sumienia. Nigdy nie widziałam „Śpiącej Królewny", więc chętnie ją obejrzę. Nie mam jeszcze dzieci, ale przecież w każdym z nas drzemie dziecko… A ja, jako pedagog, powinnam chyba znać takie klasyczne animacje Disneya? Jeśli tylko przeżyję jutrzejszą konferencję, w sobotę spędzę popołudnie z pewną zaspaną pannicą, która nie słuchała rodziców…
Pozdrawiam serdecznie i dziękuję za wszystko,
Agata Marks

Nie zamierzała oglądać w weekend żadnych bajek. Chciała się po prostu porządnie wyspać. Napisała do niego, bo chciała być miła i zakończyć elegancko całą tę sprawę.
Okazało się jednak, że ten kurtuazyjny mail nie tylko sprawy nie zamknął, ale wręcz otworzył ją na dobre.

– Agata, co ty tu robisz? – Marcin stał w drzwiach i patrzył na nią półprzytomnym, zaspanym wzrokiem. – Dlaczego nie śpisz?
Zrobił krok do przodu i zajrzał jej przez ramię. Miała nadzieję, że zdążyła zamknąć stary list, zanim go zobaczył.
On jednak i tak wiedział, co robi jego żona.
– Znowu grzebiesz w mailach sprzed lat? – Westchnął ciężko. – Ten komputer już długo nie pociągnie. Jeśli są dla ciebie ważne, zgraj je na pendrive'a i przerzuć do swojego laptopa.
Na pendrive'a i do laptopa! Eureka! Miała ochotę rzucić się Marcinowi na szyję. Zamiast tego oburzyła się głośno:
– Wcale nie są ważne, nie będę sobie nimi dysku zaśmiecać. Po prostu szukam jakiegoś śladu Zuzy… Boję się, że jest gdzieś teraz całkiem sama.
– Czy ta dziewczyna nie ma matki? – Marcin przykucnął przy krześle Agaty i spojrzał jej głęboko w oczy.
– Ma, ale nie widziała jej od dawna. Ta tak zwana matka wyjechała na drugi koniec

świata i zaczęła nowe życie. Przynajmniej tak było osiem lat temu.

– Osiem lat temu. – Marcin wyprostował się i podszedł do okna. – Agata, czy jest coś, o czym powinniśmy porozmawiać? Coś, co powinienem wiedzieć?

– Nie byłeś moim pierwszym partnerem, to chyba żadna tajemnica – zaczęła, obiecując sobie, że nie poda mu żadnych szczegółów. – Ty też miałeś przede mną inne dziewczyny.

Wiedziała, co teraz powie. Wiedziała.

No już, mów! Córka żadnej z tych dziewczyn nie nachodzi nas dzisiaj po nocach. No mów!

Nie powiedział tego. Ale była pewna, że pomyślał. Dokładnie tymi słowami.

– Myślałem, że Grzegorz był przelotną znajomością – powiedział, uważnie dobierając słowa.

– Bo był – przytaknęła. – Nie kłamałam. Cała ta znajomość trwała kilka tygodni… Mniej niż miesiąc… Spędziliśmy razem tylko trzy dni…

– A więc… – Odwrócił się wreszcie od tego okna i stanął tak, żeby widzieć dokładnie twarz żony. – A więc dlaczego jego córka mówiła do ciebie wtedy „mamo”?

– Skąd… skąd o tym wiesz? – Przecież nie było go w domu, kiedy Zuza pojawiła się po raz pierwszy. Tego dnia, gdy piekła pierniczki z Filipem. Tego dnia, gdy powiedziała: „Kiedyś byłaś moją mamą”. A więc… Jakim cudem o tym wiedział?

– Filip zapytał mnie, co to znaczy – wyjaśnił, biorąc głęboki oddech. – Myślał, że masz tylko jedno dziecko. Jego. I nagle usłyszał coś takiego.

No tak, Filip. Dlaczego nie przyszedł do niej z tym pytaniem?

– Wiesz, Zuza po prostu bardzo chciała mieć mamę – wyjaśniła najprościej, jak mogła. – Chciała tak bardzo, że wymyśliła sobie, że to ja nią będę.

– A ty się na to zgodziłaś? Tak po prostu? – Marcin pokręcił z niedowierzaniem głową. – Narobiłaś nadziei dzieciakowi faceta, którego prawie nie znałaś?

– Myślałam, że dotrzymam słowa. – Spuściła wzrok. Wiedziała, że nie zdoła mu tego wytłumaczyć. Lepiej było już nic nie mówić i po prostu iść spać.

Rozdział 10
Zadzwoń do mnie!

Po trzech czy czterech dniach przyszedł kolejny mail. W zupełnie innym nastroju.

Przepraszam, że znów Panią niepokoję. Jestem jednak załamany stanem mojej córki. Zuzanka ma sześć i pół roku. Osiem miesięcy temu odeszła ode mnie żona. Z dnia na dzień postanowiła zmienić swoje życie i wyjechać do Kenii z pewnym brodatym Szwedem. Buduje tam szkołę i pomaga biednym dzieciom. Bardzo to szlachetne… Szkoda tylko, że nie pomyślała o tym dziecku, które zostawiła za plecami. Zuzia przez trzy miesiące prawie nie spała. Była zapuchnięta od płaczu i nawet przez sen wołała mamę. W tej chwili jest lepiej. Niby lepiej… Ale moim zdaniem to depresja. O ile diagnozuje się depresję u tak małych dzieci? Nie jestem ekspertem. Rozmawiałem z psychologiem, ale odesłał mnie do psychiatry. Psychiatra zaproponował położenie jej na tydzień do szpitala. Nie oddam mojej kruszynki do szpitala psychiatrycznego! Ona potrzebuje domu, ciepła, miłości.

Dlatego piszę do Pani. Jest Pani, jeśli dobrze zrozumiałem, psychologiem lub pedagogiem. Pisze Pani doktorat. I pracuje na jednej z najlepszych uczelni w Polsce. Może zna Pani kogoś, kto mógłby nam pomóc? Szukam specjalisty, który wyciągnie Zuzankę z tej apatii i bólu i sprawi, że znowu będzie zwyczajną, wesołą dziewczynką. A może Pani sama zechciałaby się z nią spotkać? O ile zajmuje się Pani małymi pacjentami? Chętnie będę dojeżdżać do Warszawy, jeśli zajdzie taka potrzeba.

Będę bardzo, bardzo wdzięczny za pomoc. Wierzę, że nie przypadkowo los postawił mi Panią na drodze. Może właśnie Pani przywróci Zuzi radość życia?

Z szacunkiem i nadzieją,

Grzegorz Ratyński

Nie mogła zignorować tego listu. To dziecko naprawdę potrzebowało pomocy, a Agata… cóż, Agata mogła mu pomóc.

Nie, nie prowadziła wtedy terapii. Jeszcze nie. Uprawnienia psychoterapeutki zrobiła dopiero po urodzeniu Filipa. Ale przecież znała ludzi w całej Polsce, którzy

się tym zajmowali. Naprawdę najlepszych. Przede wszystkim zaś znała objawy PTSD, czyli zespołu stresu pourazowego, na który najwyraźniej cierpiała ta mała. Musiała szybko, jak najszybciej, napisać mu, co ma robić.

Napisała więc w punktach. Przesłała linki do kilku stron internetowych. Namiary na fachowców z jego okolicy. A w końcu wsadziła do koperty poradnik dotyczący stresu pourazowego u dzieci i przesłała na jego adres kurierem, żeby doszedł następnego dnia.

Pani Agato,

Nie wiem, jak mam Pani dziękować za pomoc. Odłożyła Pani własne sprawy, żeby ratować moje dziecko. Przejęła się Pani losem Zuzanki bardziej niż jej własna matka. Dziękuję z całego serca.

Przeczuwałem, że pomysł psychiatry z leczeniem na oddziale szpitalnym, wśród obcych ludzi, z moimi odwiedzinami trwającymi godzinę dziennie, nie jest najtrafniejszy. Przeczuwałem (bo fachowej wiedzy przecież nie posiadam!), że Zuzia musi zostać w domu, gdzie czuje się bezpiecznie. Nie bez powodu trzyma się cały czas mojego rękawa. Chce być blisko i mieć pewność, że jej nie zostawię. Tak jak Pani pisała, rozmawiamy sobie o tym, co ją trapi, opowiadam jej bajki o lisku, który zgubił mamę… Wszystko zgodnie z Pani radami. W piątek idziemy do terapeuty, którego Pani poleciła! Dziękuję, dziękuję, dziękuję!

wdzięczny Grzegorz

Przez następne dwa tygodnie niemal co godzinę mailowo konsultowała z przerażonym mężczyzną zachowania Zuzi. Przybiegała do komputera między zajęciami ze studentami. Potem poprosiła, żeby w pilnych sprawach pisał SMS-y. Telefon pikał co chwilę. Zdarzało jej się odpisywać w toalecie, na zebraniu u dziekana, w czasie kolokwium, które prowadziła w dwudziestoosobowej grupie… Miała wrażenie, że poznała już tę dziewczynkę całkiem nieźle. I że przy okazji poznała jej ojca. Po trzynastu albo czternastu dniach zdobyła się na wyznanie:

Sama wcześnie straciłam ojca. Pamiętam jak przez mgłę jego pogrzeb i czerwoną różyczkę, którą niosłam w dłoni. Podobno potem leżałam na wycieraczce przez trzy dni, pytając, kiedy wróci. Sytuacja Pana córki porusza mnie więc nie tylko zawodowo, lecz także prywatnie. Zrobię wszystko, żeby jej pomóc.

Chyba właśnie po tym liście zaczęli coraz częściej pisać o osobistych sprawach. Z początku powoli, niemal niezauważalnie… a potem coraz śmielej i śmielej. Opowiadała mu o pracy, o studentach, o badaniach, które prowadzi, o konferencjach, a wreszcie i o kłodach, które rzuca jej pod nogi profesor Talaga, bo bardzo mu się nie

podoba temat jej doktoratu. Potem opisała też bolesne rozstanie z Ludwikiem i problemy, jakie miała z tego powodu na uczelni: utratę bliskich przyjaciół, którzy stanęli po jego stronie, oraz podważanie jej kompetencji. Sama nie zauważyła, kiedy jego maile stały się najważniejszymi elementami dnia. Czekała na nie niecierpliwie, z bijącym sercem. Coraz częściej były w nich komplementy. Nie tylko dotyczące jej delikatności, zaangażowania w sprawę, wiedzy o psychice dziecka, lecz także tego, jak wspaniałą jest kobietą. Jakie szczęście będzie miał ten, którego wybierze. Jak cudowne dzieciństwo będą miały jej dzieci.

Wreszcie zaproponowała, żeby przeszli na ty.

To sprawiło, że puściły ostatnie tamy.

Zakochuję się w Tobie każdego dnia mocniej. Moje złamane serce, które miało już na zawsze pozostać martwe, znowu bije szybciej. Rozpuściłaś lód wokół niego. Rozpaliłaś je. Wybacz mi szczerość tych wyznań. Myślę o Tobie od rana do nocy. Wyobrażam sobie, że tu jesteś, że opowiadasz Zuzance bajkę na dobranoc, a na jej buzi znowu gości uśmiech.

Nie umiała się złościć, powstrzymać go ani śmiać z tego, że te wyznania brzmiały jak z jakiegoś szmirowatego romansidła w różowej okładce, sprzedawanego na dworcowym straganie po złotówce. Prawdę mówiąc, wizje tego, że to właśnie ona, Agata, bawi się z Zuzią, tuli ją przed snem i plecie jej warkoczyki, sprawiały, że uśmiechała się całymi dniami.

Czasami mam ochotę zajrzeć na Allegro, spisać Twój adres i ruszyć do Warszawy. I patrzeć Ci w oczy, i rozmawiać do białego rana. I wziąć Cię w ramiona…

Gdy to przeczytała, poczuła strach. Po raz pierwszy uświadomiła sobie, że Grzegorz ma jej adres. Nie tylko ten na uczelni, ale także domowy. Był przecież wpisany w ustawieniach Allegro, dostawał go automatycznie każdy, kto jej coś sprzedał.

A trzy albo cztery dni później, po kolejnych pięćdziesięciu mailach, zaczęła marzyć tylko o jednym: żeby zrobił z tego adresu użytek, przyjechał, stanął w jej drzwiach, wziął ją w ramiona…

Perełko, czekałem na Ciebie przez całe życie. Przy każdej z moich kobiet i w każdą z moich samotnych nocy. Zmieniłem się. Uśmiecham się do ludzi na ulicach. Wiem, że to wariactwo, tak zakochiwać się w kimś, kogo się nigdy nie widziało, nie słyszało. Ale ja już mam pewność, że znalazłem swoją przystań. Swój bezpieczny brzeg.

Przystań? Bezpieczny brzeg? O matko… Tym razem musiała się roześmiać.

Litościwie postanowiła w żaden sposób nie komentować tego w swoim liście i nie wyśmiewać specyficznego stylu Grzegorza. Nie każdy jest przecież poetą. A poza tym… cóż, tak naprawdę uwielbiała te maile. Po dwóch latach spędzonych z Ludwikiem, zimnym i zdystansowanym, upajała się każdym słowem Grzegorza, każdym jego wyznaniem.

A tych listów było więcej i więcej.

Stawały się coraz gorętsze. I pełne obietnic.

Marzę tylko o jednym, Perełko. Zakraść się do Twojego łóżka cichutko, kiedy śpisz, i obsypać Cię pocałunkami tak delikatnymi, że wcale by Cię nie obudziły… Uśmiechałabyś się tylko i mruczała, przekonana, że to jakiś piękny sen.

A potem wreszcie otworzyłabyś oczy. I od razu byś wiedziała, że to ja. W ułamku sekundy zaskoczenie i strach zamieniłyby się w szczęście. Teraz już nasze pocałunki nie byłyby delikatne i nieśmiałe. Zatracilibyśmy się w nich, aż do spełnienia.

Właśnie po tym liście uznała, że już czas zrobić kolejny krok. Wóz albo przewóz. Maile to nie jest prawdziwa rozmowa. Można w nich udawać. Przepisać je z książki. Poprosić kolegę, żeby stworzył coś romantycznego.

Jeśli faktycznie coś ma ich połączyć… Tak, powinni porozmawiać. Na początek przez telefon.

Mimo że tak bardzo nie znosiła rozmawiać przez telefon z nieznajomymi.

Ale Grzegorz nie był nieznajomym.

Był jej bliski, jak nikt. Choć wiedziała, że to szaleństwo.

Napisała więc:

Chcesz poznać mój głos? Zadzwoń. Masz przecież mój numer. Tylko proszę, nie teraz. Idę już spać. I nie jutro do 18:00. Mam przed sobą upiorny dzień, pracy po same uszy. Będę siedzieć na uczelni od rana do wieczora. Nie zdążę pewnie nawet zjeść kanapki i będę musiała wyłączyć telefon, żeby jakimś cudem wyrobić się ze wszystkim. Ale o 18:00 będę już w domu. Zadzwoń!

Była pewna, że to rozsądna propozycja. Kto wie, jak potoczy się ta rozmowa przez telefon. Może będzie niezręcznie, sztywno, i cały ten dziwaczny flirt na odległość wreszcie się zakończy? Chwilami wydawało jej się, że to najlepsze rozwiązanie. Że taka znajomość nie może mieć przed sobą przyszłości. Ale przecież była też druga możliwość… Nie chciała nawet o niej myśleć, ale przecież ta rozmowa telefoniczna mogła przenieść ich na kolejny poziom bliskości. Mogło być namiętnie i gorąco, tak jak w mailach. Albo jeszcze bardziej? Pomysł cyberseksu zawsze wydawał się Agacie dziwny i wydumany. Ale teraz po raz pierwszy w życiu mogła sobie wyobrazić, że go

uprawia. Nie od razu, rzecz jasna. Ale gdyby rozmawiali codziennie, za którymś razem, być może, sprawy zaszłyby aż tak daleko.

Wyobraziła sobie, że słucha głosu kochanka w komórce, a jej dłonie posłusznie robią to, o co ją prosi… co jej każe. On zaś, po drugiej stronie, dotyka się coraz bardziej niecierpliwie, słuchając jej słów i spełniając jej dzikie fantazje.

Myśl o tym, że ten dzień zakończy się rozmową, prawdziwą rozmową z Grzegorzem, sprawiała, że z trudem mogła skupić się na zajęciach ze studentami. Sześć grup, jedna po drugiej! Promotor nieźle ją załatwił, ustawiając jej wtorki tak, że nie miała nawet chwili, żeby wypić kawę. Pięć grup ćwiczeniowych, sami pierwszoroczniacy, raczej niezainteresowani tematem. W ten wtorek miała jeszcze szóstą, dodatkową. Zastępstwo za chorego kolegę. Biegała między budynkami bez kurtki, ryzykując zapalenie płuc. Dwa razy trafiła nie do tej sali, co trzeba. Musiała nawet dzwonić do Gośki, żeby zerknęła na jej plan i sprawdziła, gdzie prowadzi zajęcia. Bo kartkę z rozpiską oczywiście zostawiła na biurku. A Gośka ledwo raczyła jej odpowiedzieć, obrażona na cały świat. W sumie trudno jej się dziwić. Akurat wtedy Gocha przeżywała kryzys wiary w miłość. Zaczynała podejrzewać, że jej ukochany mąż romansuje z sekretarką. Usłyszała ich dwuznaczną rozmowę przez telefon, przeczytała jakieś SMS-y, ale na razie nie znalazła żadnych dowodów zdrady. Była tym całkowicie pochłonięta. Co mogły ją w takiej sytuacji obchodzić problemy Agaty ze znalezieniem sali?

Jadąc do domu, czuła się, jakby szła na rozbieraną randkę. Do osiemnastej zostało dziesięć minut. Wzięła szybki prysznic, umalowała usta wiśniową szminką, założyła brązową koronkową bieliznę – komplet, który Ludwik dał jej tuż przed rozstaniem. Dał go jej, gdy już wiedział, że przesadził, posunął się za daleko… że Agata zaczyna się oddalać. To był pierwszy i jedyny prezent, jaki od niego dostała. Naprawdę myślał, że zatrzyma ją kompletem drogiej bielizny?!

Do tej pory nie miała okazji, żeby pokazać się w nim mężczyźnie. Raz poszła w nim do teatru. Gryzł i drapał pod czarną sukienką tak, że niewiele brakowało, by pojechała do domu w czasie przerwy.

Dziś jednak była gotowa na tę odrobinę niewygody. Choć tak naprawdę nie miała pojęcia, po co takie przygotowania do rozmowy telefonicznej. Wszystko to przecież działo się przed epoką wszechobecnego panowania Skype’a i Facebooka. O kamerkach internetowych Agata słyszała wtedy tylko na wykładzie na temat nowych technologii. Jej komórka przypominała raczej masywny przycisk do papieru albo radio tranzystorowe wujka Zbyszka, które pamiętała z dzieciństwa. I na pewno nie dało się zrobić nią zdjęcia, na którym widać byłoby coś więcej niż kolorowe plamy. O ile w ogóle miała aparat? Dziś już nie umiała sobie tego przypomnieć.

Komputer zapiszczał na znak, że przyszedł nowy mail. Jak zawsze, od ostatniej wizyty Zuzy, Agacie serce podskoczyło do gardła. Za każdym razem miała nadzieję, że to wiadomość od niej albo od Grzegorza. Starała się wyglądać zupełnie normalnie, udawała przecież, że pracuje. Nawet Pola, zwariowana i nieuporządkowana, nie zrozumiałaby, po co w godzinach pracy czyta przy swoim biurku jakieś stare maile zgrane na pendrive'a. Spokojnie, nie dając po sobie poznać, jak bardzo jest podekscytowana, zajrzała do skrzynki odbiorczej. Żeby to był mail od Zuzy, żeby był od Zuzy…

Nic z tego. To była tylko krótka wiadomość od Justyny. Zdawała relację z kolejnego etapu swojej podróży przez całe Stany:

Jest bosko! Jutro jedziemy do Vegas. Tymon chce, żebyśmy wzięli tam ślub. On nie żartuje! Marzy o ceremonii w jednej z tych tandetnych kapliczek, z dwoma przebranymi Elvisami w roli świadków! Mieliśmy przecież pobrać się jak ludzie, po powrocie do Polski, ale on nagle wpadł na ten pomysł z Vegas. I gada o tym przez cały czas. Słyszałaś kiedyś o czymś bardziej zwariowanym?

Czy słyszała? Tak… O pozornie poukładanej, inteligentnej kobiecie piszącej doktorat o meandrach ludzkiej psychiki. Kobiecie, która miała już nigdy się nie zakochać. I która nagle zaczęła planować życie z mężczyzną, którego nigdy nie widziała na oczy. Z mężczyzną i z jego córeczką… O kobiecie, która wyznawała miłość człowiekowi znanemu tylko z maili. Ślub w Vegas w porównaniu do szaleństwa tamtych dni wydawał jej się czymś zupełnie zwyczajnym.

Dla niepoznaki poszeleściła chwilę papierami, po czym – uznając, że już uśpiła czujność Poli – wróciła do zgranego ze starego komputera archiwum poczty. Otworzyło się w okamgnieniu. Bez problemu znalazła właściwy list.

Dziękuję, że to zaproponowałaś. Że pozwoliłaś, bym zadzwonił. Porozmawiamy dziś, Perełko. Obiecuję Ci to. Pracuj sobie spokojnie. A wieczór będzie nasz. Porozmawiamy, choćby i do rana. Nigdzie się nam przecież nie śpieszy.

Masz rację. Te maile już przestają nam wystarczać. Już czas zrobić kolejny krok.

Kocham Cię, moja Perełko.

Gdy przyszedł ten list… Tak dobrze to pamiętała. Wtedy prawie unosiła się nad ziemią.

Gośka oczywiście natychmiast zauważyła, że coś się dzieje.

– Kim on jest? – zapytała po prostu, gdy Agata po raz kolejny zastygła przy biurku w pół gestu, zapatrzona w przestrzeń z głupawym uśmiechem.

– To długa historia. – Po raz pierwszy nie chciała się z nikim dzielić tym, co

przeżywa. Nie miała takiej potrzeby, a może po prostu nie umiała o tym opowiedzieć. Wiedziała przecież doskonale, że nikt – zwłaszcza stateczna, uporządkowana Gocha, która wyszła za swojego pierwszego chłopaka po pięciu latach znajomości i zaręczynach w obecności rodziców i teściów – nie zrozumie tego szaleństwa, w które wdała się Agata. O ile mailowe umizgi męskiej wersji Magdusi27 mogłyby ją jeszcze zainteresować i rozbawić, to już fakt, że Agata nie pozostawała na te umizgi obojętna, byłby dla niej kompletnie nie do pojęcia. Tak, w tej sytuacji najlepiej było milczeć.

Po ośmiu latach wciąż miała dreszcze i rumieńce, siedząc w tym samym uczelnianym pokoju przy tym samym biurku i wspominając tamte chwile. Życie od maila do maila, od SMS-a do SMS-a, uczucie unoszenia się nad ziemią. Czekanie na ten pierwszy telefon.

Rozdział 11
Nie wiem nic więcej

– Agata, twoja komórka dzwoni trzeci raz. Nie słyszysz? – Pola, która od trzech lat dzieliła z nią tę klitkę na drugim piętrze, miała minę równie podejrzliwą, jak kiedyś Gośka.

– O rany, przepraszam, zamyśliłam się. – Błyskawicznie wróciła do teraźniejszości.

Tamten telefon osiem lat temu nie zadzwonił. Ani o osiemnastej, ani o dziewiętnastej. Nie przyszedł też mail. Z nerwów aż drżały jej dłonie. Nie, nie martwiła się, że mu się odwidziało, że się odkochał, że poznał inną, kupując cebulę albo tankując samochód. Bała się, że coś się stało Zuzi. Że Grzegorz jest w szpitalu przy jej łóżku. Że wydarzyło się coś straszliwego. Że stres pourazowy, który wydawał się opanowany, był u dziewczynki silniejszy, niż się zdawało. Że uciekła z domu, wyskoczyła przez okno… Było tyle koszmarnych, tragicznych możliwości!

Wysłała do niego SMS-a. I maila. Bez odpowiedzi.

Szalała z niepokoju.

Wiadomość przyszła o drugiej w nocy. Brzmiała, jakby pisał ją ktoś obcy.

Wybacz, mam problemy. Nie chodzi o Zuzię. Zrobiłem wielką głupotę i muszę za nią zapłacić. Powinnaś o mnie zapomnieć raz na zawsze. Kocham Cię.

Dzwoniła, ale nie odebrał.

Szybko otrząsnęła się ze wspomnień. Z tego gorzkiego, piekącego pod powiekami rozczarowania, tak żywego nawet po latach. Komórka na jej biurku dzwoniła uparcie, chyba już po raz czwarty. Numer na wyświetlaczu zupełnie nic jej nie mówił. Pewnie znowu jakaś dziennikarka, która chce ją zaprosić do telewizji śniadaniowej. W niektórych województwach trwają przecież ferie zimowe, na pewno trzeba będzie skomentować sprawę samodzielnych wyjazdów dzieci, znalezienia zajęcia dla tych maluchów, które zostają w mieście, i oczywiście – jak zawsze – problem picia alkoholu i uprawiania seksu na zimowiskach. A poza tym zbliżają się walentynki. Trudno o tym zapomnieć, przeciskając się w każdym sklepie wśród czerwonych

balonów, czerwonych pudełek z czekoladkami i kartek do wysłania ukochanej osobie – oczywiście z czerwonymi serduszkami. Nie ominie jej zapewne komentowanie w jakimś programie radiowym fenomenu święta zakochanych i jego wpływu na Polaków. Jest przecież ekspertem od wszystkiego.

– Halo? – powiedziała do telefonu. – Halo?

Po drugiej stronie słychać było tylko jakieś trzaski. A potem…

– Agata, to ty? – Głos Zuzy, bez cienia wątpliwości! – Agata, musimy się spotkać, ale nie u ciebie w domu. Jest coś, co koniecznie muszę ci powiedzieć.

– Jasne – zgodziła się szybko. – Gdzie jesteś?

– Tutaj. Pod twoimi drzwiami.

Po raz trzeci Agata przeżyła szok na widok Zuzy. Spodziewała się fioletowych włosów i rzęs, jak podczas ostatniego spotkania. Albo burzy rudych loków, jak przy pierwszej, grudniowej wizycie. Tym razem jednak Zuza wyglądała prawie jak Kropeczka sprzed ośmiu lat. Tyle że trochę większa. Jej włosy były czarne, związane w luźne kitki opadające na ramiona. Nie miała makijażu ani kolorowych szkieł kontaktowych. Jakby zdecydowała, że nie chce nikogo udawać. Wyglądała na młodszą i bardziej bezradną niż w wersjach rudej i fioletowej.

Agata podeszła i mocno przytuliła ją do siebie.

Nie wyrywała się. Położyła głowę na jej ramieniu.

– Tak się martwiłam – szepnęła Agata. – Nie możesz jeździć sama po całej Polsce!

Pola nie miała pojęcia, kim jest Zuza i co się właściwie dzieje, ale zrozumiała natychmiast, że nie powinna przeszkadzać w tej rozmowie.

– Idę do dziekanatu – powiedziała, zgarniając z biurka stertę papierów. Zdaniem Agaty – całkowicie przypadkowych. Na wierzchu leżały decyzje stypendialne sprzed dwóch lat. Po co jej w dziekanacie takie śmieci?!

To jednak nie był odpowiedni moment, żeby analizować bałaganiarstwo Poli.

– Chcesz herbaty? Może jesteś głodna? Boże, buty masz całe mokre. Zdejmij je, postaw na kaloryferze, bo się przeziębisz! – Agata automatycznie przełączyła się z programu „naukowiec” na program „troskliwy opiekun”.

– Musimy porozmawiać – powtórzyła Zuza to, co mówiła przez telefon. – Usiądź.

Agata posłusznie usiadła, w ostatniej chwili wysuwając krzesło zza biurka i stawiając je na środku pokoju, żeby nie wyglądały jak urzędniczka i petentka. Tym bardziej, że petentką w ich relacji zdecydowanie była Agata. Zuza po raz kolejny rozdawała karty. Przychodziła, kiedy chciała; znikała, kiedy chciała; mówiła tyle, ile chciała i kiedy chciała.

– Tata jest cały czas nieprzytomny. – Tym razem najwyraźniej zamierzała od razu przejść do rzeczy.

– Bardzo mi przykro. – Agata wiedziała, że to brzmi banalnie. Ale naprawdę było

jej przykro. – Jak ty sobie radzisz? Chodzisz do szkoły?

Zuza zignorowała jej pytanie.

– Miał wypadek samochodowy – oświadczyła zamiast odpowiedzieć.

Dziwne, że dopiero teraz. Zawsze jeździł jak wariat – pomyślała Agata. Zdołała jednak ugryźć się w język i nie powiedzieć tego na głos.

– Zrobili mu wszystkie możliwe badania – mówiła dalej dziewczyna.

– W którym jest szpitalu? Może trzeba się postarać o jakieś konsultacje z neurologiem? – Agata znała przecież kilku wybitnych fachowców.

– Był u niego neurolog, bardzo dobry. – Zuza patrzyła w okno nad głową Agaty. – Przygotował mnie na to, że tata może się już nie obudzić.

– Z kim ty teraz właściwie mieszkasz? Z babcią? Bo dziadek chyba nie żyje, dobrze pamiętam? – Program „troskliwość” znowu doszedł do głosu. – Nie myślałaś o tym, żeby polecieć do mamy? Ona wciąż jest w Kenii? W takiej sytuacji na pewno się tobą zajmie…

Zuza nie odpowiadała. Za oknem musiało dziać się coś bardzo ciekawego, wpatrywała się w nie z takim napięciem. Agata nie śmiała jednak się odwrócić, żeby sprawdzić, co widać za szybą. Siedziała bez ruchu i czekała.

– Lekarze zrobili mu wszystkie badania, które mogli. Wszystkie, potrzebne i niepotrzebne – odezwała się wreszcie dziewczyna jakimś drewnianym głosem.

Już mi to mówiłaś! – chciała krzyknąć Agata. Zdołała jednak znów ugryźć się w język. Czekała.

– Znaleźli w jego krwi wirusa HIV – powiedziała Zuza niemal szeptem.

No tak, to zmieniało sytuację. Nawet jeśli Grzegorz jakimś cudem obudzi się ze śpiączki, może umrzeć za miesiąc czy dwa. Nie wiadomo, jak zaawansowana jest choroba. Szlag by to trafił, AIDS to przecież nie złamana kość, która zaraz się zrośnie. A Zuza najwyraźniej nie chciała słyszeć o wyjeździe do matki, do Afryki. W takim razie…

– Porozmawiam z mężem. – Agata uśmiechnęła się, głaszcząc ją po dłoni. Zuza cofnęła rękę. – Na pewno się zgodzi, żebyś z nami zamieszkała. Filip będzie szczęśliwy, bardzo cię lubi.

Nagle przyszło jej do głowy, że nie powinna mówić o Grzegorzu, jakby już był martwy. Spróbowała więc z innej strony:

– Wiesz, dzisiejsza medycyna czyni cuda. Są leki, dzięki którym można przeżyć wiele lat. – Rozciągnęła usta w czymś, co miało przypominać krzepiący uśmiech. – Jeśli tata się obudzi… kiedy już się obudzi… wtedy na pewno lekarze jakoś opanują sytuację.

– Agata, nie rozumiesz? – Zuza nagle poderwała się z krzesła tak gwałtownie, że zachwiało się i z łoskotem upadło na ziemię. – On ma HIV-a! Mama nie ma! Ja też nie! Zakaził się później! A więc… Agata, ty też możesz to mieć! I twój mąż, i Filip…

Cały czas próbuję ci to powiedzieć!

Agata nie mogła złapać oddechu. Trzymała się biurka obiema rękami i próbowała policzyć do dziesięciu. Ona? Ona miałaby mieć HIV? Nie, to nie dzieje się naprawdę! To niemożliwe! To jest, kurwa, nie-moż-li-we. To jakaś kolejna gierka Zuzy. Za chwilę dziewczyna znowu zniknie na miesiąc albo rok, a cała ta historia okaże się wyssana z palca.

– Pani doktor, przepraszam… – W drzwiach pojawiła się szczurza, pryszczata twarz jakiegoś studenta. – Czekamy na panią w sali dwieście siedem… Mieliśmy mieć egzamin.

– Tak, oczywiście. Tak. Egzamin. Już idę. – Nadludzkim wysiłkiem wstała i zaczęła zbierać rzeczy.

Chłopak wciąż stał i czekał.

– Już idę! – podniosła głos. – Proszę wrócić do kolegów. Macie klucz do sali? No to świetnie. Wyjmijcie kartki i długopisy. Teczki i wszelkie pomoce naukowe ułóżcie pod ścianą. Zaraz do was przyjdę.

Pryszczaty wycofał się przerażony. Doktor Marks słynęła z poczucia humoru i partnerskich układów ze studentami. Egzaminowała zawsze ustnie, sprawdzając nie to, czy delikwent zna siedemnaście definicji, ale to, czy umie myśleć. A tu nagle karteczki? Teczki pod ścianę? I ten ton… Chłopak pobiegł ostrzec kolegów. Zapowiadała się ciężka przeprawa.

– Muszę zamknąć pokój – powiedziała Agata, blada jak ściana. – Zuza, błagam, poczekaj na mnie. Nie znikaj. Musimy porozmawiać.

– Musisz zrobić test – odpowiedziała dziewczyna. – Ja nie wiem nic więcej.

– Poczekaj na mnie! – Agata przestała panować nad sobą. Po twarzy ciekły jej łzy. Złapała Zuzę za ramię i potrząsnęła, mocniej, niż chciała. Boże, ona! Ona, która była jedną z twarzy kampanii „Nic nie usprawiedliwia bicia”! – Zuzia, Kropeczko, Zuzanko, błagam cię. Poczekaj. Za godzinę spokojnie porozmawiamy. Pojedziemy do domu. Nie możesz jeździć sama po całej Polsce. Zuza, obiecaj, że zaczekasz.

– Ja nie wiem nic więcej. Zrób ten test – powtórzyła dziewczyna, wychodząc na korytarz.

Rozdział 12
Na hamaku, wśród palm

Kiedy Marcin przyjechał po nią pod pracę taksówką, niczego się nie domyśliła. Kiedy poprosił, żeby zostawiła samochód na uczelnianym parkingu i pojechała razem z nim, pokiwała głową i bez protestów dała się do tej taksówki doprowadzić i posadzić na tylnym siedzeniu.

Pogrążona w myślach, zastanawiała się tylko nad jednym: jak przetrwać do świtu i pojechać wreszcie na ten test. Dlaczego Zuza nie przyniosła tej wiadomości z samego rana? Wyszukała w Internecie wszystkie punkty konsultacyjno-diagnostyczne w okolicy. Ale żaden z nich nie był czynny o tej porze, gdy w końcu udało jej się uciec ostatnim studentom stojącym w kolejce do jej pokoju z indeksami, pracami zaliczeniowymi i rozdziałami prac magisterskich. Czy takie rzeczy muszą się dziać akurat tuż przed zakończeniem semestru? Jak dobrze, że jutro ma dzień wolny. Pójdzie na badanie z samego rana. Zuza na pewno nie mówiła prawdy. Wymyśliła to wszystko. On nie może mieć AIDS. Nie może… A nawet jeśli ma, to przecież nie złapał tego kilkanaście lat temu, tylko niedawno. Gdyby był seropozytywny, zanim ją poznał, obydwoje już dawno by nie żyli. Co ta Zuza mówiła? Że jej matka nie ma HIV? No to wszystko jasne. Agata też nie ma. Przecież spotkali się zaledwie siedem czy osiem miesięcy po rozstaniu Grzegorza i Magdy.

– Dokąd my jedziemy? – Ocknęła się nagle. Zamiast ciemnej drogi, wiodącej na ich spokojne osiedle, widziała obwodnicę.

– Zaraz się dowiesz. – Marcin przysunął się nieco bliżej. Zabrała rękę. Czuła się jak trędowata. Nawet przelotne dotknięcie jej skóry mogło sprowadzić na kogoś nieszczęście.

Dopiero kiedy taksówkarz skręcił na lotnisko, a chwilę później mąż wyjął z bagażnika jej własną czerwoną walizkę, dotarło do niej, co się dzieje.

– Zawsze chciałaś, żebym był bardziej romantyczny. – Marcin uśmiechnął się rozbrajająco. – No to jestem. Porywam cię w szaloną podróż na rocznicę ślubu!

– Ale… ale… – Nie była w stanie złapać oddechu, i to nie ze wzruszenia ani z radości. – Ale ja nie mogę nigdzie jechać!

– Ależ oczywiście, że możesz. Dziękujemy panu bardzo. – Marcin wcisnął taksówkarzowi banknot do ręki i próbował przesunąć żonę na chodnik. Nie zauważyła, że stoi na środku jezdni, kompletnie blokując ruch. Kierowcy trąbili, policjant gwizdał i biegł w jej stronę. Ale w tej chwili nie miało to dla Agaty najmniejszego znaczenia.

– A co z Filipem? – To była ostatnia deska ratunku. – Zapomniałeś, że mamy syna?

Marcin uśmiechnął się szelmowsko.

– Jest u twojej mamy. Zawiozłem go ze szkoły prosto na Grójecką. A razem z nim tyle ciuchów, zabawek i książek, że wystarczy mu na całe pół roku.

– A jeśli czegoś nie spakowałeś? Czegoś, co będzie mu jutro bardzo potrzebne? – Ogarnęła ją panika, zbierało jej się na płacz.

– Twoja mama ma klucze do naszego domu. Nie martw się. Pojedzie i weźmie, co trzeba. Filip to duży chłopak. Cieszy się, że odpoczniemy. Zresztą to tylko trzy dni.

Trzy dni? Nie miała trzech dni! Musiała zrobić ten cholerny test. Chciała być w laboratorium jak najwcześniej, gdy tylko je otworzą. Musiała się dowiedzieć. Musiała!

– Nie chcę zostawiać Filipa na trzy dni – jęknęła. – Nie teraz. W przyszłym miesiącu lecę do Pekinu, nie chcę, żeby miał jakiś uraz, żeby uznał, że ciągle wyjeżdżam.

– Nie martw się. Twoja mama zaplanowała dla niego mnóstwo atrakcji. Jutro na noc przychodzi do niego Jacek, będą jedli popcorn i oglądali straszne filmy. – Marcin objął ją ciasno. Pogłaskał po twarzy. Na jego dłoni, jak wyrzut sumienia, błysnęła gruba obrączka. Delikatnie popchnął Agatę w stronę stanowiska odpraw numer dwieście trzydzieści sześć. – Nie mieliśmy pieniędzy na podróż poślubną. Robiliśmy remont zamiast gdzieś wyskoczyć chociaż na kilka dni. Chcę to nadrobić i zabrać cię tam, dokąd zawsze chciałaś pojechać. Pamiętasz, o czym marzyłaś, kiedy cię poznałem? Chciałaś wyruszyć w romantyczną podróż do Włoch. A ja obiecałem ci, że kiedyś pojedziemy. W taką podróż, którą zapamiętamy do końca życia. Chcę to zrobić teraz. Czy proszę o zbyt wiele?

Spojrzał jej prosto w oczy. Zwykle topiła się pod tym spojrzeniem. Dziś była na nie odporna.

– Od tamtej pory byliśmy we Włoszech chyba z dziesięć razy – powiedziała.

– Ale z Filipem na campingu. Albo z Justyną i Tymonem na koncercie. Albo na twojej konferencji, na którą zabrałaś mnie na przyczepkę. Albo na moim jednodniowym szkoleniu, na które pojechałaś ze mną, żeby zobaczyć Krzywą Wieżę – wyliczał Marcin cierpliwie. – A ja chcę, żeby to była taka bajeczna podróż do Włoch, o jakiej marzyła dziewczyna, w której się zakochałem. Tylko nasza, na rocznicę ślubu. Na walentynki.

– Walentynki są przecież dopiero za dziesięć dni – mruknęła.

– Przepraszam. – Zabrał rękę i wcisnął ją do kieszeni. – Nie jestem milionerem. Nie stać mnie na pokój w romantycznym hotelu w jednym z najpiękniejszych miejsc we Włoszech w walentynki. Zresztą rezerwację trzeba byłoby zrobić pewnie trzy lata temu. Naprawdę tak bardzo ci przeszkadza to kilkudniowe przesunięcie naszej rocznicy?

Czuła się podle. Nie chciała mu robić przykrości. Wiedziała, że bardzo się postarał. Zrobił to wszystko w sekrecie. Gdyby nie rozmowa z Zuzą, byłaby przeszczęśliwa. Ale teraz? Jak mogła lecieć na drugi koniec Europy, skoro jej życie wisi na włosku? Być może wisi, od ponad ośmiu lat… I jej, i Marcina, i Filipa.

– Nie chciałam być niemiła. Tylko… to bardzo kiepski moment, najgorszy z możliwych – powiedziała.

– To świetny moment. – Marcin robił wszystko, żeby ją przekonać, mimo że oczy ciemniały mu już ze złości. – Nie masz jutro zajęć ze studentami. Większość egzaminów odwaliłaś już dzisiaj, prawda? A te piątkowe Pola przesunęła ci na przyszły tydzień. Bez problemu. Panie w dziekanacie były zachwycone, kiedy usłyszały, że jedziesz w taką romantyczną podróż.

Pola? On naprawdę wciągnął w swój plan pół Warszawy! Nawet panie z dziekanatu! A ona nie mogła nic poradzić na to, że słowa „romantyczna podróż do Włoch” kojarzyły jej się teraz tylko z jednym: z tamtą podróżą, którą planowała z Grzegorzem. Po wariacku, w mailach, wbrew jakiejkolwiek logice. Po telefonie, którego nie było. Po tym czterodniowym milczeniu odezwał się w końcu jeszcze bardziej zakochany, spragniony, niecierpliwy. Jakby coś przemyślał przez te cztery dni. Jakby się ostatecznie przekonał, że zależy mu na tym związku. Coś się w nim wtedy zmieniło. Stawiał wszystko na jedną kartę. Nie chciał mieć żadnej drogi odwrotu.

Z początku protestowała, obracała wszystko w żart. Ale w końcu dała się porwać jego wizjom. Logika i rozsądek poszły spać.

Kocham, kocham, kocham! Pytałaś, czy chcę zobaczyć Twoje zdjęcia. Nie, nie chcę. Nie muszę. Nie ma znaczenia, jak wyglądasz, Perełko. Kocham to, jaka jesteś wewnątrz. Kocham Twoje ciepło, wrażliwość, poczucie humoru… Nieważne, czy jesteś brunetką czy blondynką, wysoką czy niską, chudą jak patyk czy pulchną jak pączuszek. Kocham Cię!

Mówię serio. Serio jak nigdy w życiu. Nie mam żadnych wątpliwości. Padam na kolana i błagam Cię o rękę. Tu i teraz. Kupię Ci pierścionek, jaki zechcesz. Chcę być z Tobą do końca życia.

Perełko moja, wyjedźmy gdzieś, gdzie nie będą nas odrywać od siebie telefony, praca, codzienne sprawy, znajomi spotykani na ulicy. Wyjedźmy, by poznać się do końca. Powiedz, w jakim kraju najbardziej chciałabyś kochać się ze mną po raz

pierwszy? Powiedz, powiedz. Polecimy tam, choćbym miał wziąć kredyt pod zastaw mieszkania. Nie wiedziałem, że można być tak zakochanym. Chcę, żeby wszystko było doskonałe.

Nie pogniewaj się o to, co powiem… Chciałbym wziąć z Tobą ślub. Teraz, natychmiast. Mailowo. Listownie. Tak, żeby nie było już odwrotu. Żebyśmy patrząc na siebie po raz pierwszy, byli już mężem i żoną. Wiem, że to szaleństwo. Tak, jestem szalony. Zwariowałem dla Ciebie. Zuzia powiedziała dziś do mnie: „Tato, ty pierwszy raz jesteś taki wesoły. Przy mamie taki nie byłeś". Nie byłem, Zuzik ma rację. To Ty uczyniłaś mnie szczęśliwym człowiekiem.

Wymień tylko miasto. Spotkamy się tam. Przyjadę z pierścionkiem zaręczynowym. Będziemy spacerować, rozmawiać, kochać się, kochać, kochać… Zamawiać jedzenie do pokoju i kochać się dalej… Jak Ci się podoba ten pomysł podróży przedślubnej? Wymień tylko miasto!

Wymieniła: Rzym. Od dzieciństwa marzyła o Rzymie. Oglądała *Rzymskie wakacje* chyba ze sto razy. Już sobie to wyobrażała… Tam mogliby się spotkać, zaręczyć, wrzucić pieniążek do fontanny di Trevi, a potem kochać się przez całe dnie i całe noce.

– Będziemy się kochać dniami i nocami – szepnął jej Marcin do ucha.

Zadrżała. Jak mogłaby się z nim kochać? Jeśli jakimś cudem nie zakaziła go do tej pory… A nawet jeśli zakaziła… Jak mogłaby uprawiać seks, nie wiedząc, czy w jej krwi nie krąży śmiertelny wirus?

Nagle wpadła na genialny plan. Skoro naprawdę muszą tam jechać, to niech przynajmniej nie zostaje z Marcinem ani na chwilę sam na sam. Pokoje we włoskich hotelach są maleńkie. Jedna dodatkowa osoba, która nie odstępowałaby ich na krok, załatwi sprawę.

– Zadzwońmy do mamy. Niech przywiezie Filipa tutaj – wyrzuciła z siebie jednym tchem. – Będę spokojniejsza, mając go przy sobie.

– To nasza spóźniona podróż poślubna, nie rodzinne wakacje. – Znów to spojrzenie prosto w oczy. Z mieszanką furii i rozczarowania. – Agata, posłuchaj. Kocham Filipa tak samo jak ty. Ale to duży chłopiec. Już kilka razy spał u babci. Nic mu nie będzie. A ty… proszę, ten jeden jedyny raz… pozwól mi nacieszyć się nami. Tylko nami.

– Państwo do Nicei? – Jakaś zdyszana emerytka z walizką stanęła zdezorientowana obok nich.

– Nie. – Pokręciła głową Agata.

– Tak. – Pokiwał głową Marcin.

– Do Nicei? – Spojrzała na niego zaskoczona. – Mówiłeś chyba coś o Włoszech?

Zupełnie jakby to miało jakieś znaczenie. Przecież nie mogła tam lecieć. Nie mogła i tyle!

– Nicea jest blisko włoskiej granicy. – Emerytka potraktowała ją jak upośledzoną osobę, nieznającą geografii.

– Pani ma rację. – Marcin spojrzał na nią przeciągle. Znała ten wzrok. Rozmiękczał nim serca wszystkich swoich klientek. I pań w urzędach, które akceptowały bez sprawdzania całą dokumentację techniczną kładzioną przez niego na ich biurkach. – Nicea jest blisko Włoch... i najbliżej naszego celu podróży.

– A jaki jest nasz cel podróży? – zapytała, właściwie *pro forma*. Naprawdę w żadnym wypadku nie mogła nigdzie lecieć! Musiała wracać do domu jak najszybciej.

– Mały domek z basenem i widokiem na morze… niedaleko San Remo… – Marcin zniżył głos do szeptu. – Idealne miejsce na miodowy miesiąc, nawet taki spóźniony jak nasz. Tam właściwie nigdy nie ma zimy. Z basenu pewnie nie skorzystamy, ale cała reszta na pewno się przyda. Wyniesiemy ciepłe koce i będziemy się kochać na hamaku, wśród palm w naszym ogrodzie, w blasku gwiazd, wyobrażasz sobie?

Wyobraziła sobie, owszem. Wirusa rozprzestrzeniającego się z prędkością światła po organizmie Marcina.

– Ktoś jeszcze z państwa do Nicei? – Blondynka w niebieskim uniformie wyszła zza kontuaru z numerkiem dwieście trzydzieści sześć i rozejrzała się wokół. – Zamykamy odprawę.

– Jeszcze my! – Marcin niemal podbiegł do stanowiska i rzucił na blat dwa paszporty. – Agata Marks i Marcin Korczyński – oświadczył takim tonem, jakby mówił: „książę i księżna hrabstwa Kent”.

– Dziękuję bardzo, miłego lotu. – Uśmiechnęła się blondynka, podając im karty pokładowe.

Agata rzuciła okiem na wagę. Pięć i pół kilograma? Mogłaby to zabrać na pokład jako bagaż podręczny! Co on zapakował do tej czerwonej walizki? Same majtki i staniki? W lutym? Włochy przecież mimo wszystko leżą w Europie! Potrzebowała swetrów, dżinsów, zapasowych butów. To znaczy: potrzebowałaby, gdyby zamierzała tam lecieć. A przecież nie zamierzała. Rezygnowała z romantycznej wyprawy z ukochanym mężem do swoich ukochanych Włoch. Do bajecznej willi koło bajecznego San Remo. W swoją cudowną podróż poślubną opóźnioną o siedem lat.

Tylko dlaczego czerwona walizka odjeżdżała na taśmie coraz dalej od stanowiska dwieście trzydzieści sześć?

Stała na środku lotniska i czuła, że zbiera jej się na płacz.

– Zadzwoń do mamy, jeśli naprawdę musisz. – Marcin, zrezygnowany, podał jej swój telefon. – Będziesz miała spokojniejszy lot, jeśli się upewnisz, że wszystko jest w porządku. A potem zapomnij o wszystkich i wszystkim oprócz mnie.

– Marcin, ja naprawdę nie mogę. Nie chodzi o Filipa. – Zebrała się na odwagę. – Chodzi o to, że dziś po południu u mnie na wydziale pojawiła się Zuza.

– Zuza?! Znowu ona? – Tym razem nie umiał już zapanować nad wściekłością. Chyba pierwszy raz w życiu widziała go w takim stanie. Zacisnął pięści, podniósł głos, używał słów, jakich nigdy u niego nie słyszała. Nigdy tak się nie zachowywał. Naprawdę nigdy. Ludzie przechodzący obok patrzyli na nich zaciekawieni. – Nie mów o niej więcej w mojej obecności. Rozumiesz? Ani słowa więcej. O tej gówniarze ani o jej tatuśku, który najwyraźniej pukał cię lepiej niż ja. Bo wciąż masz maślane oczy przy tych jego starych mailach. Sorry, może nie zgłębiłem wszystkich tajników Kamasutry, bo zarabiałem na nasz wspólny dom, myłem nasze garnki i zmieniałem pieluszki naszemu synowi. Ale to chyba nie ma dla ciebie żadnego znaczenia?

– Ależ ma, oczywiście. – Zrobiła krok w jego stronę. A on się cofnął, niemal z odrazą. Wściekłość minęła. Zostały smutek i rozczarowanie bijące z całej jego postawy.

– Agata, kiedy ja cię ostatni raz o coś prosiłem? No, kiedy? Nie pamiętasz, prawda?

– Nie pamiętam – przyznała.

– A więc proszę cię teraz. Tak jak jeszcze nigdy o nic. Wyjedź ze mną. To dla mnie ważne. Daj mi te trzy dni. I nie wspominaj o Zuzie ani o jej ojcu, dopóki nie wylądujemy znowu na Okęciu. Zrób to, jeśli mnie kochasz. Nie psuj tej podróży.

Rozdział 13
Czerwony kabriolet

Podróż ciągnęła się w nieskończoność. Słowa Zuzy – „Ty też możesz to mieć” – krążyły po całym samolocie. Po raz pierwszy w życiu czuła się tak, jakby naprawdę miała za moment zwariować. Słyszała te słowa z ust pasażerów, którzy wcale się nie odzywali. Widziała je napisane na oknach, fotelach i uniformach stewardes. Marcin siedział obok zachwycony i cały czas trajkotał o tym, jak bardzo należał im się ten wyjazd, jak rzadko mają czas dla siebie.

– Wiesz, że to ty mnie natchnęłaś tym pomysłem? – Uśmiechał się do niej szeroko. – Mówiłaś niedawno w radiu o kryzysie siedmiu lat. Pamiętasz? Akurat jechałem do klienta do Radomia i wysłuchałem w samochodzie całej audycji. Opowiadałaś tam o tym, że w siódmym i ósmym roku małżeństwa jest statystycznie najwięcej rozwodów. Wyjaśniałaś ten mechanizm. Rutyna, dom już zbudowany, dzieci zdążyły się urodzić i pójść do przedszkola. Ludziom zaczyna czegoś brakować, analizują swój związek, robią bilans…

– Rachunek zysków i strat – mruknęła. – Mówiłam o tym, że robią rachunek zysków i strat.

– No właśnie – zgodził się od razu. – Zastanowiłem się wtedy, jak wygląda ten rachunek u ciebie. Czy cię nie rozczarowałem przez te lata. Czy nie jest w naszym życiu za dużo spokoju i rutyny, a za mało namiętności i romantyzmu.

Tylko nie namiętności! Nie chciała słyszeć tego słowa! Już raz dała się porwać namiętności i co? Gdzie ją to doprowadziło? Na cmentarz! A przynajmniej na testy, które mają sprawdzić, czy na tym cmentarzu niebawem wyląduje.

– Postanowiłem, że nas taki kryzys siedmiu lat nie dotknie. – Objął ją ramieniem i przyciągnął do siebie. – Że go przechytrzymy, nawet jeśli czai się gdzieś niedaleko.

Czai się, owszem, ale coś gorszego niż kryzys – jęknęła w myślach. Wiedziała jednak, że nie wolno jej tego powiedzieć. Zwłaszcza teraz, w samolocie. Nie mogła wyznawać mu takiego czegoś w tłumie obcych ludzi. W dodatku ryzykując, że wyniosą ich z tego samolotu w specjalnych kombinezonach i zawiozą do szpitala zakaźnego na kwarantannę. W końcu dla stewardes nie ma pewnie różnicy: ebola,

HIV czy ptasia grypa…

Marzyła o tym, żeby się upić i przestać myśleć. Przestać się bać choć na moment. Ale wciąż była trzeźwa jak niemowlak. Miała nadzieję, że stewardesa zaraz przyniesie napoje, że będzie mogła wypić choćby szklaneczkę wina… Okazało się jednak, że nie może na to liczyć. Nie w tym samolocie.

– Szanowni państwo. Postój samolotu w Warszawie po poprzednim locie został drastycznie skrócony z przyczyn technicznych. Uniemożliwiło nam to uzupełnienie cateringu bez narażania państwa na wielogodzinne opóźnienie. Nie będziemy więc w czasie tej krótkiej podróży serwować napojów ani przekąsek. Serdecznie przepraszamy i życzymy przyjemnego lotu.

Przyjemnego lotu? Agata poczuła, że ma bardzo sucho w ustach. Że oszaleje, jeśli się natychmiast czegoś nie napije. Z przyczyn technicznych, też coś! Ona jest prawdopodobnie śmiertelnie chora i co? Ma tu umrzeć z pragnienia?

Sięgnęła do torby, żeby poszukać miętówek albo gumy do żucia. Zaczęła nerwowo przerzucać wszystkie papiery, laptopa położyła na kolanach… i natychmiast niemal spadł jej na podłogę.

Marcin chwycił go w ostatniej chwili i popatrzył na Agatę z troską.

– Źle się czujesz?

– Nie. – Pokręciła głową i nagle zaczęła płakać jak dziecko. – To znaczy tak. Fatalnie. Chyba będę miała migrenę.

Migrena. Tak, to mogło załatwić przynajmniej sprawę romantycznego seksu wśród palm, z widokiem na morze. Miewała migreny dość regularnie, zwykle dzień przed miesiączką lub na samym jej początku. Marcin znał doskonale tę prawidłowość. Powinien więc dać jej spokój w kwestii seksu. I tak naprawdę w każdej innej kwestii też. Z migreną zwykle leżała w ciemnym pokoju z ciemną szmatą na oczach i żuła kawałek imbiru.

– Potrzebuję imbiru – jęknęła, zasłaniając oczy ręką.

Właściwie kiedy tak o tym teraz myślała… Tak, wyraźnie czuła już, że migrena może nadejść lada chwila. Atakowała przecież wtedy, gdy Agata była spięta, gdy miała jakieś stresy w domu albo w pracy, gdy mało spała i jadła byle co. Dziś – dopiero teraz to sobie uświadomiła – nie zjadła nawet jabłka, które zapewne całkiem zgnije w szufladzie biurka. Od rozmowy z Zuzą nie wypiła też ani kropli wody. I na pewno czeka ją bezsenna noc. A nawet trzy bezsenne noce. Jak mogła się zgodzić na ten wyjazd? Dlaczego nie postawiła na swoim i nie zwiała z tego lotniska? Mogłaby zrobić test już jutro z samego rana…

– Prosimy o powrót na swoje miejsca, złożenie stolików i zapięcie pasów. Rozpoczynamy schodzenie do lądowania – powiedział aksamitny damski głos.

Agata poczuła, że przestaje nad sobą panować. Strach przed chorobą, przed śmiercią, przed tym, że zakaziła męża i synka, paraliżował ją całą. Po twarzy ciekły

jej łzy i nie umiała ich powstrzymać.

– Agata, nie psuj tych dni. Pozwól mi… pozwól nam zadbać o to, co nas łączy. – Marcin po raz kolejny otarł jej oczy chusteczką, objął ją ciasno i poprowadził do taśmy, po której przesuwały się bagaże. Jego walizka była na oko trzy razy większa i siedem razy cięższa od jej. Mogła tylko mieć nadzieję, że zapakował do niej po prostu większość jej ubrań i kosmetyków.

Nie odpowiedziała ani słowem. Złapał więc walizki i ruszył niemal kłusem przez ciemny parking, niosąc je w obu dłoniach.

– One mają kółka! – krzyknęła zza jego pleców. Zupełnie jakby nie wiedział.

I ruszyła za nim biegiem.

Dopędziła go, gdy sprawdzał coś na kartce, rozglądając się dookoła z bezradną miną.

– Wynająłeś samochód? – zapytała zdziwiona. Była kiedyś na konferencji w pobliżu Nicei. Tylko dwa dni, nie udało jej się nawet zwiedzić miasta. Ale pamiętała, że komunikacja w całym rejonie była zorganizowana genialnie. Wzdłuż wybrzeża co chwilę jeździły autobusy i pociągi. Po co marnować pieniądze na wynajmowanie auta? Tym bardziej że Marcin nie planował zwiedzania, tylko namiętny seks z widokiem na morze. Zrobiło jej się zimno na samą myśl.

– Jest! – Mąż złapał walizki i zaczął się przepychać między samochodami.

Na końcu alejki, po prawej stronie, stał lśniący czerwony kabriolet.

– Pani pozwoli. – Nacisnął niepewnie guzik na pilocie i otworzył drzwi.

Czerwona walizka Agaty idealnie pasowała do czerwonej tapicerki.

Nagle przypomniała sobie ludzi z czerwonymi wstążeczkami rozdających jakieś ulotki na dworcu kilka tygodni temu. Światowy Dzień AIDS? Tak to się nazywało? Widywała ich co roku na początku grudnia. Tej zimy też na nich wpadła, kilkanaście dni przed pierwszą wizytą Zuzy. Tak, to musiało być wtedy. Wszędzie wisiały świąteczne dekoracje, z głośników płynęło nieśmiertelne *Last Christmas* grupy Wham!. Była ich fanką w wieku ośmiu albo dziewięciu lat…

Pomyślała wtedy, że powinni wybrać na uświadamianie ludzi inny termin. Może tuż przed wakacjami? Przez grzeczność wzięła ulotkę od chłopaka z czerwoną kokardką przypiętą do kurtki i poszła dalej.

Z trudem łapała oddech. Nie mogła patrzeć na tę czerwoną walizkę i cudowny, czerwony kabriolet.

– Podoba ci się? – Marcin patrzył na nią z szerokim uśmiechem. – Pamiętasz naszą pierwszą podróż do Kołobrzegu? Zatłoczonym pociągiem? Z przedziału pełnego pijanych żołnierzy na przepustce uciekliśmy na zatłoczony korytarz. Drogą wzdłuż torów jechał czerwony kabriolet. Pamiętasz, co powiedziałaś?

Bezradnie pokręciła głową. Żołnierzy pamiętała, owszem, jak zły sen. Ale

kabriolet? Nie.

– Powiedziałaś: „Oddałabym wszystko, żeby się nim przejechać”. – Znów ten beztroski, radosny uśmiech męża. – A ja obiecałem sobie, że kiedyś zabiorę cię takim autem nad morze! Długo to trwało… ale oto jest. Idealny, prawda?

– Idealny – przytaknęła, łykając łzy. Miała tylko nadzieję, że ich nie widzi. Włożył w ten wyjazd tyle wysiłku. Wszystko miało być doskonałe. Nie chciała tego popsuć.

Będę udawać szczęśliwą – postanowiła. – Jeśli tylko nie będzie usiłował zaciągnąć mnie do łóżka, dam mu wszystko, czego chce. Będę głośno się śmiała i zachwycała wszystkim dookoła. Ja i tak mam skopany nastrój… spieprzony, spierdolony… zjebany… cholernie zjebany nastrój… Nic tego nie zmieni. Ale dlaczego ma cierpieć także Marcin? Spróbuję naprawdę z całej siły uratować z tych trzech dni, co się da. Dla niego. Dla nas.

– Jest piękny. Nie wierzę, że pamiętałeś przez tyle lat… że naprawdę to zrobiłeś. – Uśmiechnęła się do męża najpromienniej, jak umiała.

– Powinienem to zrobić już dawno. – Zatrzasnął obie walizki w bagażniku i przyciągnął ją do siebie. O sekundę za późno zorientowała się, że zamierza pocałować ją w usta. Gwałtownie wykrzywiła głowę, a jego wargi trafiły w pustkę.

Nie panikuj – powiedziała sobie, próbując złapać oddech. – HIV nie przenosi się ze śliną. Mówiłaś o tym dzieciakom na pogadankach chyba ze sto razy. Nie można się zakazić przez pocałunek. Chyba że ktoś ma na wargach jakąś ranę, a druga osoba…

– Agata, o co chodzi? – Marcin próbował spojrzeć jej w oczy. – Agatka…

– Przepraszam. – Przygryzła wargę. – Bardzo cię przepraszam. Naprawdę źle się czuję, pęka mi głowa. Jedźmy już.

Zapowiadały się upiornie długie trzy dni.

– Samolot powrotny mamy wczesnym popołudniem. – Marcinowi przez całą drogę nie zamykały się usta. Cieszył się jak dzieciak. – Więc pomyślałem, że wyruszymy na lotnisko trochę wcześniej i po drodze zobaczymy całe wybrzeże. Zatrzymamy się na kawę w Mentonie, zjemy lunch w jakiejś małej knajpce…

Pokiwała głową, starając się pamiętać o uśmiechu. Chociaż chyba i tak nie mógł go zobaczyć. Jechali krętą drogą w całkowitej ciemności. Lodowaty wiatr urywał im głowy, ale oczywiście nie było mowy o zamknięciu dachu. Nie po to wypożycza się kabriolet, żeby jeździć z zamkniętym dachem! Marcin wpatrywał się w jezdnię, mocno ściskając kierownicę i mrużąc oczy.

Gdy podróżowali razem, zwykle to ona siedziała na fotelu kierowcy. Wieczorami zawsze ustępował jej miejsca. Nie lubił prowadzić, miał bardzo skomplikowaną wadę wzroku, która zmuszała go do ciągłego zmieniania okularów. Agata zaś uwielbiała kierować samochodem, robiła to pewnie i dobrze. Zero punktów karnych przez siedem lat. Siedem lat… No tak. Zaczęła prowadzić dopiero przy Marcinie. Ludwik

uważał, że kobiety są fatalnymi kierowcami. I że samochody to sprawa mężczyzn. Kiedyś nawet wysiadł z taksówki, gdy zobaczył, że prowadzi ją kobieta.

Z Marcinem wszystko było zupełnie inaczej. Prosto, normalnie. Tym razem jednak nie ośmieliła się zaproponować, że poprowadzi. To był jego plan i wiedziała, że chce sam zawieźć ją na miejsce. Była zresztą tak zdenerwowana, że mogłaby rozbić się na pierwszym drzewie. Albo, co gorsza, mogłaby wjechać w nie specjalnie. Gdyby nie Filip, być może pomyślałaby o tym całkiem poważnie.

– Zaraz będziemy na miejscu. – Na moment oderwał wzrok od pnącej się ostro w górę drogi i rzucił żonie zachwycone spojrzenie. – Pięknie tu, prawda? Spójrz na tę panoramę.

Jeszcze raz zmusiła się do uśmiechu.

Miała tylko nadzieję, że zaraz po przyjeździe pójdą spać.

Rozdział 14
Bardzo mała infekcja

Dom był zjawiskowy. Naprawdę. Stary, z kamiennymi schodami, wielkim tarasem, oknami od podłogi do sufitu. I to położenie na zboczu góry, nad samym morzem. Nawet teraz, po ciemku, rozciągały się z niego bajeczne widoki. W oddali widniały światełka jakiegoś portu i rozrzuconych na skałach domów. Księżyc wisiał na wyciągnięcie ręki, nad samym morzem. A gdy uchyliło się okno, nie było słychać samochodów, pociągów czy śmiejących się ludzi. Tylko szum fal.

Ten szum zawsze działał na nią kojąco. Wzięła głęboki oddech, przymknęła oczy. Może znajdzie tu spokój, mimo wszystko? I jakoś przetrwa te dni? Skoro nie poszła na test przez ponad osiem lat, siedemdziesiąt dwie godziny nie zrobią chyba dużej różnicy?

Gdy tylko weszli do środka, Marcin zniknął gdzieś z tajemniczą miną.

– Zaraz wracam – szepnął.

Aż bała się myśleć, co może planować.

Wrócił po pięciu minutach z butelką wina i dwoma kieliszkami.

– Załóż kurtkę i chodź na taras. – Uśmiechnął się, szeroko otwierając przeszklone drzwi. – Urządziłem dla nas ciepłe, przytulne gniazdko. Posiedzimy, popatrzymy w gwiazdy. Może jakaś spadnie i spełni nasze marzenie?

– Posiedzimy? Zwariowałeś? W taki mróz? Nie, nie ma mowy, nie zamierzam wrócić stąd do domu z zapaleniem płuc. – Miała nadzieję, że jej przerażenie wygląda naturalnie.

– Jaki mróz? Jest siedemnaście stopni! – Marcin postukał palcem w wyświetlacz swojej komórki leżącej na stole. A potem odwrócił się do okna. – W tych kocach będzie nam cieplutko, przysięgam. Zresztą… Kurczę, Agata! Kiedyś nie przeszkadzał ci prawdziwy mróz. Pamiętasz tamtego sylwestra, gdy dałem ci pierścionek? Całowaliśmy się na tym balkonie w Kościelisku chyba przez godzinę. Miałaś na sobie sukienkę cienką jak mgła, a z każdą chwilą było coraz zimniej. I jakoś nie narzekałaś…

Nie narzekała. To prawda. W jego ramionach było jej gorąco. Teraz też nie miałaby nic przeciwko zagrzebaniu się z nim w tych miękkich kocach, które wyniósł na dwór. Gdyby nie… gdyby nie… Nie mogła nawet w myślach wypowiedzieć słów: „Gdyby nie to, że może zakazić go HIV”.

– Słuchaj. – Położyła mu rękę na ramieniu. – Mam swoje powody, naprawdę. Porozmawiamy o nich w domu, dobrze? Cieszmy się tym wyjazdem, tak po prostu. Bez seksu.

Spodziewała się wybuchu śmiechu. Jakiejś kpiny. „Cieszyć się bez seksu? Jak to sobie wyobrażasz? Chyba żartujesz?”. Ale Marcin nigdy nie powiedziałby czegoś takiego. Ludwik? Nie… Dla Ludwika seks w zasadzie mógłby nie istnieć. Lubił pokazywać się z ładną doktorantką, poklepać ją po pupie przy swoich siwych kolegach, obnosić się z nią jak z cennym łupem. Ale po przyjściu do domu właściwie jej nie zauważał. Szybki numerek raz na miesiąc w zupełności mu wystarczał. I zawsze to ona musiała robić pierwszy krok. Ale Grzegorz? O tak, on domagałby się bardzo stanowczo tego, co mu się należy. Nigdy nie ukrywał, że miłość to dla niego harmonia dusz, ale też seks do utraty tchu, od rana do nocy, od nocy do rana. I że jest to dla niego bardzo ważne. Ale Marcin był inny.

Spojrzał na nią z troską.

– Agata, co się dzieje? Agatka? Musisz mi powiedzieć.

Pewnie, że muszę – zgodziła się w myślach. – Ale nie teraz. Nie tutaj. Nie mogę tak cię straszyć bez sensu, bez powodu… Mam nadzieję, że bez powodu. Wystarczy, że ja się boję za ciebie i za siebie. I za Filipa. Kocham cię, Marcin. Kocham cię bardzo i dlatego powiem ci o wszystkim dopiero, gdy dostanę do ręki wynik testu. Wściekaj się na mnie, jeśli chcesz. Wściekaj, wrzeszcz, bądź zły i smutny. To i tak lepsze niż ten strach. Nie mogę cię nim zarazić. Nie zrobię tego… Nie teraz. Powiem ci, gdy dostanę wynik, czarno na białym. Chyba nie czeka się na niego tygodniami?

– Agata, czy ty kogoś masz? – Wziął jej twarz w dłonie i zmusił, żeby na niego spojrzała. – To on, tak? Ten Grzegorz? Powiedz mi! On wcale nie jest nieprzytomny? Nie leży w żadnym szpitalu?

– Skąd ja mam to wiedzieć? Wiem tyle, ile raczyła powiedzieć mi Zuza! – Tym razem nie musiała udawać. Mówiła prawdę. – Nie miałam z nim kontaktu od ośmiu lat. Przecież wiesz.

– A więc nie chodzi o niego? Przysięgniesz mi, że on nie ma z tym nic wspólnego?

Ależ ma! Ma więcej wspólnego, niż przypuszczasz! – chciała krzyknąć, ale nie powiedziała ani słowa. Odwróciła wzrok.

– Agata, co jest grane? Chodzi o te stare maile? Przeczytałaś je i doszłaś do wniosku, że jednak to on, a nie ja, jest miłością twojego życia? I czekasz, aż się wybudzi ze śpiączki, żeby zapytać, czy czuje do ciebie to samo?

– Zwariowałeś? – Śmiała się i płakała jednocześnie. Słone, wielkie łzy spływały

jedna po drugiej, zatrzymując się na jej wargach, mocząc kołnierzyk bluzki…

Otarła twarz mankietem i powiedziała:

– Kocham ciebie. Tylko ciebie. Przysięgam. Opowiem ci wszystko w domu za kilka dni. Wtedy mnie zrozumiesz.

Marcin wyszedł na taras i przysiadł na hamaku wśród poduszek i koców, tyłem do niej.

Po chwili wahania podeszła, usiadła koło niego i spojrzała na księżyc wiszący nad morzem. Wszystko wyglądało jak na kiczowatym obrazku. Było doskonałe. Wszystko… Oprócz niej.

Kochać to patrzeć w tym samym kierunku – przypomniała sobie nagle. Kto to powiedział? Paulo Coelho? Mały Książę? A może Hamlet? Przecież musi to pamiętać! Kiedyś na praktykach w gimnazjum zadała dzieciom wypracowanie na ten temat! W takim razie raczej nie Coelho. Nie było go w programie nauczania, a ona szczerze nie znosiła jego książek.

Położyła głowę na ramieniu męża. Uznał od razu, że to znak pojednania. Takiego pojednania, na jakie absolutnie nie mogła się zgodzić.

Zaczął całować ją łapczywie, niecierpliwie, jak nie on. Sięgnął palcami do guzika jej dżinsów. Jak na złość, tym razem udało mu się odpiąć za pierwszym razem. A przecież zawsze tak się z nimi męczył! Zawsze!

Odepchnęła go i zeskoczyła z hamaka.

– Nie mogę, naprawdę. – Spojrzała na niego błagalnie. Gdyby tylko mógł nie pytać już o nic więcej!

On jednak pytał.

– Dlaczego? – Znowu stał obok.

Nagle wpadła na genialny pomysł.

– Nie chciałam psuć nastroju, to takie nieromantyczne, ale wiesz… – Starała się nie patrzeć mu w oczy, żeby się nie zorientował, że coś kombinuje. Jej myśli pędziły jak błyskawica. – Byłam przedwczoraj u lekarza. Mam taką małą… taką małą infekcję. Nic groźnego, ale sam rozumiesz… Nie mogę na razie współżyć.

Odetchnęła z ulgą. To chyba musi zrozumieć!

– Infekcję? Jaką infekcję?

– No… intymną! – Chyba nie zamierzał się domagać szczegółów medycznych i nazw łacińskich? Nigdy go to nie interesowało!

– Bakteria? – Tym razem najwyraźniej nie zamierzał odpuścić.

– Bakteria albo grzyb… Nie pamiętam. Dostałam leki, za parę dni będzie po sprawie. Nic groźnego, naprawdę. Nie ma w ogóle o czym mówić.

– Ależ jest. – Znów wziął jej twarz w dłonie, przytrzymał. Tym razem nie miała odwagi odwrócić wzroku. – Powiedz, gdzie się tym zaraziłaś.

– Skąd ja mam wiedzieć? – Zdenerwowała się. Miała przecież już kilka razy jakąś

bakterię i nigdy mąż nie prowadził w tej sprawie śledztwa. – Może w toalecie w centrum handlowym, może na basenie…

– Agata, proszę… Przecież wiem, jak szalejesz w publicznej toalecie, zanim z niej skorzystasz. Dokładne szorowanie deski, mokre chusteczki, które zawsze masz przy sobie. Bakterie nie mają szans.

– No to może basen? – podsunęła, czując, że już przegrała.

– Nie byłaś na basenie chyba od pięciu lat! – Wreszcie puścił jej twarz. Zacisnął dłonie w pięści tak, że aż pobielały. – Wymyśl coś lepszego…

– Naprawdę nie wiem. – Łzy zbierały się pod powiekami, oczy piekły ją z każdą chwilą mocniej. – Jak się przeziębiasz, też nie wiesz, kiedy i gdzie dopadły cię zarazki, prawda?

Starała się mówić lekkim tonem. Nie myśleć o tym, że te zarazki, o których tak naprawdę mówi, są śmiertelnie groźne. Nie myśleć o trzech literach, które sieją strach na całym świecie.

– Ale ty chyba wiesz, kiedy i jak się zaraziłaś tą swoją „infekcją”? – Cudzysłów, w który wziął ostatnie słowo, był tak wyraźny, że aż musiała się uśmiechnąć. Natychmiast jednak spoważniała. Czyżby znał jej sekret? Jakim cudem?

– O co ci chodzi? – zapytała najspokojniej jak umiała.

– Wiesz, kto cię zaraził. I wiesz, że to nie ja. – Wszedł do domu, usiadł przy pięknym ciemnym stole rzeźbionym w ukwiecone gałązki i ukrył twarz w dłoniach. – Agata, kto to jest? Musisz mi powiedzieć. Jak długo trwa ten romans? Czy on… jak to mówiła moja babcia? Już wiem! Czy ten kawaler ma poważne zamiary?

Nie wytrzymała, roześmiała się z jego słów. A raczej z formy, w którą je ubrał. Kto dziś wyraża się w taki sposób?! W takiej chwili?

– Agata… – Patrzył na nią błagalnie. – Zadałem ci pytanie! Zamierzasz się rozwieść czy to tylko przygoda bez znaczenia? Powiedz mi! Czy ja nie zasługuję, żeby się dowiedzieć?

Zasługiwał, i to jak! A ona nigdy przedtem niczego przed nim nie ukrywała.

Zebrała się w sobie.

– Marcin, kocham cię. Od dnia, kiedy cię poznałam, nie spojrzałam na innego faceta. Uwierz mi. Nie ma nikogo oprócz ciebie.

Przez chwilę myślała, że po prostu ją przytuli i powie: „Nie wracajmy do tego, zachowałem się jak zazdrosny idiota”. Ale nie powiedział.

– Grzegorz nie ma z tym wszystkim nic wspólnego? – zapytał tylko.

Nie mogła zaprzeczyć. Ani przytaknąć.

Spojrzała na niego błagalnie. Nie chciała mówić o Grzegorzu!

Zrozumiał to po swojemu. Wstał, westchnął cicho i wyszedł.

Rozdział 15
Pierścionek i obrączka

Siedziała w cichym, pustym pokoju. Nie miała żadnej książki, gazety, ulotki z pizzerii. Nic. Wskazówki na zegarze przesuwały się w żółwim tempie. Jak wtedy, osiem lat temu. Wtedy, gdy poprosiła Grzegorza, żeby zadzwonił po osiemnastej, a on zamilkł na cztery długie dni. Szukała winy w sobie, oczywiście. Czym go uraziła? Co napisała nie tak?

To chyba wtedy zrozumiała, że naprawdę jest w nim zakochana. Że to nie jest żaden wirtualny flirt bez znaczenia, jak usiłowała sobie wmawiać. Jej ból i rozczarowanie nie były wirtualne. Tęskniła każdą komórką ciała, każdą myślą, każdym oddechem.

A potem napisał. Tak jakby też coś zrozumiał. I z jeszcze większą determinacją zaczął walczyć o ich wspólne życie.

Moja Aguś… Moja Perełko… Nie mogę o Tobie zapomnieć. Chciałem, ale nie mogę. Pragnę być z Tobą. Wiem, że jesteśmy dla siebie stworzeni. Wybacz moje milczenie. Wybacz wszystkie moje niedoskonałości.

To były koszmarne dni. Opowiem Ci kiedyś, Perełko. Leżąc z Tobą na plaży albo w wielkiej wannie pełnej piany… Opowiem Ci wszystko o sobie, odpowiem na wszystkie Twoje pytania. Kocham Cię tak bardzo… Choć lepiej by było, żebym zniknął i nie zawracał Ci głowy. Kocham Cię. Chcę być z Tobą na zawsze.

Odpisała na ten list ostrożnie, nieco urażona czterodniowym milczeniem. Jeszcze przez jakiś czas odpowiadała półsłówkami, przetrzymywała go trochę za każdym razem, zanim napisała choćby słowo.

Wariował z niepokoju. Przysyłał dziesiątki maili. To właśnie wtedy zaczął mówić o wyjeździe do Włoch, zaręczynach, a w końcu i o ślubie.

Perełko, nie chcę Cię stracić. Wiem, że Cię zraniłem. Że te cztery dni musiały być dla Ciebie koszmarem. Wybacz, wybacz, wybacz. Przysięgam, że nigdy już nie zniknę tak bez słowa.

Mówiłem poważnie o tym pierścionku, o zaręczynach, o Włoszech… Najpoważniej jak umiem. Nie chcę spotkać się z Tobą na chwilę, na kawę, gdzieś w tłumie, w biegu. Chcę, żeby to był nasz święty czas, z dala od wszystkiego. Podaruj mi te dni. Odwołam szkolenie w Nowym Jorku, by być z Tobą. Pozwól mi kupić bilety do Włoch. Pozwól mi kupić pierścionek. Jaki rozmiar nosisz?

Kilkanaście maili później pisał już nie tylko o pierścionku.

Wiem, wiem, powiesz, że zwariowałem. Ale zamówiłem coś jeszcze… Nie śmiej się, nie bój się… Jeśli nie zechcesz, nie wspomnę o tym więcej. A więc, Perełko… Tak, oszalałem. Zamówiłem obrączki. Wiem, że się nie mylę. Że jesteśmy dla siebie stworzeni.

Pozwól, że Ci wyjaśnię. Jeśli zechcesz mnie tam, w tym Rzymie… jeśli nie zmienisz zdania po godzinie, po dniu, po trzech dniach… pójdziemy do konsulatu i weźmiemy ślub.

Nie mów, że to niemożliwe! Wszystkiego się już dowiedziałem. Wyślemy tam dokumenty od razu, jutro… Zaraz Ci napiszę, co będzie potrzebne. Jeśli nie zechcesz, nie weźmiemy tego ślubu. Ale jeśli powiesz „tak”, wszystko będzie na nas czekać.

Tak, wiem, brzmię jak szaleniec. Ale ja nie chcę, nie potrzebuję żadnego okresu próbnego. Przeżyliśmy piękne narzeczeństwo. Wciąż je przeżywamy. Ale teraz już czas na kolejny krok. Ja już czuję się Twoim mężem. Nigdy nie czułem się mężem mojej żony, mamy Zuzi, tak bardzo, jak teraz Twoim. Wyjdź za mnie.

Twój G.

Miękła z każdym kolejnym mailem. Z każdym SMS-em. Aż wreszcie poddała się temu szaleństwu. Poszła do swojego urzędu stanu cywilnego, podpisała wszystko, co niezbędne. Wysłała Grzegorzowi skany wszystkich potrzebnych dokumentów. Zaczęła oglądać sukienki. I tylko czasami brakowało jej tchu, gdy nagle uświadamiała sobie, co robi. Ona naprawdę szykowała się do zaręczyn, a może… może i do ślubu? Do prawdziwego ślubu! Przeczytała w Internecie, że oczekiwanie na taką uroczystość w konsulacie trwa około dwóch miesięcy, a w żadnym wypadku nie może być krótsze niż cztery tygodnie. Bo tak nakazuje prawo. Grzegorz powiedział jednak, że może to załatwić z dnia na dzień bez najmniejszego problemu. Zapewniał, że to dlatego, że o tej porze roku ludzie niechętnie biorą śluby. Miała jednak wrażenie, że uruchomił jakieś znajomości. Poruszył niebo i ziemię, żeby tylko powiedzieli sobie „tak” pod rzymskim niebem, jak w jej marzeniach. Żeby nie musieli czekać.

Nie rozumiała, dlaczego tak mu na tym zależy. Skąd ten pośpiech. A gdy pytała, odpowiadał zawsze tak samo:

Kocham, kocham, kocham.

Trudno było nie porównywać go z Ludwikiem, który w zasadzie nie używał takich słów jak „kocham”. Wyznawał zasadę: „Skoro powiedziałem raz i nie odwołałem, to znaczy, że kocham cię cały czas”. Kłopot w tym, że nie pamiętała tego razu, kiedy to powiedział… Jednego, jedynego razu w ciągu ponad dwóch lat. O ślubie też, oczywiście, nie mogło być mowy. Miał dwie byłe żony, pięcioro dorosłych dzieci. I więcej żon, dzieci ani alimentów – jak dodawał zawsze, gdy o tym mówił – już nie planował. Jeśli chciała z nim być, musiała pogodzić się z rolą bezdzietnej konkubiny. I godziła się… do czasu.

Grzegorz nie miał wątpliwości. Szalał z miłości. Trudno było nie dać się porwać tej fali.

Wciąż nie mówiła o nim nikomu. Nie znała nikogo, kto mógłby zrozumieć. Oczywiście, miała koleżanki, które poznawały facetów przez Internet. Opowiadały o zdjęciach pięknych młodzieńców, które wysyłali im sześćdziesięcio- czy siedemdziesięciolatkowie. O wielkich międzynarodowych firmach, które rzekomo prowadzili mężczyźni, którzy potem na pierwszej randce nie mieli czym zapłacić za kawę. Ostrzegałyby ją przed Grzegorzem. Powstrzymałyby przed wszystkim, co chciała zrobić.

Ale ona była już zdecydowana. Zakochana. Pewna, że tego właśnie pragnie. Przecież jeśli ostatecznie to wszystko okaże się katastrofą, może wyjechać z tego Rzymu. Natychmiast. Nawet jeśli za niego wyjdzie, to też będzie mogła się wycofać… wziąć rozwód. Kiedy opowiedzą w sądzie, jak się poznali, jak zaręczyli się mailowo i mailowo zaplanowali ślub w konsulacie, sędzia na pewno popuka się w głowę, ale unieważni ich małżeństwo bez problemu.

Czuła, że musi dać szansę tej miłości. Że to, co łączy ją z Grzegorzem, jest naprawdę wyjątkowe i niezwykłe.

Powiedziałem Zuzi o wszystkim. Że się zakochałem, że jesteś wspaniała. I że będziemy rodziną. Że kiedyś będzie miała, być może, brata albo siostrę. Bardzo się ucieszyła i zapytała, czy jesteś ładna. Powiedziałem, że bardzo. Jak księżniczka.

Przestraszyła się wtedy, że zawiedzie jego i jego córkę. Że okaże się niedostatecznie ładna. I niedostatecznie wspaniała.

Odpowiedzialność gniotła ją i nie pozwalała się cieszyć szalonymi planami tak jak przedtem. Nie myślała wiele o Zuzi przez ostatnie dni. Ale teraz… Jeśli to szaleństwo zakończy się katastrofą, rozwód z nim, za obopólną zgodą, będzie szybki i prosty. Ale z nią? Temu dziecku już raz złamano serce. Nie mogła zrobić tego po raz drugi.

Powiedziałem wszystkim. Mamie, siostrze i Zuzi. Była ze mną u jubilera po pierścionek. Wiesz, kiedy w taką sprawę zaangażuje się własne ukochane dziecko,

naprawdę nie można się już wycofać. Zaklepałem termin w konsulacie. Świadkowie są już umówieni. Spodobają Ci się! Jeśli tylko ja Ci się spodobam. Będziesz miała trzy dni, żeby to przemyśleć. Całe trzy dni. Najkrótsze narzeczeństwo świata!

Mam wszystko. Pierścionek, obrączki, bilety. Tak, kupiłem bilety! Lecimy pojutrze. Pojutrze! Masz samolot o 7:30. Weź urlop na pięć dni.

Przyjedź taksówką pod fontannę di Trevi. Będę tam czekał z pierścionkiem. A potem będziemy się kochać dzień i noc w hotelu z widokiem na Zamek Świętego Anioła. Mam nadzieję, że Ci się spodoba. Do wyboru miałem jeszcze kopułę Watykanu, ale wydała mi się niezbyt odpowiednim tłem dla naszych zwariowanych planów. Wolę Anioła. Aniołowie sprzyjają szaleńcom.

A jeśli nie zechcesz… jeśli zechcesz kochać się ze mną dopiero po ślubie… nie będę naciskał. Poczekam te trzy dni. Wszystko musi być tak, jak sobie wymarzyłaś. Wszystko musi być doskonałe. Bo taka jest nasza miłość.

Wtedy po raz pierwszy użyła słowa „kocham”:

Zwariowałeś. Ja też. Kocham Cię, wariacie. Kocham Cię za to, co ze mną zrobiłeś. Roztopiłeś moje serce i cały rozsądek. Kocham Cię, mój już prawie mężu. I przysięgam, że będę dla Zuzi najlepszą macochą świata.

Odpisał po minucie.

Będziesz mamą, nie macochą. Ona tak bardzo chce mieć mamę. Już mnie pytała ze sto razy, czy zgodzisz się, żeby tak do ciebie mówiła. Powiedziałem, że tak. Wrócimy razem samolotem do Poznania. I pojedziemy prosto do niej, dobrze? Tak czeka, żeby Cię poznać! I nie rozumie, dlaczego nie może być na naszym ślubie.

Obudziła się o drugiej w nocy, skulona w ciężkim, pluszowym fotelu. W pierwszej chwili nie wiedziała, gdzie jest. Wciąż była ubrana w marynarkę i dżinsy, w których rano odwiozła Filipa do szkoły i pojechała do pracy. Na oparciu fotela wisiała kurtka. Była mokra od jej łez.

Agata przypomniała sobie wszystko w okamgnieniu. Rozmowę z Zuzą, lot do Włoch, scenę na hamaku.

– Zawiodłam wszystkich – powiedziała półgłosem, podchodząc do okna i patrząc na księżyc wiszący teraz wysoko nad samotną skałą. – Nie dotrzymałam słowa danego Kropeczce. Sprawiłam ból Marcinowi. Z Grzegorzem też wszystko poszło nie tak. A za trzy dni mogę się dowiedzieć, że…

Tego nie mogła już powiedzieć na głos nawet w pustym pokoju. Nie chciała słyszeć o śmierci. O śmierci swojej, Marcina i Filipa. Zwłaszcza Filipa. Musiała go chronić.

– Marcin, wracajmy do domu! – krzyknęła, otwierając drzwi. – Marcin, gdzie jesteś? Musimy lecieć do Polski! Znajdziemy jakiś samolot. Z Nicei, z Genui, z Mediolanu. Wszystko jedno. Mamy przecież pieniądze. Marcin, słyszysz? Ja muszę wracać do domu, naprawdę! Wszystko będzie dobrze, ale musimy wrócić!

Dziesięć minut później nie miała już żadnych wątpliwości, że odjechał. W domu nie było ani jego, ani jego walizki. A spod bramy zniknął czerwony kabriolet.

– Drań! – krzyczała, biegając jak oszalała po tarasie. – Drań! Jak mogłeś mnie tu zostawić?!

Nie wiedziała nawet, jak się nazywa miejscowość, w której stoi dom. Jak miała wezwać taksówkę? I co powinna zrobić z kluczami od domu? O ile w ogóle jakimś cudem znajdzie te klucze.

No i bilet na samolot. Może można go przebukować? Ale gdzie on jest?

– Poczekam, aż będziesz gotowa rozmawiać o tym wszystkim. – Jego głos za plecami sprawił, że drgnęła. Nie słyszała samochodu ani skrzypnięcia otwieranych drzwi.

Odwróciła się, wciąż wściekła, że zostawił ją w tym wielkim pustym domu.

I natychmiast ta wściekłość jej minęła.

Twarz Marcina była zapuchnięta od płaczu. Wargi trzęsły mu się jak Filipowi wtedy, gdy zgubił dinozaura na baterie zaledwie kilka godzin po wybłaganiu u rodziców tego zakupu. Nad lewą brwią miał sińca i zakrzepłą strużkę krwi.

– Co ci się stało? – zapytała przerażona.

Nie odpowiedział.

– Agata, ja poczekam. Ile będzie trzeba – powiedział, zagryzając wargę. – Porozmawiamy w Polsce, tak jak chciałaś. Ale skoro już tu jesteśmy… Daj mi te trzy dni, dobrze? Zwiedzimy okolicę. Odpoczniemy. Zjemy coś pysznego. Tak bardzo chciałem być tu z tobą. Przysięgam, że cię nie dotknę nawet małym palcem, jeśli sobie nie życzysz. Daj mi tylko ten czas. Obiecuję, że nie będziesz żałować.

Rozdział 16
Nareszcie

Żałowała. Żałowała jak diabli. Nie tego, że została we Włoszech na całe trzy dni. Że zobaczyła te wszystkie bajkowe miejsca. Willę Grocka, najsławniejszego klauna świata, który na początku XX wieku wybudował sobie szalony, piękny dom z jeziorkiem, w którym – zależnie od humoru – pływał albo łowił ryby. Plaże, na których oprócz nich nie było żywej duszy. Plantację oliwek, po której błądzili jak karzełki w labiryncie bez wyjścia. Jedli ryby wyciągnięte z morza kwadrans wcześniej. Makarony zagniatane zmęczonymi dłońmi właściciela trattorii. Lody z arbuzów uprawianych od dziesiątek lat na polu za cukiernią. Spacerowali godzinami plątaniną staromiejskich uliczek w najcudowniejszej dzielnicy San Remo, zwanej La Pigna, czyli Szyszka. Parkowali czerwony kabriolet na skałach i patrzyli w dal. Raz nieśmiało oparła się na jego ramieniu. Zesztywniał i odsunął się powoli.

To mogła być najlepsza podróż w jej życiu. Była najkoszmarniejsza. W jego życiu też, była tego pewna. Może nawet było mu gorzej niż jej. Nie wiedział przecież, co tak naprawdę się stało. Skąd w niej ta zmiana. Snuł przypuszczenia. Jego zdaniem pewnie najstraszniejsze z możliwych. A jednak nie tak straszne, jak prawda, którą znała tylko Agata.

Powinnam mu o wszystkim powiedzieć i już – myślała co chwilę. I zaraz zmieniała zdanie. Chyba lepiej, żeby myślał, że żona go zdradza, niż żeby się bał o życie swoje i Filipa? Nic nie może być gorsze niż ten strach!

Spali w osobnych pokojach. Starali się rozmawiać normalnie, nawet żartować… Ale napięcie, które panowało w tym przepięknym starym domu stojącym na skale gdzieś między Imperią a San Remo, było niewyobrażalne. Agata chwilami miała wrażenie, że ktoś wypompował z zabytkowej willi całe powietrze. Tak ciężko było jej oddychać.

Chciała poszukać tu na miejscu jakiegoś punktu, gdzie można zrobić test na HIV. Ale szybko z tego zrezygnowała. Nigdy nie mówiła za dobrze po włosku… Umiała zamówić pizzę czy zapytać o drogę, ale rozmowa z lekarzem chybaby ją przerosła. Poza tym była daleko od cywilizacji… i pewnie wyjechałaby do Polski wcześniej, niż

laboratorium miałoby dla niej gotowy wynik testu. Musiała więc poczekać do piątku. Nie miała wyjścia.

Obydwoje z ulgą przyjęli piątkowy poranek. Spakowali się i jeszcze przed wschodem słońca ruszyli w stronę francuskiej granicy.

– Niezłe widoki – powiedziała w połowie drogi, przypominając sobie, że mówił o nich pierwszego dnia.

Nie odpowiedział ani słowem.

A kwadrans później widoki zniknęły. Pogoda psuła się z minuty na minutę. Wreszcie za kolejnym zakrętem widzieli już tylko mgłę. Nie było mowy o romantycznym lunchu ani kawie w Mentonie.

Z trudem zdążyli na lotnisko.

– Co takiego? – Agata z niedowierzaniem patrzyła na tablicę świetlną. – Wszystkie loty zawieszone z powodu mgły? Mamy siedzieć i czekać? Nie, nie, nie! Ja muszę być w Warszawie przed piętnastą!

W długie, wieczory w domu na skarpie spisała z Internetu adresy wszystkich punktów konsultacyjno-diagnostycznych w stolicy. Tak się nazywały miejsca, gdzie mogła zrobić test całkowicie anonimowo. I za darmo – ale to było dla niej najmniej ważne.

Gdyby doleciała na Okęcie przed zachodem słońca, miałaby szansę, że gdzieś zdąży jeszcze zrobić test.

Nie doleciała. Siedzieli w Nicei ponad sześć długich godzin. Kiedy ostatnio tak bardzo dłużył jej się czas?

Chyba wtedy, osiem lat temu, gdy poszła ufarbować włosy. Robiła to pierwszy raz w życiu. Nikt oprócz niej nie widział tych kilku siwych nitek. Nie miała jeszcze trzydziestu lat. Nigdy przedtem nie myślała o farbowaniu. Lubiła miodowy kolor swoich niesfornych, falujących kosmyków. Ale teraz… Nie chciała, żeby zobaczył te siwe włosy, patrząc na nią po raz pierwszy pod fontanną di Trevi w Rzymie. Nie chciała, żeby spojrzał na nie, budząc się przy niej w hotelu z widokiem na Zamek Świętego Anioła. Chciała być dla niego piękna. Nigdy nikomu nie chciała się podobać tak bardzo jak jemu.

– Jutro moje zaręczyny – powiedziała głośno do fryzjerki.

– Gratuluję! – Blondynka w różowym fartuszku uśmiechnęła się szeroko.

To była jedyna osoba, z którą podzieliła się tą nowiną. W przeciwieństwie do Grzegorza, który chwalił się swoją miłością całemu światu. Ona wciąż nie umiała o tym mówić.

– Proszę tak posiedzieć z farbą. – Pół godziny później fryzjerka uśmiechała się do jej odbicia w lustrze. – Może ma pani ochotę przejrzeć gazetki? Czytała pani o tej

posłance? Co za ludzie, sami nie wiedzą, kogo z kim zdradzają i w czyim basenie…

Agata rzuciła okiem na artykuł. Nie był nawet podpisany nazwiskiem. INA – to ma być podpis? Autorka wstydziła się najwyraźniej podać choćby swoje inicjały pod czymś takim.

Patrzyła na gazetę posłusznie, żeby nie robić przykrości fryzjerce, ale nie wiedziała już zupełnie, co czyta. Myślała o beżowej sukience czekającej w domu na uprasowanie. I o bieliźnie, tej od Ludwika. Tej, którą założyła, czekając na telefon, który nie zadzwonił. Jutro będzie inaczej. Jutro bielizna poleci z nią do Rzymu. A za trzy dni, jeśli faktycznie są tymi dwiema połówkami jabłka, stanie razem z nią przed konsulem.

Uśmiechnęła się do siebie na myśl o koronkowym staniku wychylającym się z dekoltu i mówiącym: „Tak, biorę ciebie, Grzegorzu, za męża”.

Nie usłyszała sygnału nadchodzącego SMS-a. Klientka po lewej siedziała akurat pod suszarką, która wściekle szumiała na cały salon. Zobaczyła jednak kątem oka, że torebka, którą postawiła na stoliczku, zaczyna się poruszać. Komórka wibrowała jak szalona. Wyciągnęła ją szybko i przeczytała najdłuższego SMS-a w życiu:

Moja Perełko, wybacz. Z Rzymu nici. Zuzia ma 40 stopni. Nie zostawię jej tak. Nie mogę zniknąć na pięć długich dni po tym, co przeżyła. Nie teraz, kiedy jest chora. Ale przyjadę do Ciebie dziś wieczorem. Zgódź się. Przyjadę, gdy zaśnie. Tak bardzo chcę Cię zobaczyć! Wypijemy kawę, poznamy się choć trochę. Przegadamy całą noc. A rano pojedziemy do mojej mamy i do Zuzi. Rzym poczeka. Polecimy za tydzień albo dwa, gdy Zuzik wyzdrowieje. Zgódź się. Błagam.

Poczuła, że pieką ją oczy. Tak długo przekonywał ją, żeby zgodziła się na ten szalony plan z rzymską pierwszą randką, zaręczynami, ślubem. W końcu uległa. Powiedziała „tak”, nie wiedząc, jak brzmi jego głos, jego śmiech, jak pachnie jego skóra… Bo najważniejsze były te czyste uczucia, o których tyle pisał… Zgodziła się, choć sama nie mogła uwierzyć, że to robi. Odradziłaby to każdemu, kto przyszedłby do niej z takim pomysłem. Każdemu! A jednak sama nie umiała się powstrzymać. Zachwycał ją ten pomysł z każdą chwilą coraz bardziej.

A teraz co? Teraz Grzegorz nagle zmienia zasady, nie pytając jej o zdanie. Nie mówi już o ślubie, wprasza się do niej do domu na całą noc z nadzieją na seks… A jeśli seks okaże się mniej ekscytujący, niż się spodziewał, nigdy nie da jej pierścionka, nie polecą do Rzymu i nie wezmą tego ślubu? O ile w ogóle załatwił cokolwiek w konsulacie. Zaczynała poważnie w to wątpić. Tak jak i w chorobę Zuzi.

Zanim odpisała, komórka w jej dłoni zawibrowała znowu.

Perełko, nie myśl, że chodzi mi o seks. Że potem zniknę, że chcę Cię oszukać. Obiecuję, że dziś nawet Cię nie musnę ustami. Poczekamy do Rzymu… albo i do ślubu, jeśli zechcesz. Pragnę tylko usiąść przy Tobie, trzymać Cię za rękę i rozmawiać. Nie chcę czekać na tę chwilę ani dnia dłużej. Jeśli się boisz, że jestem

gwałcicielem albo oszustem, umówmy się w kawiarni! Moje zamiary wobec Ciebie są czyste jak łza. Uwierz mi.

Uśmiechnęła się i odpisała szybko:

Zgoda. Przyjedź do mnie do domu. Nie chcę rozmawiać w kawiarni. I też nie mam siły czekać ani dnia dłużej. To doskonały plan. Przegadamy noc, a o świcie ruszymy do Zuzi. Ufam Ci.

Fryzjerka mówiła coś o kolorze i o podcięciu końcówek. Kiwała głową, nie słuchając.

Komórka zawibrowała jeszcze raz.

Będę po 21:00. Kocham Cię. Liczę minuty.

– Ja też – mruknęła pod nosem, myśląc o nowej fryzurze i o balsamie czekoladowym, którym zamierzała się posmarować przed wylotem do Rzymu. Czy powinna użyć go już dzisiaj? I w co ma się ubrać? Beżowa sukienka poczeka na włoski ślub. O ile do niego dojdzie… Chyba założy dżinsy i koszulkę? Nie musi przed nim nikogo grać. Niech pozna ją taką, jaka jest naprawdę.

– Pani coś mówiła? – zapytała zdziwiona fryzjerka. – Może podciąć jeszcze trochę boki?

– Nie, nie, jest doskonale. – Uśmiechnęła się, nie patrząc nawet na swoje odbicie. Do dwudziestej pierwszej zostało naprawdę niewiele czasu.

Dopiero w domu spojrzała w lustro. Fryzjerka ułożyła jej włosy w dziwaczne fale. Wyglądała jak skrzyżowanie Marilyn Monroe z czwartym Aniołkiem Charliego. Spryskanym grubą warstwą błyszczącego lakieru. Szybko weszła pod prysznic i odkręciła wodę. Chciała być dla niego piękna. Piękna i prawdziwa. Chciała być sobą tej nocy. Nikogo nie udawać.

Serce waliło jej jak szalone. Wiedziała, że będzie tu już za chwilę. Wszystkie słowa, które pisali, wszystkie obietnice miały się teraz wypełnić. No, prawie wszystkie…

Wytarła wilgotne włosy ręcznikiem. Schowała beżową sukienkę do szafy. Poczeka kilka dni na wyjazd do Rzymu. Tylko kilka dni.

Znowu spojrzała w lustro. Nie umiała podjąć decyzji, czy powinna się umalować. Miała być prawdziwa… ale chyba bez przesady? Kredka do oczu i szminka nie sprawią przecież, że zamieni się w kogoś, kim wcale nie jest?

Czy zdąży jeszcze wetrzeć w skórę czekoladowy balsam?

Nie zdążyła. Dzwonek domofonu dosłownie ją sparaliżował. Zastygła naga, z palcem na przycisku otwierającym drzwi. Nagle w tej ostatniej chwili dopadły ją wątpliwości. Pomyślała o wszystkim, co mogłaby powiedzieć Gocha, gdyby tylko Agata wyznała jej prawdę. Nie wolno tak ryzykować. Powinna umówić się z nim na kawę w mieście, w jakimś miejscu pełnym ludzi, tak jak proponował. Powinna zobaczyć, z kim ma do czynienia. W mailach można przecież napisać wszystko. To

może być morderca. Zboczeniec. Może przyprowadzić ze sobą dziesięciu kolegów i gwałcić ją razem z nimi przez całą noc.

Dzwonek rozległ się jeszcze raz.

W panice zapięła stanik, wciągnęła dżinsy i koszulkę. Na makijaż nie było już czasu.

Nacisnęła guzik.

Jeśli mnie zamorduje, policja dotrze do tych maili i SMS-ów i błyskawicznie go namierzy – pomyślała, próbując dodać sobie otuchy.

Spojrzała na zegarek. Dopiero minęła ósma. Przyjechał wcześniej, niż się umawiali. A może to wcale nie on? Może wpuściła jakiegoś akwizytora?

Słyszała już jadącą windę.

Kątem oka zobaczyła, że lampka na komórce miga ostrzegawczo. Najwyraźniej przyszedł jakiś SMS, kiedy wracała od fryzjerki. Albo wtedy, kiedy była pod prysznicem.

Chwyciła telefon.

Perełko, Zuzik nie chce mnie puścić. Biorę ją ze sobą, nie gniewaj się. Będziemy wcześniej.

I jeszcze jeden:

Usnęła w samochodzie. Wniosę ją na rękach. Znajdź jakiś ciemny kącik, żebym mógł ją położyć. Nie chcę, żeby się obudziła. Dostała mocne leki.

Zgasiła światło w dużym pokoju. Położyła na kanapie koc.

Drzwi windy stuknęły cichutko.

Nacisnęła klamkę, zanim zdążył zapukać.

Stał tam, w jej drzwiach, z Kropeczką na rękach. Wtedy nie wiedziała jeszcze, że nazwie ją Kropeczką.

Niósł ją tak, żeby nie raziło jej światło. Z buzią wtuloną w jego kurtkę. Widziała tylko czarny warkoczyk i zawiązaną na nim kokardkę w małe białe kropki.

Kropeczka…

Patrzyła na to kruche, rozgorączkowane zawiniątko zamiast na Grzegorza. Jakby go nie było. Jakby liczyła się tylko Zuzia.

Czy będę umiała być twoją mamą? – myślała w nagłym ataku paniki.

– Mogę wejść? – Jego szept gwałtownie przywołał ją do porządku.

– Tak, tak – też szeptała. – Połóż ją na kanapie.

Po raz pierwszy spojrzała mu w oczy. Był zupełnie inny, niż sobie wyobrażała. Potężniejszy, wyższy, o miękkich, niemal kobiecych rysach, które ją zaskoczyły. I do których nie pasował garbaty, orli nos.

Czy będę umiała cię kochać? – zastanawiała się.

Człowiek, który do tej pory składał się z samych słów, nagle stał tuż obok. Na wyciągnięcie ręki. Przez moment wszystko wydawało jej się za trudne. Miała

wrażenie, że zrobiła błąd, dając się porwać tym zaklęciom i wyznaniom z jego listów. Uczyła przecież studentów, jak ważne są mowa ciała, zapach, pierwsze wrażenie… Dlaczego sama zupełnie to zignorowała? Był przystojny, owszem. Nawet bardzo. Ale czy będzie umiała się w nim zakochać? Zwariować dla jego głosu, zapachu, rąk, tak jak wariowała dla jego słów?

Nie było jednak czasu na myślenie. Zuzia w jego ramionach poruszyła się niespokojnie. Agata przywarła do ściany, żeby zrobić mu przejście w ciasnym przedpokoju. Ale i tak, wymijając ją, musnął jej ramię koniuszkami palców. Lekko, przypadkowo. Zadrżała. Jak w jakimś kiczowatym filmie, gdzie ziemia się rozstępuje, gdy dwoje przeznaczonych sobie ludzi widzi się po raz pierwszy.

Roześmiała się w duchu. Jej wyobraźnia szalała od tylu dni. Nic dziwnego, że płata jej figle.

Podeszła do kanapy i zaczęła podawać mu poduszki. Żeby Zuzi było jak najwygodniej.

Jej wilgotne włosy prześlizgnęły się po szyi Grzegorza. Znowu przypadek. Całkowity przypadek. Pochylała się po prostu, żeby otulić małą kocem.

Wziął ją za rękę.

To już nie był przypadek.

Stali naprzeciwko siebie, w półmroku. W świetle dochodzącym z kuchni widziała jego zmęczone oczy, uśmiechnięte usta, orli nos. Cały czas myślała o tym, że jest taki potężny. Silny jak niedźwiedź. Dużo większy, niż sobie wyobrażała. Nie była pewna, czy jej się to podoba, czy raczej ją niepokoi.

Nagle przytulił ją do siebie. Zamknął w ramionach.

– Mieliśmy tylko rozmawiać – zaprotestowała dla porządku.

A potem oparła głowę na jego piersi.

– Nareszcie razem – szepnął Grzegorz. – To naprawdę ty.

– Nareszcie – zgodziła się.

Wiedziała już, że tej nocy spełni się wszystko, o czym pisali. I dużo, dużo więcej. Że żadne z nich nie chciało czekać już ani chwili dłużej.

Jego usta zbliżyły się do jej ust. Znowu zadrżała. Od tylu dni czekała na ten pocałunek. Delikatnie musnął ją wargami. I jeszcze raz, i jeszcze. Coraz mocniej, coraz łapczywiej. Oparła się o ścianę, żeby nie upaść. Wziął jej twarz w swoje dłonie.

– Moja Perełka – powiedział, patrząc tak, jakby uczył się na pamięć każdego szczegółu jej oczu, policzków, czoła. – Moja Aguś. Moja kochana.

Całowali się jak wariaci. Nigdy przedtem nikt nie całował jej w taki sposób. Jakby już była naga. Jakby już stopiła się z nim w jedno.

– Tata… Tata… Gdzie Alfred? – Z kanapy dobiegło nagle niespokojne pomrukiwanie.

– Alfred? – Grzegorz odskoczył jak oparzony. – Alfred, cholera jasna! Całkowicie

zapomniałem o kocie!

Pięć minut później Grzegorz układał czarnego kocura na kanapie obok pochrapującej słodko Zuzi.

– Śpij, malutka, śpij – szeptał z czułością. – Alfred, nie zabieraj dziecku koca. Posuń się, słyszysz? Alfred, mówię do ciebie! Ułóż się tutaj… O tak, pilnuj Zuzi. Grzeczny kotek…

Agata roześmiała się z niedowierzaniem.

Cały stres związany z pierwszym spotkaniem minął jak ręką odjął. Namiętny nastrój też się gdzieś ulotnił. Mieli dziecko… chore dziecko… i kota, który kręcił się niespokojnie, próbując poznać nowy teren. I kuwetę, którą Grzegorz ustawił pod ścianą.

– Gdzie jesteś, Perełko? – Podniósł się wreszcie znad kanapy i rozejrzał nieprzytomnie wokół.

Stała w półmroku, przy drzwiach łazienki.

– Tutaj. – Słowa ledwo przeszły jej przez zaciśnięte gardło.

Zrobił krok w jej stronę. I jeszcze jeden. Sięgnął do kieszeni.

– Przepraszam, że tak to wszystko wyszło… niezbyt romantycznie. Zuzia nie chciała, żebym jechał bez niej… i nie wyobrażała sobie podróży bez kota… A ja nie miałem już siły się kłócić. Chciałem po prostu być przy tobie.

Nagle zobaczyła, co trzyma w dłoni. Małe czerwone pudełeczko. Wiedziała od razu, co jest wewnątrz.

Padł na kolana na środku przedpokoju.

– Czy zostaniesz moją żoną? Czy uczynisz mi ten zaszczyt, Perełko? – powiedział uroczyście.

– Tak – odparła niemal niesłyszalnie.

Zimny metal powoli wsunął się na jej palec.

Grzegorz podniósł się i spojrzał jej głęboko w oczy.

Zadrżała. Wciąż była zdziwiona, patrząc na jego twarz. Zdziwiona, że to właśnie on. Mężczyzna z listów.

Pachniał fajką i czymś jeszcze. Jakby… lasem?

Jego dłonie zaczęły przeczesywać włosy Agaty, wciąż wilgotne po szybkim prysznicu. Jego usta dotknęły jej warg. Stała wciąż jak sparaliżowana.

– Kocham cię – szepnął. – Kocham cię, Perełko.

Nie umiała odpowiedzieć: „ja ciebie też”. Chciała, ale nie umiała. Rozpalał ją każdy jego dotyk, każde muśnięcie… Ale to nie była jeszcze miłość. Czułe zaklęcia z listów nie zbiegły się jeszcze w jedną całość z człowiekiem, który je pisał. Potrzebowała więcej czasu, niż im się wydawało.

On najwyraźniej nie.

– Kocham cię – powtórzył, rozpinając jej bluzkę.

Zadrżała pod jego dotykiem.

– Agata, śpisz? – Marcin potrząsnął jej ramieniem. – Wyświetlili nasz samolot! Nareszcie. Jak dobrze pójdzie, będziemy w domu przed północą.

Przed północą? O tej porze nie pracuje chyba żadne laboratorium. Może uda się zrobić test w sobotę rano. Nie wytrzyma tej niepewności do poniedziałku. Jutro musi się udać.

– Agata, dobrze się czujesz? Może podać ci wodę?

Był taki troskliwy. Taki kochany. Mimo że podejrzewał ją o zdradę.

Na szczęście za dwie godziny będą w Polsce. Jutro zrobi test i wreszcie wszystko mu wyjaśni. Tak, jutro będzie dobry dzień. Na pewno.

Rozdział 17
Bambino

– Czy stosowała pani prezerwatywy? – Blondynka w czerwonej sukience patrzyła na nią życzliwie.

Agata przygryzła wargę. Nie wiedziała, że oprócz badania krwi czeka ją rozmowa. Nie chciała nikomu się zwierzać. Ale chyba musiała odpowiedzieć na to pytanie.

– Musimy się zabezpieczyć – szepnęła, próbując wyślizgnąć się z jego ramion i sięgnąć do szuflady szafki nocnej stojącej przy łóżku. Wieki temu schowała tam nowiutki pięciopak, prosto z apteki. Na wszelki wypadek. W razie gdyby Ludwik po kieliszku ulubionego koniaku nagle zdecydował się na seks. Ludwika nie było w jej życiu od pół roku. Ale prezerwatywy miały chyba dłuższy termin przydatności do użycia? Jak mogła tego nie sprawdzić? Naprawdę nie zamierzała kochać się z Grzegorzem tej nocy. Naprawdę wierzyła, że tego nie zrobią. Że poczekają na Rzym, na hotel z widokiem na Zamek Świętego Anioła…

– Musimy się zabezpieczyć – powtórzyła trochę głośniej.

– Po co? – mruknął coś, czego nie zrozumiała, i znowu pocałował ją głęboko. Naprawdę bardzo, bardzo głęboko. Łapczywie, mocno, prawie do bólu.

Potrząsnęła głową, chcąc coś powiedzieć.

Nie zareagował. Pocałunek zdawał się nie mieć końca. Bolały ją już kark i górna warga. Poruszyła się jeszcze raz, gwałtowniej. Tym razem zrozumiał.

– Po co nam prezerwatywa? – szepnął jej do ucha. – Chcę mieć z tobą dziecko, Perełko, przecież wiesz. Marzę o tym. Nasze bambino. Myślałem, że zrobimy je we Włoszech, ale tak właściwie… jakie to ma znaczenie? Czemu nie dziś?

Uśmiechnęła się, choć w całkowitej ciemności nie mógł tego widzieć. Nigdy nie spotkała mężczyzny, który tak szybko i zdecydowanie mówiłby: „chcę dziecka”. To było cholernie seksowne. Tak jak dotyk jego dłoni błądzących po jej pośladkach. Jak jego ciężar, gdy wślizgnął się między jej uda, wgniatając ją w materac. Nieszczęsna pęknięta sprężyna w rogu jęknęła ostrzegawczo.

– Powinniśmy trochę zwolnić tempo – jęknęła i Agata, wysuwając się spod niego

z wysiłkiem.

– Po co? – Nawet w tej ciemności widziała białka jego szeroko otwartych oczu. – Kocham cię. Czy mam to powtórzyć jeszcze raz? Chcę się z tobą ożenić jak najszybciej i mieć dziecko. Mówiłem już mamie, że niedługo pewnie znowu będzie babcią. Nie może się doczekać.

– Naprawdę mówiłeś o wszystkim swojej mamie? – Odsunęła się na sam brzeg materaca. – O mnie, o ślubie i o dziecku? Serio?

– Serio, serio – szepnął jej do ucha i uszczypnął je delikatnie zębami. – Ale nie chcę teraz rozmawiać o mojej mamie. Chcę się z tobą kochać. Teraz. Natychmiast. Nie chcę czekać ani chwili dłużej.

Był inny niż w mailach. Bardziej niepokojący. Zdecydowany, pewny siebie. A może tylko takiego udawał?

Nie mogła zebrać myśli.

Przywarł do jej pleców, przewrócił ją na brzuch. Materac znowu zaskrzypiał ostrzegawczo.

Wiedziała, że ma już tylko kilka sekund, by zaprotestować.

Wyciągnęła rękę i otworzyła szufladę. Wyjęcie z tekturowego pudełka sreberka z prezerwatywą przy użyciu tylko jednej dłoni, w dodatku kiedy leży się na brzuchu, wcale nie było proste. Udało jej się przy trzeciej próbie.

– Chcę mieć z tobą dziecko – powtórzył, słysząc ten szelest, i sięgnął dłonią między jej uda.

Wzięła głęboki oddech.

– Nie chodzi o dziecko. – Starała się nie tracić głowy, brzmieć spokojnie i stanowczo jednocześnie. Ruchy jego palców skutecznie jej to uniemożliwiały. Jeszcze jeden głęboki oddech. Musiała przecież to powiedzieć. – Wiesz, obydwoje mieliśmy przedtem innych partnerów… Nie wiemy o nich wszystkiego… Nie znamy ich przeszłości, ich sekretów…

Palce Grzegorza zatrzymały się na moment. Tylko na moment. A potem wróciły do wygrywania swojej symfonii. Bardzo się starała skupić na tym, co miała do powiedzenia, ale i tak słowa zamieniały się w świst, jej oddech rwał się z każdą chwilą coraz bardziej.

Powinna być bardziej asertywna! Prowadziła przecież tyle razy zajęcia dla młodzieży, na których mówiła o chorobach przenoszonych drogą płciową. Przytaczała statystyki, przekonywała, by nie poddawali się nastrojowi chwili.

– Nie wolno nam poddawać się nastrojowi chwili. – Próbowała znowu odsunąć się choć trochę. – Musimy być odpowiedzialni. Jutro… – wpadła na genialny pomysł – jutro rano pójdziemy razem zrobić test na HIV… i na wszystkie możliwe choroby. A potem… potem już zawsze będziemy robić to bez zabezpieczenia. I na pewno urodzę twoje dziecko.

Same te słowa wystarczały, by zaszumiało jej w głowie. Nigdy w życiu żaden mężczyzna nie błagał, by urodziła jego dziecko!

– Zrobimy jutro wszystkie testy świata. – Zgodził się bez żadnych negocjacji. Co za ulga! Uśmiechnęła się szeroko i rozdarła folię z prezerwatywą.

Złapał ją za rękę i znowu przewrócił na plecy, wgniatając w materac. Nie puszczał ani na moment jej nadgarstka. Druga dłoń bawiła się jej piersią, z każdą chwilą coraz gwałtowniej.

– Kocham cię – powiedział. – Chcę być w tobie, dzisiaj, teraz. Chcę czuć cię każdą komórką mojego ciała. Chcę być z tobą tak, że już bliżej się nie da. Stać się jednym, tak jak sobie obiecywaliśmy. Bez żadnej gumowej przegrody między nami. Kocham cię, Perełko. Tak bardzo cię kocham.

– Ale… – spróbowała jeszcze raz, ale czuła już, że jej opór słabnie. Wiedziała, że nie powinna się zgadzać. Wiedziała o tym doskonale. Ale z drugiej strony… Jeśli chcą mieć dziecko, będą się kochać bez prezerwatywy. Jutro, za tydzień albo za miesiąc… Co więc zmieni fakt, że dziś się zabezpieczą? Naprawdę nie chciała robić scen. Nie chciała zepsuć tej nocy, na którą tak czekali.

Czytał chyba w jej myślach.

– Czekaliśmy tak bardzo na tę chwilę, tak? A więc… niech się wypełni. Niech będzie pięknie. Proszę, bądź wreszcie ze mną. Daj mi się poczuć. Cała. Do końca. Nie musisz się bać. Wiesz, moja żona, Magda… pierwsza żona… Ona była pielęgniarką. Nikt nie był tak czysty jak ona. Miała obsesję na punkcie zdrowia. Gdyby coś mi było, wiedziałbym o tym od dawna.

– A może to ty powinieneś się bać? – powiedziała, choć dobrze wiedziała, że nie powinien. Przez ostatnie miesiące żyła jak mniszka, skupiona bez reszty na doktoracie i pracy ze studentami. Przelotne flirty po zebraniach Rady Wydziału, dwuznaczne rozmowy w pustawym pociągu w drodze z nudnej konferencji… Tak, to się zdarzało. Ale nigdy nie wyszło poza fazę pikantnych żartów, ucinanych przez nią szybko i stanowczo. Spała do tej pory tylko z dwoma mężczyznami. Dla Pawła była tą pierwszą. I on był jej pierwszym. Bez cienia wątpliwości. Znali się od podstawówki, chodzili ze sobą trzy lata, obydwoje trzęśli się ze strachu przed nieznanym, rozbierając się pod namiotem w zimną sierpniową noc. On mógł ją zarazić najwyżej grypą. A Ludwik… cóż, Ludwik panicznie bał się wpadki. Nie chciał nawet słyszeć o dzieciach, miał ich już dostatecznie dużo. Najchętniej zapakowałby w folię siebie i ją przed wejściem do sypialni. Robili to rzadko i zawsze z prezerwatywą. Kupował tylko te najlepsze. Prawie oglądał je pod mikroskopem przed użyciem i po użyciu. Nieustannie mył ręce. Nie, żaden wirus nie miałby szans przy Ludwiku. Ani żaden plemnik.

– Nie boję się – szepnął Grzegorz, rozkładając szeroko jej uda i klękając pomiędzy nimi. – Jeśli mam umrzeć, to razem z tobą. Ale nie umrzemy, Perełko. Będziemy żyli

długo i szczęśliwie, z Zuzią i naszym rudym bambino.

– Rudym? – To miał być chichot, ale przeszedł w przeciągły świst, a potem jęk.

– Ciiii, Perełko. Ciiii – szepnął, wchodząc w nią gwałtownie. – Kocham cię.

– Ja ciebie też – jęknęła, wypychając biodra do przodu.

– Czy zrozumiała pani moje pytanie? Chciałabym wiedzieć, czy używała pani prezerwatyw podczas wszystkich zbliżeń z osobą, co do której dziś ma pani podejrzenia. – Głos blondynki wyrwał ją ze świata wspomnień. Oblała się rumieńcem. Czy na jej twarzy było widać, o czym myśli? A może, nie daj Boże, powiedziała coś na głos?

– Nie. Niestety nie – odparła szybko. – Ani razu się nie zabezpieczaliśmy.

– Pamięta pani, ile było tych stosunków? – Blondynka patrzyła znad cienkich drucianych oprawek okularów. – Tak mniej więcej.

– Siedem – odpowiedziała bez chwili wahania. – Tak naprawdę to siedem i pół. Ale nie wiem, czy tak może to pani zapisać?

Blondynka wyglądała, jakby chciała zapytać, jak dokładnie wygląda połowa stosunku. Nie skomentowała tego jednak ani słowem.

– Czy od tamtego czasu minęło już dwanaście tygodni? – zapytała za to. – Wynik testu będzie wiarygodny tylko wtedy, jeśli zachowanie ryzykowne miało miejsce co najmniej trzy miesiące temu.

– Miało miejsce osiem lat temu. – Agata spojrzała hardo w jej oczy. – Osiem lat i trzy miesiące. Może dwa i pół…

Czekała, aż blondynka zapyta, dlaczego przyszła dopiero teraz. Ona jednak nie zapytała. Zerknęła za to na kartkę i powiedziała:

– Muszę zadać pani jeszcze kilka pytań. Czy nie jest pani obecnie w ciąży?

– Nie jestem. – Agata westchnęła. – Bez cienia wątpliwości. Właśnie zaczął mi się okres.

– Czy używała pani w ostatnich dniach leków psychotropowych, takich jak na przykład…

– Nie. Ani psychotropowych, ani żadnych innych. Nie brałam też heroiny, nie paliłam marihuany, nie nadużywam alkoholu, nie palę tytoniu… Coś jeszcze? Czy w końcu możemy zrobić ten test? – syknęła, patrząc wymownie na zegarek. – Śpieszę się, naprawdę, a bardzo chciałabym mieć to już za sobą.

Blondynka znowu zerknęła na swoją kartkę. Nie zadała chyba jeszcze wszystkich zapisanych na niej pytań.

– Pytam o to wszystko, bo przyjmowane leki, na przykład antybiotyki, ciąża, niektóre choroby przewlekłe… każda z tych rzeczy może mieć wpływ na wynik testu – wyjaśniła spokojnie.

– Może pokazać, że nie mam HIV, mimo że go mam? – Agata trochę się

przestraszyła. – I dalej będę żyła w nieświadomości?

– Nie, wprost przeciwnie. Test przesiewowy, czyli ten, który tu wykonujemy, może w pewnych okolicznościach dać wynik fałszywie dodatni.

– Czyli? – Agata nie była pewna, czy dobrze zrozumiała. – Pokaże, że jestem zakażona, chociaż wcale nie jestem? Pokaże, że mam HIV, a tak naprawdę go nie mam?

– Właśnie tak. – Pokiwała głową blondynka w czerwieni. – Oczywiście potem ten wynik dodatni zawsze weryfikujemy innym testem, który rozwiewa wszelkie wątpliwości…

– A więc? Tak czy owak sprawdzicie, czy mam HIV, tak? Dowiemy się tego bez cienia wątpliwości?

– Jeżeli od stosunku minęło dwanaście tygodni, to tak. Bez cienia wątpliwości, tak. Ale…

– Tak? No to świetnie. W takim razie pomińmy ten cały wywiad i zróbmy już test. Naprawdę nie mam czasu na rozmowy.

Blondynka zawahała się na moment, otworzyła usta, zamknęła je, po czym wstała i uchyliła drzwi.

– Tak, oczywiście. Zapraszam do pokoju pobrań.

Rozdział 18
Koci ogon

Nie miała dużej nadziei, że Zuza odbierze telefon. Właściwie w ogóle na to nie liczyła. Wybrała numer, z którego dziewczyna zadzwoniła do niej kilka dni temu, tylko po to, żeby mieć pewność, że zrobiła absolutnie wszystko, żeby się z nią skontaktować. Była przekonana, że Zuza dzwoniła z pożyczonej komórki. Albo kupiła za pięć złotych kartę i wyrzuciła ją tego samego dnia.

Musiała jednak spróbować.

– Słucham? – Nie do wiary! Zuza odebrała po drugim sygnale.

– Nie odkładaj słuchawki! – zawołała szybko Agata. – Musimy porozmawiać. Spotkać się. Proszę cię. Martwię się o ciebie.

– O mnie? – zapytała dziewczyna. – Wiesz, w tej sytuacji… powinnaś chyba martwić się o siebie?

– Jak to? – Agata w pierwszej chwili nie zrozumiała, o co jej chodzi. To nie jej ojciec leżał nieprzytomny w szpitalu i nie jej matka biegała boso po Kenii czy Zambii.

– Zrobiłaś test? Masz już wynik? – Zuza odpowiedziała pytaniem na pytanie.

– Zrobiłam. Wynik będzie w poniedziałek. – Westchnęła. – Jak się spotkamy, opowiem ci, dlaczego tak długo to trwało.

– Wyjechałaś z mężem do Włoch, do pięknego domu nad morzem. Przecież wiem. – Agata mogłaby przysiąc, że Zuza wzruszyła ramionami. – A wczoraj wróciłaś okropnie późno przez tę mgłę i nie zdążyłaś do laboratorium.

Nie mogła uwierzyć, że dziewczyna wiedziała o tych wszystkich szczegółach. Jakim cudem?! Chwilami zaczynała się jej bać. Ugryzła się jednak w język, żeby rozmowa nie zamieniła się w przesłuchanie. Naprawdę, sprawa wyjazdu do Włoch była w tym wszystkim najmniej ważna.

– Agata, posłuchaj. – Głos Zuzy brzmiał, jakby naprawdę była zmartwiona. – Moja mama nie ma HIV. Zrobiła test w Toronto. Tam teraz chwilowo mieszka. Przesłała mi zeskanowany wynik. W szpitalu u taty mi też zrobili test, jak tylko się okazało, że on ma… ma to we krwi, no wiesz. Musiałam mieć zgodę opiekuna prawnego, był z tym

kłopot. Mama ma ograniczoną władzę rodzicielską, właściwie tylko tata mógłby taką zgodę wydać… a on leży nieprzytomny.

– Wciąż nie odzyskał przytomności? Co mówią lekarze? Jest jakaś nadzieja? Może trzeba go przenieść do lepszego szpitala albo z kimś się skonsultować? – Nie mogła się powstrzymać przed tymi pytaniami. Ale Zuza sprawiała wrażenie, jakby w ogóle ich nie słyszała. Opowiadała dalej:

– W końcu ordynator uznał, że wystarczy pisemna zgoda mojej cioci… albo babci, która opiekuje się mną teraz, kiedy nie ma taty. I moja zgoda, bo skoro skończyłam już dawno temu trzynaście lat, to sąd powinien wysłuchać mojego zdania. W razie gdyby ktoś sprawę do sądu podał.

Agata z trudem nadążała za wszystkimi prawnymi przeszkodami, o których mówiła Zuza.

– Twoja mama nie chce zabrać cię do Kenii? To znaczy do Toronto? – zapytała.

Zuza znowu zignorowała jej pytanie.

– Zrobili mi ten test. Nie mam HIV. Mama nie ma HIV. Tata ma HIV. Oczywiście to możliwe, że ma go od wieków, a mama jakimś cudem nie. Ale raczej złapał to później. Kiedy ona już wyjechała. Rozumiesz?

– Rozumiem, oczywiście. – Agata pokiwała głową. – Pewnie nigdy nie dowiemy się od kogo.

W słuchawce zapanowała głucha cisza.

– Zuza? Jesteś tam? – Przeraziła się, że dziewczyna znowu zniknie na nie wiadomo jak długo.

– Agata… Nie rozumiesz? On już nigdy nie przyprowadził tu żadnej kobiety. Zawsze wracał na noc. A teraz jeszcze ten naszyjnik. Nie mogę być pewna, ale moim zdaniem po mamie byłaś tylko ty. Czy teraz rozumiesz?

– Nie. – Jej myśli pędziły z prędkością światła, ale w głowie miała tylko coraz większy chaos.

– Agata… Ja myślę, że on zakaził się od ciebie. Zadzwoń, gdy dostaniesz wynik testu, dobrze?

– Zuza, poczekaj! – krzyknęła chyba głośniej, niż planowała. – Zuza, jaki naszyjnik? Spotkajmy się. Gdzie jesteś?

– Jestem u mojej babci. Nic mi nie jest. Nie martw się o mnie. Zadzwoń, gdy dostaniesz ten wynik.

– Przyjadę do ciebie! – znów krzyczała. – Zuza, musimy się spotkać. Podaj mi adres!

– Pa – powiedziała dziewczyna łamiącym się głosem.

– Zuza!

Odpowiedziała jej tylko cisza.

W niedzielny poranek Marcin zabrał Filipa do cyrku. Obiecywali mu to od dawna. Mieli iść całą rodziną. Była zła, że kupił bilet tylko dla siebie i dla synka. Nie na tyle jednak zła, żeby zrobić awanturę albo pojechać razem z nimi i dokupić bilet dla siebie. W głębi duszy czuła ulgę, że nie musi siedzieć na małym krzesełku tuż obok Marcina. Wiedziała, że wciąż jest na nią obrażony. I że bardzo boi się tego, co usłyszy, kiedy już usiądą do tej poważnej rozmowy. Rozmowy, która przecież musiała się odbyć. Był pewny, że Agata go zdradza.

– I niech tak na razie zostanie – mruknęła do siebie. – Możesz mi nie wierzyć, ale nie wyprowadzam cię z błędu tylko dlatego, że chcę ci oszczędzić znacznie gorszego strachu.

Wśród kilku tysięcy maili przegranych ze starego komputera bez trudu znalazła ten pierwszy, z Allegro. Z potwierdzeniem zakupu i danymi sprzedawcy. Miała tam adres Grzegorza sprzed ponad ośmiu lat. Ale nawet jeśli wciąż był aktualny, to przecież Kropeczki tam teraz nie było. Była u babci… a przynajmniej tak jej powiedziała.

Od rozmowy z Zuzą minęły już cztery godziny, a ona wciąż nie mogła zrozumieć, dlaczego dziewczyna była tak bardzo pewna, że to Agata zakaziła jej ojca HIV.

Wzięła kartkę i zaczęła szkicować, szybko, jak najszybciej, to, co usłyszała. Wpisała w kolorowy schemat Magdusię27, wolną od HIV. Zuzę wolną od HIV. I zakażonego Grzegorza.

Tylko ty mogłaś go zakazić. Tylko ty. Nie było innych kobiet – słowa Zuzy brzmiały jej w głowie, odbijały się od ścian i waliły w nią znowu z całej siły, coraz mocniej i mocniej.

Nie było innych kobiet? Roześmiała się. Zuzia jest tak naprawdę ciągle małą dziewczynką. Co osoba, która nie skończyła jeszcze nawet piętnastu lat, może wiedzieć na temat seksu? Grzegorz wraca zawsze do domu na noc… i co z tego? Przecież może romansować z koleżanką z pracy, w przerwach na lunch. Z sąsiadką. Z panią ze sklepu. Jest tyle możliwości!

Znów przypomniała sobie tamtą noc. Pierwszą noc w jego ramionach.

To niemożliwe, żeby taki ktoś jak on przeżył osiem lat bez seksu. Był najbardziej seksualną osobą, jaką spotkała w życiu. Był kochankiem doskonałym. No, prawie doskonałym. Pomysłowym, namiętnym, jednocześnie zabawnym, delikatnym i ostrym. Czasami za ostrym, aż do granicy bólu. Tamtej nocy miała wrażenie, że do tej pory nie wiedziała nic o seksie. Że dopiero przy nim się budzi, staje się kobietą. Drżała, gdy jej dotykał. A dotykał przez całą noc. Był nienasycony. Nie potrzebował odpoczynku. Ani chwili przerwy. Tulił ją do siebie, pozwalał, by złapała oddech, i – zanim zdążyła coś powiedzieć – znów czuła na sobie jego dłonie, jego usta, niecierpliwe i spragnione. Kochali się trzy razy, raz za razem. Jego zdaniem tylko trzy. Nie miał dosyć. Chciał jeszcze i jeszcze… I nie rozumiał, że ona nie pragnie tego samego.

Kręciło jej się w głowie. Była obolała i śmiertelnie zmęczona.

– Muszę się zdrzemnąć – szepnęła, gdy próbował wejść w nią po raz czwarty. – Błagam. Daj mi chociaż godzinę.

– Oczywiście, Perełko – zgodził się natychmiast.

Zasnęła szczęśliwa, spokojna, otulona jego silnymi ramionami. Z jego nogą między swoimi udami.

Nie wiedziała, czy sen trwał minutę czy godzinę. Obudziła się gwałtownie, czując na sobie jego usta. Całował delikatnie jej ramiona, szyję, piersi.

– Przestań! Proszę. Umieram ze zmęczenia! – Odwróciła się do ściany, owinęła ciasno kołdrą.

Wreszcie zrozumiał, że tym razem „nie” naprawdę oznacza „nie”.

– Przepraszam, Perełko. – Jego duża, silna dłoń próbowała wślizgnąć się pod kołdrę, która otulała Agatę jak kokon. Gdy to się nie udało, pogłaskał ją po włosach i pocałował delikatnie w tył głowy. – Przepraszam. Zwariowałem na twoim punkcie. Nigdy nie czułem czegoś takiego. Pragnę cię z każdą minutą bardziej i bardziej. Wybacz. Normalnie tak się nie zachowuję, naprawdę. To ty obudziłaś we mnie jakieś dzikie zwierzę. Pierwszy raz w życiu pragnę kogoś aż tak.

Jej złość stopniała równie nagle, jak się pojawiła. Czy można złościć się na kogoś, kto szaleje z miłości? Kto marzy tylko o tym, żeby się z tobą kochać? Jeszcze nikt nigdy nie mówił jej czegoś takiego. Jeszcze nikt nie pragnął jej tak mocno.

– Kocham cię – szepnęła w ciemność. – Ale umieram ze zmęczenia. Pozwól mi odpocząć. Błagam. Bo skończę w szpitalu pod kroplówką, całkowicie wyczerpana.

Tym razem nie protestował. Pocałował ją w policzek, niemal po ojcowsku. To skojarzenie przyniosło tyle wspomnień. Nieogolona, szorstka twarz taty pachnąca cytrusową wodą kolońską. Czerwona róża rzucona na grób. Gładko wygolona twarz Ludwika, na której rzadko gościł uśmiech. Rozpalona buzia Zuzi…

– Nie powinieneś sprawdzić, jak się czuje mała? – zapytała, tknięta nagłym niepokojem.

Zerwał się z łóżka i wyszedł w ciemności z pokoju. Widziała przez moment jego sylwetkę w świetle księżyca. Szerokie ramiona, zdecydowany, szybki krok.

Nasłuchiwała. Szeptał do córeczki czułym tonem:

– Śpij, moja maleńka, śpij. Śpij, kochanie.

Minutę później znów leżał koło Agaty.

– Gorączka jej chyba spadła. Śpi jak aniołek – powiedział z ulgą. – Boże, pierwszy raz od tylu miesięcy, od odejścia Magdy, przez kilka godzin w ogóle nie myślałem o Zuziku. Nie zamartwiałem się o nią. Dziękuję, Perełko.

Zasnęli razem, ciasno spleceni.

Chciała obudzić się o świcie. Wcześniej niż on. Chciała mu się przyjrzeć, nie będąc obserwowaną. Nauczyć się jego twarzy na pamięć w szarym świetle wschodzącego

słońca. Zobaczyć, jak otwiera oczy. Ale przespała wschód. Nie słyszała, jak otworzyły się drzwi sypialni. Nie czuła, że ktoś jeszcze kładzie się na łóżku, między nią a Grzegorzem.

Podniosła powieki, czując łaskotanie na twarzy.

– Proszę, nie – jęknęła. – Daj mi pospać. Jeszcze chwilkę… Proszę! Zabierz rękę.

Ale to nie była ręka. To był ogon. Puszysty, czarny koci ogon, miarowo poruszający się w górę i w dół jej twarzy. Alfred? Czy Alfons? Nie pamiętała już, jakiego imienia użył Grzegorz. Całkowicie zapomniała o tym kocie, którego ułożył wieczorem do snu razem z Zuzią.

Zuzia!!! Agata poderwała się gwałtownie. Wciśnięta między nią a Grzegorza, na kołdrze okrywającej ich nagie ciała leżała dziewczynka w piżamce w kropki. Jej włosy były czarne jak sierść kota. Jej oczy czarne jak węgielki. Leżała i uśmiechała się szeroko.

– Jesteś śliczna jak księżniczka – powiedziała, widząc przerażoną minę Agaty próbującej podciągnąć kołdrę pod brodę. – Tata nie kłamał. Będziesz teraz moją mamą?

Oczy dziewczynki wpatrywały się w nią z niepokojem i nadzieją. Nie chciała składać deklaracji. Jeszcze nie. Chciała spokojnie zebrać myśli. Porozmawiać z Grzegorzem bez pośpiechu, z dala od sypialni. Poznać go bliżej. Przekonać się, czy jest nieśmiałym romantykiem z listów, czy tym zdecydowanym, chwilami niemal brutalnym mężczyzną, z którym spędziła noc. Nie chciała podejmować żadnych decyzji. Nie była na nie gotowa.

Dziewczynka nie spuszczała z niej czarnych jak węgielki oczu.

– Masz pierścionek! – Ucieszyła się, ostrożnie podnosząc dłoń Agaty. – Naprawdę się zaręczyliście! Będziesz moją mamą, tak?

Jak mogłaby powiedzieć „nie”? Jak wytłumaczyć dziecku, że potrzebuje więcej czasu? Przecież naprawdę miała na palcu pierścionek zaręczynowy. Za tydzień albo dwa w rzymskim konsulacie miała dołożyć do niego obrączkę. Małżeństwo zostało skonsumowane trzy razy z rzędu jeszcze przed oficjalnym zawarciem. Chyba nie było już drogi odwrotu. Zawsze marzyła o człowieku, który oszaleje na jej punkcie. Który nie będzie się bał zobowiązań, ciąży, słowa „kocham”. O kimś, kto będzie inny niż Ludwik. Zawsze marzyła… o Grzegorzu?

– Tak, oczywiście, będę twoją mamą – powiedziała, starając się, by nie zadrżał jej głos. – Oczywiście, córeczko.

– No to super! – Dziewczynka w piżamce w kropeczki uśmiechnęła się szeroko, prezentując dwie duże szczerby w miejscu górnych jedynek.

– Chyba była u ciebie niedawno wróżka zębuszka? – zapytała Agata, chcąc jak najszybciej zmienić temat.

– Kto? – Mała najwyraźniej nie zrozumiała pytania. Gdzie on ją trzymał? Z dala od ludzi i telewizora? Agata była pewna, że w dwudziestym pierwszym wieku wszystkie dzieci znają wróżkę zębuszkę i czekają na prezenty od niej. Pracowała nawet z dziewczynką z domu dziecka, która sama wyrwała sobie osiem zębów niemających jeszcze ochoty wypadać – tylko po to, żeby odwiedziła ją wróżka. Chciała poprosić, żeby przyniosła jej nową rodzinę. Niestety w sierocińcu prowadzonym przez zakonnice istnienia zębuszki nie uznawano. Mimo to dziewczynka ją znała. Z kreskówek, z książeczek…

A Zuzia nigdy o niej nie słyszała?

– Maaamaaa – powiedziała powoli, obserwując, jakie wrażenie zrobi to na Agacie. I jeszcze raz, szybciej. I jeszcze: – Mama, mama, mamamamamamama – powtarzała jak katarynka.

– Tak, Kropeczko. – Kobieta poczuła, że coś dławi ją w gardle.

Czarne oczka przez moment wpatrywały się w nią uważnie. A potem przymknęły się nagle. Dziewczynka drgnęła lekko, naciągając na siebie kołdrę. Jej głowa opadła na nagą pierś Agaty. Zaczęła miarowo pochrapywać. I uśmiechała się przez sen.

Ze snu w środku nocy wyrwał Agatę krzyk.

– Kropeczka? – Skoczyła na równe nogi i szybko zapaliła światło.

W łóżku leżał Marcin i patrzył na nią zdziwiony.

– Kropeczka? – powtórzył.

– Filip coś krzyczał, tak? Znowu te jego sny o potworach? – odpowiedziała pytaniem na pytanie i pobiegła do pokoju synka. Marcin szybko wsunął okulary na nos i popędził za nią.

Rozdział 19
Pięć długich dni

Kręciła się po centrum Warszawy, czekając na godzinę dwunastą. Wynik miał być gotowy do odbioru dopiero w południe. Zajęć ze studentami w tym tygodniu nie miała. Na uczelni zaczęły się już ferie. Kilku niedobitków zdających egzaminy poprawkowe odpytała z samego rana. Po raz pierwszy od dawna miała za dużo czasu. Weszła do księgarni. Brała do ręki różne książki, oglądała okładki, próbowała czytać opisy z tyłu… ale zupełnie nie rozumiała, co czyta. Na wszystkich półkach królowały okładki z serduszkami. Czerwone, słodkie, z obowiązkowym słowem „miłość" albo „kocham" w tytule. Walentynki zbliżały się wielkimi krokami. Jak nigdy w życiu pragnęła zapomnieć o tym święcie. I o swojej rocznicy ślubu. Co ich podkusiło, żeby wziąć ślub w najbardziej tandetne i komercyjne święto w całym roku? A może siedem lat temu jeszcze nie było z nim tak źle? Może wtedy walentynki wciąż kojarzyły się ludziom z miłością, a nie z wielkimi zyskami sieci handlowych?

Wypadła z księgarni, strącając ze stojaka przy drzwiach całą stertę pluszowych amorków. Poszła poprzymierzać buty. Miła ekspedientka przynosiła jej chyba już dziesiątą parę. Wszystkie były niewygodne, sztywne… Zresztą wcale przecież nie potrzebowała nowych butów. Te, które miała, i tak nie mieściły się w garderobie.

Do dwunastej zostało jeszcze dwadzieścia minut. Snuła się po prostu po ulicach, usiłując omijać wzrokiem wystawy z czerwonymi balonikami, czerwonymi serduszkami, zdjęciami zakochanych tulących się do siebie, całujących się na ulicy, leżących razem w pościeli, oczywiście czerwonej. Była bez szans. Nawet na szybie modnego, hipsterskiego baru mlecznego wypisano kredą menu okolicznościowe: *Dla zakochanych dwie kawy w cenie jednej! Ciastko LOVE – 4,99. Rosół z lubczykiem – 6,99.*

Nie chciała rosołu z lubczykiem ani ciastka LOVE. Chciała tylko dostać swój wynik testu. Ale do dwunastej został jeszcze kwadrans.

Znowu zaczął sypać mokry, lepki śnieg. Idealny na bałwana. Postanowiła, że odbierze Filipa ze szkoły szybciej niż zwykle. Nie będzie musiał czekać do siedemnastej w świetlicy. Pojadą na hamburgera… Raz na pół roku mogą chyba zjeść

coś niezdrowego? Zjedzą więc hamburgera i frytki i pojadą do parku lepić bałwana i tarzać się w śniegu. Może nawet zadzwoni do Marcina, żeby przyjechał do nich prosto z pracy? I będą razem leżeli na śniegu i machali rękami, robiąc orzełki. Filip chyba nie znał jeszcze tej zabawy…

Śnieg topił się na jej twarzy, spływając równymi strużkami pod kołnierzyk płaszcza.

Schowała się pod daszkiem cukierni. Na wystawie stał tort. Oczywiście z czerwonym lukrem. W kształcie wielkiego serca.

Ciekawe, jak czują się samotni ludzie, rozwodnicy, wdowcy, spacerując o tej porze roku ulicami? – zastanowiła się.

I zaraz przeszedł ją dreszcz. Może za rok Marcin będzie wdowcem? Albo ona wdową? Może u jednego z nich uda się powstrzymać wirusa przed atakiem na wszystkie komórki, a u drugiego żadna terapia nie da rezultatu?

Do dwunastej zostało dziesięć minut. Trudno, najwyżej poczeka w środku. Nie spotka chyba żadnego ze swoich studentów? Wszyscy już w piątek wyjechali na ferie…

– Wiem, że wydajecie te wyniki od dwunastej… – zaczęła, wpatrując się intensywnie w rudą dziewczynę w widocznej ciąży.

– Od dwunastej, tak. – Ruda uśmiechnęła się promiennie. – Ale ma pani szczęście. Dziś dostaliśmy je trochę wcześniej.

Dwie minuty później obie wiedziały już, że Agata szczęścia nie ma.

– Proszę się nie denerwować – powtarzała ruda trzeci raz. – To tylko test przesiewowy. On mówi o podejrzeniu zakażenia, trzeba go potwierdzić innym testem. Nie wiem, czy to jest dla pani jasne?

Agata pokiwała głową. Blondynka, z którą rozmawiała w sobotę, mówiła o tym wyraźnie. Ten pierwszy test wykazuje, że mogło dojść do zakażenia. Jego wynik mogą zafałszować przyjmowane antybiotyki, nowotwór albo wczesna ciąża…

– Testy przesiewowe polegają na tym, że…

– Wiem, na czym polegają – przerwała jej Agata. – Pani koleżanka wszystko mi wytłumaczyła. Bardzo dokładnie. Mój test wyszedł dodatnio, tak? A więc wysłaliście próbkę do innego laboratorium…

– Do szpitala zakaźnego – uściśliła ruda. – Tam zostanie wykonany test potwierdzenia Western blot. Za pięć dni będziemy wiedzieć na pewno…

Za pięć dni?! Równie dobrze mogłaby powiedzieć „za pięć lat” albo „za pięćset lat”. Pięć dni wydawało się taką otchłanią czasu, że… że… Agata opadła na krzesło i zaczęła płakać. Ruda dziewczyna w ciąży chyba coś do niej mówiła. Zadawała jakieś pytania. Podawała nawet statystyki, jak często testy przesiewowe dają wynik fałszywie dodatni. I zapewniała, że współczesna medycyna potrafi świetnie sobie radzić z wirusem i utrzymywać go przez wiele lat pod kontrolą.

Agata nie umiała skupić się na jej słowach. Myślała tylko o jednym.

Mam AIDS. Mam AIDS. A skoro tak, to Marcin i Filip też są zakażeni. Nie ma innej możliwości.

Zerwała się z miejsca. Musiała porozmawiać z Marcinem teraz, natychmiast. Wyciągnąć go z domu, poprosić mamę, żeby zajęła się Filipem. Musiała powiedzieć Marcinowi absolutnie o wszystkim jak na spowiedzi.

– Na pewno nie jest pani w ciąży? Nie choruje na nowotwór? A może miała pani ostatnio jakieś szczepienia? Na przykład na grypę?

– Nie! – Agata podniosła głos, choć wcale nie miała takiego zamiaru. Czuła, że zaraz wybuchnie. – Nie jestem w ciąży, mam nadzieję, że nie mam raka… Chociaż rak byłby chyba lepszy niż HIV… I na pewno nie szczepiłam się na… – Nagle przerwała. – Nie szczepiłam się na grypę. Ale na kilka innych chorób tak. Wyjeżdżam za miesiąc do Pekinu, więc…

– Kiedy się pani szczepiła? I na co? – Ruda spojrzała na nią z zainteresowaniem.

Agata próbowała policzyć w pamięci dni od tych szczepień. To było wtedy, kiedy Zuza nocowała u nich w domu. Z tymi fioletowymi włosami. Tak niedawno i tak dawno jednocześnie.

– Nie wiem, nie mogę sobie przypomnieć. – Znów zaczęła zanosić się płaczem. – Dwa tygodnie temu? Może dwa i pół? Może trzy? A jakie to ma znaczenie? Czy ten test będzie nieważny, jeżeli się szczepiłam? Czy będziemy mieć pewność, że nic mi nie jest… że to tylko szczepienie zafałszowało wynik?

– Niestety nie. – Ruda pokręciła głową. – Szczepienie zwiększa tylko prawdopodobieństwo, że test przesiewowy się pomylił. W takiej sytuacji zdecydowanie nie warto panikować. Trzeba spokojnie poczekać pięć dni na wynik testu Western blota…

– Pięć dni – jęknęła Agata. – Pięć dni. Dobrze, dziękuję. Wrócę w piątek.

– Po dwunastej – przypomniała jej ruda.

– Po dwunastej. Oczywiście – zgodziła się Agata, otwierając drzwi.

– Proszę pamiętać: nic jeszcze nie wiadomo na pewno – zawołała za nią ruda.

Ale Agata już wiedziała. Już miała poczucie nieuchronnej katastrofy pociągającej na dno wszystkich, których kocha. I Marcina, i Filipa… I może nawet Zuzę?

Nie miała odwagi wrócić do domu. Nie chciała patrzeć w twarz Marcinowi. Od powrotu z Włoch i tak było im trudno. Jak miałaby teraz z nim rozmawiać? Nie chciała odbierać Filipa ze szkoły. Nie do wiary, jeszcze pół godziny temu planowała lepienie bałwana i robienie orzełków na śniegu. Teraz zaś nie chciała, żeby Filip odczytał w jej twarzy lęk, rozpacz, ból. To wszystko tam było. A ten malec czytał w niej zawsze jak w otwartej książce.

Odbierz małego. Mam zebranie w pracy – napisała enigmatycznie do Marcina.

OK – odpisał szybko i krótko, jak to on.

Znowu chodziła po ulicach.

„Przegląd Polskich Filmów o Miłości” – krzyczał plakat.

Śnieg wirował wokół niej. Lodowaty wiatr wdzierał się pod cienki płaszczyk. Zaczynała się zadymka.

Zrobiła krok przed siebie i znalazła się w ciepłym, rzęsiście oświetlonym kinowym holu.

– Dwa bilety w promocji w cenie jednego – zaszczebiotała siwa kasjerka.

– Potrzebuję jednego – mruknęła Agata. – Przyszłam sama.

Nie wiedziała nawet, na jaki film pójdzie. Chciała po prostu się ogrzać i zebrać myśli.

Przypomniał jej się jeszcze jeden list Grzegorza. Jeden z ostatnich przed ich spotkaniem. Z tych, w których coraz odważniej snuł marzenia o pobycie w Rzymie.

Będziemy kochać się całymi dniami. Pić chianti, całować się, kochać. Napiszę do właściciela pensjonatu. Poproszę go o dodatkową zmianę pościeli.

Będę Cię karmił bagietką w tym wielkim łóżku. Czy Włosi mają bagietki? Jestem przy tobie takim ignorantem! Nigdy nie byłem we Włoszech!

Wyjdziemy wieczorem na zakupy. Z ustami czerwonymi od chianti i od pocałunków. Wślizgniemy się do starego, pustawego kina. Mówiłaś, że chodziłaś kiedyś na kurs włoskiego, prawda? A więc będziesz tłumaczyć mi do ucha, co mówią aktorzy. A ja przykryję nas kurtką i będę Cię pieścił i pieścił… Aż Twój szept zamieni się w niecierpliwy świst. Wybiegniemy przed końcem seansu i wrócimy do naszego pokoju, nienasyceni, spragnieni siebie.

Nigdy nie będę miał Cię dość. Nigdy się Tobą nie nacieszę, moja Perełko.

Rozdział 20
Ajlawju

Uśmiechnęła się do tych wspomnień. Może gdyby pojechali do Rzymu, zamiast spędzić tę pierwszą noc w jej ciasnym M-3 z widokiem na parking i budkę z chińskim jedzeniem, wszystko byłoby inaczej? Może dziś wciąż byliby razem? Zuza mówiłaby do niej „mamo”. Ale to oznaczałoby, że nie byłoby Filipa…

Nie, tego nie umiała sobie wyobrazić.

Błyskawicznie wróciła do rzeczywistości. Na kinowym ekranie pokazała się właśnie reklama czekoladek dla zakochanych. Z parą lecącą nad miastem czerwonym balonem.

Ona też przez kilkanaście, może dwadzieścia kilka dni tego zwariowanego romansu unosiła się nad ziemią. I co? Dokąd ją to zaprowadziło?

Przygryzła wargę, żeby się nie rozpłakać, ale niewiele to dało. Łzy ciekły równymi strugami.

Reklamy wreszcie się skończyły. Zaczął się film. Spodziewała się jakiegoś czarno-białego arcydzieła sprzed osiemdziesięciu lat z Dymszą i Hanką Ordonówną. O ile oni w ogóle grali razem w jakimś filmie. Tymczasem na ekranie pojawiło się *Ajlawju* Marka Koterskiego. Jakim cudem nie widziała nigdy przedtem tego filmu?

Tym razem też go nie widziała. Łzy leciały jej po twarzy przez cały seans. A kiedy Cezary Pazura powiedział do Katarzyny Figury: „Ty cholerna bezmyślna idiotko, wszystko na wstępie zepsułaś, zanim się zaczęło!”, wpadła w takie spazmy, że przytulona para siedząca przed nią odwróciła się do tyłu, zaniepokojona.

Tak właśnie się czuła. Jak idiotka, która wszystko popsuła. Najpierw swoją relację z Grzegorzem. Zamiast umówić się jak normalny człowiek na kawę w centrum handlowym i zobaczyć, czy choć trochę do siebie pasują, ona zaprosiła go do domu. Do swojej sypialni! Jakim cudem miałoby wyjść z tego coś na całe życie? Cały czas miała wrażenie, że to, co się dzieje teraz, to kara. Kara za lekkomyślność sprzed ośmiu lat. Za to, że dała się porwać marzeniu. I za to, że nie dotrzymała słowa danego Kropeczce. Miała być jej mamą już zawsze. Miała o nią dbać.

Na ekranie Pazura szedł razem z Figurą przez park. Padał deszcz. Agata

przypomniała sobie tamtą listopadową sobotę. Szli we trójkę przez park. Nagle lunął deszcz. Nie mieli parasola. Rozpięła kurtkę, przytuliła Zuzię i szły tak, we dwie schowane pod jedną kurtką.

– Mama, mama, mama nie chce, żebym się przeziębiła – podśpiewywała Kropeczka. – Mama mnie kocha. Mama, mamaaaa!

Pocałowała ją wtedy w czubek głowy. Nie była pewna, czy to już miłość. Ale obiecała sobie właśnie wtedy, w strugach deszczu, że zrobi wszystko, żeby tej małej cudownej Kropeczce nigdy nie stała się krzywda.

I co? Mogła tyko powtórzyć za Pazurą: „Ty cholerna bezmyślna idiotko, wszystko na wstępie zepsułaś, zanim się zaczęło!”.

A teraz jeszcze rozwala swoje małżeństwo. Powinna usiąść z Marcinem i wszystko mu opowiedzieć. Spokojnie, po kolei. Nie mogła jednak się na to zdobyć. Jeśli ten test… ten, jak mu tam, Western blot, potwierdzi wyrok… Tak, wtedy powie mu o wszystkim. To będzie śmiertelnie poważna rozmowa. Jeśli nie potwierdzi – też powie mu o wszystkim. Już to sobie wyobrażała! Będzie z tego żartować. Opowie jak anegdotkę: „Ty nawet nie wiesz, co ja przeżyłam przez ostatnie dni. Jak w filmie, słowo daję. Jakimś amerykańskim dreszczowcu klasy B albo i C”.

Będzie zły, że o niczym nie wiedział. Że nie mógł jej wesprzeć. Że nie wzięła go ze sobą na ten test. W końcu to dotyczyło także jego.

Ale wiedziała, że zdoła mu to jakoś wytłumaczyć. Bo przecież chciała go chronić. Chronić przed tym strachem, który panował nad nią od zeszłego wtorku.

Już nie płakała. Już wyła. Zakrywała usta dłonią, gryzła się w nią, żeby nie przeszkadzać innym ludziom. Całe szczęście, że miejsca obok niej były wolne. Tylko ta para z przodu… Dziewczyna odwracała się co chwilę, patrzyła na nią uważnie, a potem szeptała coś brunetowi. Wyglądał na znudzonego. Całą tą sytuacją, filmem, walentynkami. Może nawet swoim związkiem? Miała ochotę powiedzieć dziewczynie: „Uważaj. On chyba nie kocha cię tak bardzo, jak myślisz”.

Ugryzła się jednak w język. Brunet pewnie dałby jej w twarz za wtrącanie się w nie swoje sprawy. I chyba miałby rację.

W kinie zapaliło się światło. Nawet nie zauważyła napisów końcowych. Nie miała pojęcia, o czym był ten film. Mężczyzna chciał mieć kochankę – tyle zrozumiała, zanim rozpłakała się na dobre. Ciekawe, czy słyszał o AIDS? I używał prezerwatyw? Film był chyba z 1999 roku – AIDS szalało już wtedy po całej Europie.

Nagle zaczęła być zła na wszystkich reżyserów, autorów książek, dziennikarzy. Dlaczego tak mało o tym mówili? Dlaczego aż do zeszłego tygodnia miała wrażenie, że wirusem HIV zakażają się tylko geje i narkomani? Przecież sama prowadziła pogadanki na ten temat, rozmawiała o tym ze studentami, raz czy dwa wypowiadała się nawet w telewizji na temat edukacji seksualnej w dobie AIDS… Ale tak naprawdę, w głębi duszy, wcale nie wierzyła w to, że zwyczajni ludzie, mający

zwyczajne życie seksualne, też są zagrożeni. Kim byli ci, którzy umierali? I ci, którzy żyją z HIV i otwarcie o tym mówią? Ci, o których gazety donoszą na pierwszych stronach? Sami ekscentrycy, geje, biseksualiści, organizujący w swoich domach szalone orgie. Freddie Mercury, Valentino Liberace…

Wyszła z kina, stanęła w bramie pod plakatem krzyczącym: „Walentynkowy maraton filmowy, spędź tę noc z ukochaną osobą w naszym kinie!” i zaczęła wyszukiwać na smartfonie wszystkich znanych ludzi, którzy mieli HIV. Ofra Haza, izraelska piosenkarka? Agata pamiętała doskonale jej ciemne loki i wielki hit *Im Nin’alu*. Nie przypuszczała, że HIV dotarł nawet do Izraela, i to już kilkanaście lat temu. Ale przecież Ofra była piosenkarką, jeździła po całym świecie. A piosenkarze i piosenkarki nieustannie mają romanse i przygody na jedną noc. Ale… Co takiego? Michel Foucault? Słynny francuski filozof był jedną z pierwszych głośnych ofiar tego wirusa? Umarł w 1984 roku. Nie był chyba ekscentrykiem i nie słynął z urządzania seksparty w swoim domu. Ale… no tak, wyszukiwarka potwierdziła natychmiast, że był gejem. Wpisywał się więc w ten schemat, który Agata miała przez całe lata w głowie. Kto jeszcze? Rosyjski baletmistrz, Rudolf Nuriejew? Chyba w życiu o nim nie słyszała, ale rzut oka na artykuł w Wikipedii wystarczył, by poznała historię jego wielkiej – i oczywiście homoseksualnej – miłości. Rock Hudson – aktor i homoseksualista.

Lista była długa. I potwierdzała, właściwie bez wyjątków, przekonania Agaty. Niepoprawne politycznie, homofobiczne, do których w życiu nie przyznałaby się studentom. Ani Łukaszowi, koledze z wydziału, który żył w najpiękniejszym, najbardziej partnerskim, pełnym szacunku i miłości związku z Mirkiem chyba jeszcze od czasów licealnych. Byliby załamani, gdyby się dowiedzieli, co ma w głowie kobieta, którą kilka razy podejmowali u siebie w domu kolacją z trzech dań. A jednak… Tak, tak właśnie myślała. Na AIDS umierają ekscentryczni artyści i geje, a nie gospodynie domowe, emeryci czy urzędnicy siedzący w biurze codziennie od ósmej do szesnastej. I na pewno nie znane z telewizji panie terapeutki z doktoratem i apetytem na habilitację.

Śnieg wcale nie przestał padać podczas jej wizyty w kinie. Wręcz zacinał jeszcze mocniej. Schowała się głębiej w bramie, ale przenikliwe zimno nie pozwoliło jej zostać tam na długo.

Nie chciała wracać do domu. Wciąż nie udało jej się uspokoić, zebrać myśli.

Weszła do kawiarni. Jedynej, która nie miała na drzwiach czerwonego serduszka ani żadnego specjalnego menu z okazji nadchodzących walentynek.

Usiadła przy stoliku w kącie sali, z dala od zakochanych par i rozchichotanych przyjaciółek. Zamówiła herbatę. Pierwszy raz od wieków. Zawsze piła kawę, od rana do wieczora. Ale tym razem naprawdę już nie chciała podnosić sobie ciśnienia.

– Może zaproponuję wspaniały walentynkowy deser? – Kelnerka w fikuśnym

fartuszku uśmiechała się do niej szeroko.

– Niech go pani lepiej nie proponuje – mruknęła.

– Słucham? – Dziewczyna chyba nie dosłyszała. – Pytała pani, jak wygląda ten deser? A więc…

– Wiem, jak wygląda. Jest czerwony, w kształcie serca. Bardzo słodki. Pewnie z czekoladą, bo to afrodyzjak. Zgadłam?

– Słucham? – Dziewczyna patrzyła na nią zdumiona. W kawiarni zrobiło się cicho. Wszyscy patrzyli na Agatę. Kobieta z dziwną, utapirowaną fryzurą siedząca pod oknem z koleżanką szeptała coś do niej z przejęciem. Pewnie rozpoznała Agatę. Wyglądała na taką, która zaczyna każdy dzień od telewizji śniadaniowej. A teraz już nie mogła się doczekać, aż opowie wszystkim znajomym, jaka ta doktor Marks jest niesympatyczna i zgryźliwa.

Agata wzięła głęboki oddech i przywołała na twarz coś na kształt uśmiechu.

– Dziękuję za deser – powiedziała z wysiłkiem. Kąciki ust drżały jej od tego nienaturalnego grymasu. – Poproszę tylko herbatę z cytryną.

Kelnerka pokiwała głową i szybko uciekła na zaplecze.

Ludzie znowu zaczęli rozmawiać. Przedstawienie najwyraźniej dobiegło końca.

Agata sięgnęła po smartfona. Zaczęła wyszukiwać informacje o tym, jak wygląda życie seksualne statystycznego Polaka. Choć jako naukowiec wiedziała doskonale, że nie istnieje nikt taki jak statystyczny Polak. Musiała jednak się dowiedzieć, jak wypada na tle badań. Czy jest bardziej rozwiązła niż średnia krajowa? Czy kwalifikuje się do tej grupy ekscentryków umierających na AIDS? Nie była religijna, a jednak słowo „kara” wciąż kołatało jej w głowie. Kara za grzechy… grzechy młodości… i za głupotę. Jak mogła się wtedy nie uprzeć przy tej prezerwatywie? Jak mogła pozwolić, żeby kochali się bez zabezpieczenia?

Kara… kara…

Błyskawicznie znalazła odpowiedź. Raport sprzed kilku lat o seksualności Polaków informował, że statystyczny obywatel naszego kraju ma w życiu 4,28 partnera. Agata ze swoimi czterema mężczyznami plasowała się więc odrobinę poniżej średniej. Nie zasłużyła na wieczne potępienie. Nie była ladacznicą.

W sprawie prezerwatyw też nie odbiegali z Grzegorzem od średniej krajowej. Znalazła aż cztery różne raporty na ten temat. Zgodnie informowały, że Polacy bardzo niechętnie używają prezerwatyw. Kręciło jej się w głowie od liczb. Aż 77 procent mężczyzn twierdziło, że prezerwatywy zmniejszają doznania seksualne. Ponad 1/3 Polaków przyznawała w ankietach, że nie dba o zasady bezpieczniejszego seksu. A prezerwatywy przy stosunku z nowym partnerem stosowało niecałe 20 procent Polek i Polaków!

A więc wcale nie była w mniejszości. Była w ogromnej większości. W tej bezmyślnej większości, która wierzyła, że HIV jej nie dotyczy.

Marne to było pocieszenie…

Dopiła herbatę i ruszyła w stronę domu.

Powoli. Bardzo powoli. Może po drodze zajrzy jeszcze do jakiegoś sklepu? Chyba dawno nie kupowała mięsa ani warzyw. Lodówka świeci pustkami. Tak, zakupy spożywcze stanowiły doskonały pretekst, żeby odwlec powrót, jeszcze choćby o pół godziny.

Rozdział 21
Czerwona koperta

Otworzyła drzwi. Wzięła głęboki oddech.

– Jeszcze pięć dni – powiedziała do siebie. – Wytrzymasz. A za pięć dni… bez względu na to, jaki będzie ten wynik… za pięć dni wszystko mu powiesz.

Z dużego pokoju dobiegały jakieś głosy. I perlisty śmiech Filipa. O tej godzinie? Nie do wiary! Dlaczego Marcin pozwolił mu oglądać film o tak późnej porze? Przecież powinien już dawno spać!

Nagle tknęło ją złe przeczucie. Weszła do pokoju, nie zdejmując nawet ośnieżonej kurtki.

Przy stole siedzieli Marcin i Filip. Z kuchni zaś w kierunku stołu szła Zuza. Miała na sobie fartuszek Agaty. I rękawice kuchenne Agaty. Trzymała w nich dymiącą ceramiczną brytfankę, pełną jakiejś żółtej masy, z której wystawały niezidentyfikowane zielone wypustki.

– Zobaczymy, Fil, czy miałeś dobry pomysł z dodaniem tego sera do sosu – zawołała radośnie.

Fil? Fil?! Najpierw nie odpowiada na telefony, zapada się pod ziemię, a potem śmie przychodzić tutaj pod nieobecność Agaty i mówić do jej syna „Fil”?! Ciekawe, czy z Marcinem też już zdążyła przejść na ty?

– Marcin, nie mogłam znaleźć łopatki do nakładania. Pomożesz mi? – zaświergotała.

A więc tak, z nim też szybko jej poszło. Jakim cudem? Przecież nie chciał, żeby w ogóle przychodziła do ich domu, nie ufał jej, namawiał Agatę, żeby już więcej z nią nie rozmawiała. A teraz, cały roześmiany, siada z Zuzą do stołu?

Agata wkroczyła szybkim krokiem w sam środek tej sielanki.

– Co za niespodzianka! – zawołała stanowczo za głośno. – Co cię do nas sprowadza?

Przez moment wydawało jej się, że dziewczyna wypuści z rąk ceramiczną pomarańczową formę. Ulubioną formę Agaty. Powinna poczekać z tym wejściem smoka, aż naczynie bezpiecznie trafi na stół.

Zuza pobladła, ale brytfanki nie wypuściła.

– Co cię sprowadza? – powtórzyła Agata. Wiedziała, że to okrutne, ale nie mogła się powstrzymać. Była na nią wściekła.

– Mamo, siadaj, zrobiłem z Zuzią pyszną zapiekankę. – Policzki Filipa były zaróżowione z emocji. – Wszystko robiliśmy razem. Było super. Jakbym miał siostrę, wiesz? I wzięliśmy tego brokuła, z którego miała być zupa. Nie gniewasz się?

– Oczywiście, że nie. – Agata zajęła się zdejmowaniem kurtki, żeby nikt nie zauważył, że ma łzy w oczach.

– Usiądź z nami, a potem sobie spokojnie porozmawiacie. – Marcin uśmiechnął się lekko.

Wyglądało na to, że Zuza pod nieobecność Agaty naprawdę jakimś cudem zdobyła też jego serce.

– Mamo, usiądź. To będzie pyszne, zobaczysz! – Filip wpatrywał się w nią z napięciem.

Zuza nie mówiła ani słowa. Wróciła do kuchni i przyniosła z niej czwarty talerzyk i kubek. Nalała wszystkim herbatę z dzbanka, którego nie używali od wieków. Agata zapomniała, że go w ogóle mają. A potem zaczęła nakładać zapiekankę. Cały dom wypełnił intensywny zapach. Agata nagle poczuła, jak bardzo jest głodna. Nie jadła nic od siódmej rano.

Usiadła przy stole i nabrała odrobinę zapiekanki na widelec.

– Pyszne! – powiedziała szczerze. – Co w tym jest? Ziemniaki?

– Wszystko, co znalazłam w waszej lodówce. – Zuza aż się zarumieniła z zadowolenia. – Marcin powiedział, że mogę wziąć brokuł i szynkę, i śmietanę. I wszystko, czego potrzebuję. Więc wzięłam też tę miseczkę ugotowanych ziemniaków. Chyba z wczorajszego obiadu, tak?

– Tak – przytaknęła Agata, pochylając głowę.

– Nie jesteś zła? Nie były ci potrzebne? – Zuza próbowała spojrzeć jej w oczy.

Agata nie wytrzymała.

– Zła? Pewnie, że jestem zła. Zła jak osa, ale nie o ziemniaki! Jestem zła, bo… bo martwiłam się o ciebie! Bo nie odpowiadasz na telefony! Bo pojawiasz się i znikasz! Bo nie wiem… Bo nie wiem, o co ci chodzi! – zdołała ugryźć się w język i zmienić „bo nie wiem, co powiedziałaś Marcinowi” na zupełnie inne zdanie.

– Mamo… – Filip patrzył na nią błagalnie. Usta ułożyły mu się w podkówkę, ich kąciki drżały ostrzegawczo. Wiedziała, że zaraz się rozpłacze.

– Zjedzmy po prostu kolację, dobrze? – Marcin najwyraźniej też uważał, że Agata robi z igły widły i psuje fantastyczny nastrój bez najmniejszego powodu.

– Zjedzmy – zgodziła się zrezygnowana.

I zajęła się pochłanianiem zapiekanki. Swoją drogą, naprawdę wyśmienitej!

– A wiesz, mamo, że Zuzia umie piec babeczki? Z rodzynkami, takie jak babcia?

Obiecała, że mnie nauczy! I wiesz, mamo, ona była w Paryżu! Wyobrażasz sobie? Też tam pojadę, gdy będę duży! – Filipowi nie zamykała się buzia.

Agata pogłaskała go po głowie.

Mam nadzieję, że kiedyś będziesz duży. Że wszyscy troje zdążymy tam pojechać – pomyślała i poczuła, że pod powiekami znów zbierają jej się łzy.

– Przepraszam, muszę iść do łazienki – wydusiła z siebie, wybiegając z pokoju.

– Przyniosłam wam prezent. Na walentynki. Mam nadzieję, że się ucieszycie… i że nie macie innych planów. To zresztą nie jest dokładnie w walentynki… – Zuza posprzątała ze stołu i zaparzyła drugi dzbanek herbaty, a potem wyciągnęła z dużej sztruksowej torby pogniecioną czerwoną kopertę.

Przez głowę Agaty przebiegł milion myśli. Może powinna podrzeć tę kopertę? Albo w ogóle jej nie dotykać? Przez chwilę wydawało jej się, że wie, co jest w środku. Wynik testu. Tego nowego testu. Tego, który będzie gotowy dopiero za pięć dni. Zuza coraz częściej wyprzedzała ją o krok albo i o dwa. Prowadziła jakąś grę, której zasad Agata nie umiała przejrzeć. Ale nie mogła chyba mieć dostępu do laboratorium?

Po raz setny tego dnia zaczęła się zastanawiać nad tym weekendem sprzed ośmiu lat. Szalonym, pięknym, koszmarnym weekendem. I znowu to pytanie powracające jak natrętny refren: dlaczego nie uparła się wtedy przy tej prezerwatywie? Przecież doskonale wiedziała, że nie powinna ryzykować. Nie przypuszczała, że ktokolwiek mógłby namówić ją do zmiany zdania. Właściwie nie pamiętała już, jak on tego dokonał. Przecież powinna natychmiast wstać z łóżka i po prostu wyjść z pokoju.

Tak, bardzo żałowała, że tego nie zrobiła. Nie wiedziała, jak wytrzyma pięć następnych dni. Nie do wiary, że w ogóle o tym nie myślała przez te wszystkie lata. Nawet wtedy, gdy była w ciąży. Robiła setki badań, żeby mieć pewność, że Filip jest zdrowy, że dostaje tyle witamin i minerałów, ile mu potrzeba. A o teście na HIV nie pomyślała! Wtedy jeszcze lekarze nie mieli obowiązku mówić pacjentce, że warto taki test zrobić. Sprawdziła to już w Internecie. Obowiązek pojawił się dwa lata po narodzinach Filipa. Ale i tak nie wszyscy go przestrzegali. Zresztą nawet gdyby lekarz zaproponował jej test, pewnie wcale by go nie zrobiła. Naprawdę nie myślała przez te lata o Grzegorzu i o tym, co się między nimi wydarzyło. Uznała to za pomyłkę… bolesną pomyłkę. I piękną przygodę z dawnej ery. Ery przed Marcinem.

Była jednak inna rzecz, której żałowała niemal każdego dnia przez tych osiem lat. Której nie mogła darować Grzegorzowi, ale przede wszystkim sobie. O której myślała za każdym razem, gdy mijała na ulicy małą dziewczynkę z ciemnymi włosami. Żałowała przez cały ten czas, że wciągnęli w to Kropeczkę. Nie wiedziała, że on ją przywiezie. Była przekonana, że przyjedzie sam przegadać z nią tę noc i rano pojadą razem do Poznania. Nie miała okazji zaprotestować. Postawił ją przed faktem dokonanym, wychodząc z windy z Zuzią na rękach. Nie mogła nic zrobić w tej

sprawie.

Ale jak mogła dopuścić do tego, żeby dziecko weszło do nich do łóżka, znalazło ich nagich… żeby było świadkiem tego, co działo się przez kolejne dni? Namiętności, wściekłości, wyznań, awantur? A przede wszystkim jak mogła pozwolić, żeby dziewczynka mówiła do niej „mamo” tak od razu? Ona, pedagog, przyszła terapeutka, specjalistka od kruchej dziecięcej psychiki…

– Agata, nie chcesz tego prezentu? Naprawdę? Przecież nawet nie wiesz, co to jest. – Zuza stała obok z wyciągniętą ręką.

Kobieta z trudem przeniosła się ze wspomnień do teraźniejszości.

– Dziękuję bardzo – powiedziała, wyjmując z palców dziewczyny czerwoną kopertę.

– Dziękujemy – poprawił ją Marcin.

W kopercie były bilety na koncert.

– Stare Dobre Małżeństwo? – Nie wiedziała, śmiać się czy płakać. Zuza chyba chciała dobrze? Nie mogła wiedzieć…

– Stare Dobre Małżeństwo? – zdziwił się Marcin. – Skąd wiedziałaś, że moja żona za nimi szaleje?

– Szalała – poprawiła go szybko Agata. – To było wieki temu! – Nagle dotarło do niej to, co powiedział Marcin. – Zuza, skąd wiedziałaś, że ja w ogóle słucham takiej muzyki?

– Zgadywałam. – Dziewczyna prychnęła. – No co ty? Serio, nie pamiętasz? Tata ci śpiewał – odparła takim kpiącym tonem, jakby Grzegorz z tych zamierzchłych czasów odśpiewywał co rano i co wieczór instrukcję obsługi miksera albo treść jakiejś kartki wyrwanej z książki telefonicznej. – Naprawdę nie pamiętasz tej gitary, po którą leciał do samochodu w największy deszcz?

Kropeczka miała wtedy niecałe siedem lat. Jakim cudem pamiętała to wszystko tak dokładnie? Dokładniej niż dorosła kobieta!

– Trochę pamiętam – skłamała.

Nie pamiętała gitary, tylko maile, w których Grzegorz cytował obficie piosenki Starego Dobrego. Te najbardziej miłosne. Nawet była zła, bo to przecież były jej wspomnienia z liceum. Z chwil spędzanych z Pawłem przy ognisku. Pierwsze trzymanie się za ręce, pierwsze pocałunki, w cieniu, gdy ktoś grał na gitarze i śpiewał: „Ja, cóż, włóczęga, niespokojny duch, ze mną można tylko iść na wrzosowisko i zapomnieć wszystko. Jaka epoka, jaki wiek, jaki rok, jaki miesiąc, jaki dzień i jaka godzina kończy się, a jaka zaczyna”. To była ich piosenka. Ich i paru milionów innych par w Polsce, całujących się w latach osiemdziesiątych albo dziewięćdziesiątych przy ogniskach, na polach namiotowych…

Jakim prawem Grzegorz kilkanaście lat później chciał jej śpiewać te same piosenki, tak mocno związane z Pawłem i tamtymi pierwszymi uniesieniami?

Szybko jednak przestała się złościć.

Czytała jego maile i śpiewała pod nosem, że jeszcze zdążymy naszą miłością siebie zachwycić, zachwycić siebie i wszystkich w krąg…

A potem był ten mail, w którym pierwszy raz zaproponował spotkanie. Nie znalazła go w archiwalnej skrzynce, którą przeglądała tyle razy w ostatnich tygodniach. Czyżby wykasowała przez nieuwagę? Właściwie nie musiała go czytać. Znała go przecież do dziś na pamięć. Po tylu latach wciąż pamiętała każdy przecinek.

Pewnie już śpisz, Perełko. Ale ja nie mogę spać. Myślę o tym, ile dla mnie zrobiłaś. Pomogłaś mi uratować Zuzię. Wyciągnąć ją ze smutku. Jak mogę Ci się odwdzięczyć?

Czasami wydajesz mi się smutna. Czasami słyszę w Twoich listach jakąś tęsknotę, której źródeł nie znam. Chciałbym spłacić swój dług za pomoc, za każde z Twoich słów. Przywoływać uśmiech na Twoją twarz każdego dnia. Pozwolisz mi na to? Spotkasz się ze mną? Choć na chwilę, na kawę…

Śpisz, Perełko? Śpij. A ja wezmę gitarę i cicho, cichutko, żeby nie obudzić Zuzinka, zaśpiewam Ci piękną piosenkę. Znasz ją? Znasz, na pewno. Stare Dobre Małżeństwo, cudowny tekst Adama Ziemianina. To o nas. To o mnie. O tej nocy.

Czwarta nad ranem
Może sen przyjdzie
Może mnie odwiedzisz

Czemu cię nie ma na odległość ręki?
Czemu mówimy do siebie listami?
Gdy ci to śpiewam – u mnie pełnia lata
Gdy to usłyszysz – będzie środek zimy

Czemu się budzę o czwartej nad ranem
I włosy twoje próbuję ugłaskać
Lecz nigdzie nie ma twoich włosów
Jest tylko blada nocna lampka

Łysa śpiewaczka
(…)
Już piąta

Perełko, chcę Cię poznać. Marzę o tym. Chcę dla Ciebie śpiewać i widzieć Twój uśmiech. Wszystkie moje kręte ścieżki wiodły do tej chwili. Chcę Cię uszczęśliwiać dzień po dniu. Ale na początek wystarczy mi kawa w zatłoczonej kafejce. Zgódź się.

Już piąta. Śpij spokojnie, moje szczęście.

– Filip, musisz już iść spać! Rano będziesz nieprzytomny! – Ocknęła się nagle. – Kropeczko, a ty… – Nie wiedziała, co powiedzieć. „A ty idź już na przystanek”? O tej porze? Nie wyśle jej przecież nocnym pociągiem do babci… do domu… gdziekolwiek on teraz był. Nie może jej narażać.

– Zuza przenocuje u nas. Zaprosiliśmy ją na kilka dni, prawda, Filip? W Wielkopolsce zaczęły się właśnie ferie. – Marcin uśmiechał się radośnie. Był przekonany, że Agata nie marzy o niczym innym, tylko o zatrzymaniu Zuzy na noc. Poprzednio przecież walczyła z nim o to jak lwica.

Ale teraz… Teraz chciała tylko, żeby wszyscy poszli spać i zostawili ją w spokoju. Wiedziała, że Zuza czeka na sposobność, by zapytać ją o wynik testu. A może wcale nie będzie pytać? Te jej dziwne, czarne oczy patrzyły tak przenikliwie. Agata miała wrażenie, że dziewczyna wie o niej wszystko. Że wie więcej niż sama Agata.

– Jasne, Kropeczko. Bardzo się cieszę. – Uśmiechnęła się krzywo. – Musimy chyba zawiadomić twoją babcię?

– Babcia już wie. I nie ma nic przeciwko temu, żeby Zuza zwiedziła Warszawę w naszym towarzystwie. – Marcin był naprawdę zachwycony!

– To świetnie. Świetnie – mruknęła rozkojarzona Agata. Bo w jej głowie właśnie zakiełkował pomysł, jak przejrzeć intencje Zuzy. Bardzo prosty i bardzo niemoralny.

Rozdział 22
Jak kot

– Miłe z niej dziecko – powiedział Marcin, układając się do snu. – Tylko trochę zagubione.

– Nie ma się co dziwić – mruknęła Agata. Wiedziała, że wszystko, co powie, może zostać wykorzystane przeciwko niej. Starała się więc mówić jak najmniej.

– Opowiedziała mi całą tę waszą historię. Nie wiem, dlaczego robiłaś z niej taką tajemnicę.

Agata zesztywniała. Zuza opowiedziała jej mężowi „całą historię”? Jaką „całą”? Co mu powiedziała? Co konkretnie?!

– Wiesz o wszystkim? – zapytała ostrożnie.

– Chyba tak – przytaknął i przysunął się do niej odrobinkę.

Jeżeli wcześniej Agata zesztywniała, to teraz… teraz wręcz skamieniała. Nie poruszała się, przestała nawet oddychać.

Tylko nie to! – krzyczała w myślach. – Tylko mnie nie całuj!

Oczywiście, całował ją od lat. Ponad siedmiu lat. Jeżeli miała HIV, na pewno zakaziła go już dawno. I to nie przez pocałunek! Powtarzała tyle razy, na swoich spotkaniach z licealistami i gimnazjalistami, że wirus HIV nie przenosi się tą drogą. A jednak nie umiała się przełamać. Miała wrażenie, że nawet niewinny pocałunek stanowi teraz dla Marcina śmiertelne zagrożenie. A zresztą on na pewno nie chciałby skończyć na pocałunku… Nie, nie mogła! Naprawdę nie mogła ryzykować jego życiem.

Ale przecież jeżeli naprawdę o wszystkim już wiedział, nie powinien chyba jej całować? Powinien być wściekły, przerażony, powinien jechać z Filipem na badanie, choćby w środku nocy. A nie uśmiechać się do niej i patrzeć z taką czułością.

– Nie wiem, dlaczego ty nie mogłaś mi tego opowiedzieć – szepnął, pochylając się jeszcze bardziej. Jego usta były już centymetr, może półtora, od jej warg. Odsunęła głowę, przewróciła się na bok.

Kątem oka zobaczyła grymas bólu na jego twarzy. Ile razy jeszcze będzie musiała go ranić, zanim skończy się ta historia?!

– Co ona ci powiedziała? – zapytała, siadając na łóżku.

– No… sama wiesz. – Marcin też się podniósł i usiadł koło niej. – Wszystko. O tobie, o Grzegorzu, o tym, jak się poznaliście.

Jak się poznali?! Zuza opowiedziała mężowi Agaty o tym, o czym nigdy nie miał usłyszeć? Na litość boską, chyba nie dorwała się w komputerze Grzegorza do jego starych maili? Agata błagała go, żeby je skasował. I obiecała, że skasuje wszystkie ze swojego komputera. Cóż, tej obietnicy też nie dotrzymała…

– A skąd ona wie, jak my się poznaliśmy? – zapytała, próbując nie okazywać paniki.

– Trochę pamięta. A resztę opowiedział jej ojciec.

Ojciec?! Była gotowa jechać do szpitala w Poznaniu, w Gdańsku, w Paryżu… wszystko jedno gdzie. Wyciągnąć Grzegorza z łóżka i nawrzeszczeć na niego tak, że natychmiast obudzi się z tej całej śpiączki i zacznie ją przepraszać na kolanach. Jakim prawem opowiadał Zuzi o takich sprawach? Ona ma niecałe piętnaście lat!

– Uważam, że to cudowne. – Marcin objął ją ramieniem. – Ta cała historia. Taka romantyczna.

Romantyczna?! Owszem, wtedy, osiem lat temu, Agata też uważała, że przeżywa najromantyczniejsze uniesienia swojego życia. Ale Marcin chyba nie powinien być tym taki zachwycony?

– O czym ty mówisz? – Coś tu było wyraźnie nie tak.

– O tym, że pomogłaś Zuzi po odejściu jej matki. Nie jadła, nie odzywała się całymi tygodniami, patrzyła w ścianę, chciała umrzeć. Przecież to wszystko wiesz.

O umieraniu Grzegorz chyba nie wspominał. O tym, że się nie odzywała tygodniami – też nie. Ale reszta się zgadzała.

– Rzuciłaś wszystko, żeby ratować Zuzię. Zaprosiłaś ich do siebie do domu, żeby się nią zająć. Miałaś przez to problemy w pracy, ale się nie wahałaś. Ona jest pewna, że umarłaby z żalu, gdyby nie spotkała ciebie.

Brzmiało to prawie wzruszająco.

– Nie mówiła nic o tym, że Grzegorz i ja zakochaliśmy się w sobie? – zapytała.

Marcin uśmiechnął się i pokiwał głową.

– Mówiła, że się dla niej poświęciłaś.

– Co takiego?!

– Że zakochali się w tobie obydwoje, ona i jej ojciec. Fascynacja terapeutą – to podobno typowe. Czytałaś mi kiedyś coś na ten temat, prawda? A więc uzależnili się od ciebie, chcieli spędzić z tobą resztę życia. A tobie było tak bardzo szkoda Zuzi, że próbowałaś… próbowałaś poczuć do nich to samo. Ale ci nie wyszło.

Co to była za pokręcona historia? Czy Zuza chciała tą opowieścią ochronić Agatę, czy raczej ją pogrążyć? Nie, to niemożliwe. Czternasto… no, dobra, piętnastolatka nie mogła przecież słyszeć o etyce zawodowej terapeuty! Nie mogła wiedzieć, że romans

z klientem… ojcem klientki… mógłby zakończyć jej karierę, zanim się na dobre zaczęła.

Ale przecież Zuza nigdy nie była jej klientką! Wtedy Agata nie była nawet formalnie terapeutką. Cała ta historia była wyssana z palca. Diabli wiedzą po co.

– Wiesz, to niezupełnie było tak – powiedziała ostrożnie. – Dzieci wszystko widzą inaczej… Są w naturalny dla tego etapu rozwoju sposób egocentryczne.

– Gadasz jak pani doktor. – Roześmiał się.

– Jestem panią doktor – przypomniała mu. – A Zuza… Zuzia… ona miała wtedy sześć i pół roku. Jej wspomnienia są zafałszowane. Nie polegaj na nich.

– A na czym mam polegać? Na tym, co ty mi powiesz? – Głos Marcina nagle stał się zimny i zrezygnowany. – Chętnie… tylko ty nic nie mówisz na ten temat! Zupełnie nic!

– Opowiem ci wszystko, obiecuję. – Nie chciała się teraz kłócić. – Ale nie dzisiaj. Chodźmy już spać.

Cmoknęła go w policzek i zgasiła lampkę.

Marcin westchnął ciężko i odwrócił się do niej plecami.

Kwadrans po drugiej. Idealna pora na realizację planu.

Zeszła boso po schodach. Powoli, bardzo powoli, uważając, żeby nie zaskrzypiały.

Już raz, w styczniu, też szła na dół, wiedząc, że tam śpi Zuza. Tyle że wtedy nie zamierzała czytać jej pamiętnika. Nie wiedziała w ogóle o jego istnieniu.

Tym razem schodziła w jasno określonym celu. Znajdzie ten zeszyt z Myszką Miki. W razie potrzeby przeszuka torbę Kropeczki. Wykopie go spod ziemi. I dowie się, co ta dziewczyna zamierza.

Przyświecała sobie komórką, żeby nie wpaść na klocki Filipa albo buty Zuzy i nie narobić hałasu. Choć przecież, oczywiście, miała prawo chodzić po swoim własnym domu o dowolnej porze.

Czytać cudzych pamiętników jednak prawa nie miała. Kto jak kto, ale ona…

Kiedy to było? W lipcu albo w sierpniu zeszłego roku? Zaproszono ją do telewizji śniadaniowej, żeby powiedziała, jak sobie radzić z pierwszymi miłościami nastoletnich dzieci, z ich wyjazdami pod namiot. Prowadząca – anorektyczna czarnula, singielka z Mokotowa, która w wywiadach zawsze chętnie opowiadała o tym, że mimo skończonych trzydziestu sześciu lat nie dorosła jeszcze, by zostać matką – zapytała o pamiętniki. Jakoś tak głupio zapytała, jakby to było całkowicie naturalne, że rodzic może je podczytywać, żeby dowiedzieć się czegoś o swoim dziecku. W Agatę wstąpił wtedy diabeł.

– To niedopuszczalne! – Podniosła głos, chociaż wiedziała, że nie powinna tego robić na antenie. Była ulubienicą wszystkich stacji radiowych i telewizyjnych właśnie dlatego, że odpowiadała z uśmiechem i lekkością nawet na najtrudniejsze pytania. Nie

ferowała wyroków. Nie sprawiała, że rodzice słuchający jej rad czuli się nieudacznikami. Podkreślała, że są różne sytuacje, różne rodziny, i że nie powinno się nikogo krytykować, nie znając dokładnie jego historii.

Tym razem pogwałciła wszystkie te zasady. Zdawała sobie z tego sprawę od pierwszej chwili… ale nie umiała się powstrzymać.

– Nie możemy dawać sobie samym przyzwolenia na łamanie intymności naszych dzieci – grzmiała. – Tak samo jak na klapsy, popychanie, poniżanie, nazywanie głupkami. A wszystko to w imię wyższych wartości. Wszystko po to, żeby wychować dzieci na porządnych ludzi. To hipokryzja! Czytanie pamiętnika obnaża strach rodzica, jego niepewność, słabość. Nie umie rozmawiać z własnym dzieckiem, nie może zbudować z nim szczerej, głębokiej relacji, decyduje się więc na pogwałcenie zaufania i wejście z butami w obszar, do którego dziecko wcale go nie zaprasza. A jakie piękne ma wytłumaczenie dla swego postępowania! Pragnie poznać swojego syna albo swoją córkę. Dba o bezpieczeństwo dziecka. Chce wiedzieć, co u niego słychać, co jest dla niego ważne, o czym marzy, z kim się spotyka. Czy nie bierze narkotyków, czy nie uprawia seksu…

Wyfiokowana czarnowłosa gwiazda telewizji śniadaniowej patrzyła na nią szeroko otwartymi oczami. Agata wiedziała, że przesadziła. Że dała się ponieść emocjom. Wzięła głęboki oddech i dokończyła, już spokojniejszym tonem, znacznie ciszej i wolniej:

– Janusz Korczak powiedział: „Nie ma dzieci – są ludzie”. Pamiętajmy o tym. Przyjaźnijmy się ze swoimi dziećmi. Pozwólmy, by nam ufały.

– Dziękujemy bardzo. – Dziennikarka wreszcie odzyskała głos. – Warto przemyśleć to, co powiedziała doktor Agata Marks, zanim zajrzy się do sekretnego pamiętnika swojego dziecka. A teraz zapraszam państwa na krótką przerwę reklamową.

Agata zacisnęła dłoń na klamce. Hipokryzja, chyba tak to nazwała wtedy na antenie? A więc tak, była hipokrytką. Zamierzała właśnie zrobić coś, co zdecydowanie, stanowczo, głośno potępiała. I uważała, że jest w pełni usprawiedliwiona.

Przeszukała wszystko. Zajrzała nawet pod poduszkę, na której spała Zuza. Ostrożnie, bardzo ostrożnie, jednak bez skutku. Nigdzie nie było zeszytu z Myszką Miki. Już miała wyjść na palcach z salonu, gdy nagle zobaczyła komórkę dziewczyny. Delikatnie wzięła ją do ręki. Nacisnęła jakiś guzik, niepewna, czy telefon nie zaczynie wyć. Ale nie. Wyświetlacz się rozjaśnił, patrzyła z niego roześmiana twarz jakiegoś chłopaka. Pierwsza miłość Zuzy? Czy raczej aktor albo piosenkarz? Agata nie była najmocniejsza w kulturze młodzieżowej. Powinna to nadrobić ze względu na studentów… i na klientów…

Przesunęła palcem po ekranie. Pokazały się wszystkie otwierane ostatnio okienka.

SMS-y, lista połączeń wychodzących i przychodzących… To też byłoby ciekawe, ale teraz szukała czegoś innego.

Tak! Był tutaj! Bingo! Pamiętnik dziewczyny przeniósł się z zeszytu do Internetu. Okienko z napisem „Sekretny blog Zuzeldy” nie pozostawiało wątpliwości. Szybko przepisała adres bloga na swoją komórkę. Nacisnęła enter. I nic. Nacisnęła jeszcze raz.

Przestrzeń prywatna. Nie możesz prosić autora o dostęp – głosił wyświetlany komunikat.

Musiała więc wrócić do komórki Zuzy i w niej przeczytać treść ostatniej notki.

9 lutego, Warszawa

Wszystko poszło zgodnie z planem. Jestem znowu w domu Agaty. I mogę zostać nawet tydzień! Marcina od razu przeciągnęłam na swoją stronę. On wierzy we wszystko, co mu się powie!

Tylko ten Filip… Wciąż się tu plącze. Nie odstępuje mnie na krok, jak mały piesek. Przy nim nigdy nie uda mi się nic znaleźć. Muszę się go pozbyć, choćby na jeden dzień. Mogłabym szukać w nocy, ale boję się, że ich obudzę. Nie mogę ryzykować. Muszę zostać w tym domu sama na kilka godzin!

Z Marcinem jest łatwiej. On jest taki naiwny. Siedzi przy komputerze i nie zwraca na mnie uwagi. Fajny jest. Nie wiem, dlaczego Agata go zdradziła. On tak ją kocha! A ona znowu zaczęła bzykać się z moim tatą!

Co takiego?! Telefon prawie wypadł Agacie z rąk. Skąd u Zuzy ten pomysł? Szalony, idiotyczny, absurdalny pomysł, że znowu zaczęła się spotykać z Grzegorzem?

Niewiele brakowało, żeby obudziła dziewczynę i zażądała wyjaśnień.

Opanowała się jednak. Jeśli chce się czegoś dowiedzieć, musi przeczytać cały ten internetowy pamiętnik. I być sprytniejsza niż Zuza. Skoro ona chce zostać sama w domu Agaty…

Tak, czemu nie? To da się zrobić. Agata uśmiechnęła się do siebie.

W tym momencie schody zaskrzypiały ostrzegawczo.

Odłożyła w panice komórkę dziewczyny, szybko, byle gdzie, i pobiegła w stronę schodów.

W połowie drogi między piętrem a parterem stał Filip. W ramionach trzymał misia, którego dostał na urodziny od Zuzy.

– Mamo, Zuzia nie wyjechała? Będzie tu jutro rano?

– Nie wyjechała. – Agata wzięła go na ręce i zaniosła na górę. – Nie wyjechała, nie martw się.

A czy będzie tutaj jutro rano? Tego nie mogła mu obiecać. Zuza, tak jak kot,

przychodziła i odchodziła, kiedy chciała.

Rozdział 23
Furia

Agata nie mogła zasnąć. Przez cały czas się zastanawiała, jak zostawić Zuzę samą w domu… i jednocześnie przyłapać ją na tym, co zamierzała zrobić. Do głowy przychodziły jej różne dziwne pomysły. Łącznie z kupieniem na Allegro kamerek i umieszczeniem ich w każdym możliwym kącie domu. W wazonie z kwiatkami, na regale między książkami, w kuchni wśród przypraw…

– Zakupy na Allegro mogą skończyć się AIDS – mruknęła pod nosem. I porzuciła ten pomysł. Nie, nie z powodu AIDS. Przez kamerkę z całą pewnością niczym zakazić się nie można. Zresztą jeśli ma HIV… no to ma i już, prawda? Nic tego nie zmieni. Ale uznała, że jednak istnieją jakieś granice. Przekraczając tę związaną z czytaniem cudzego pamiętnika, czuła się już dostatecznie niekomfortowo. Podglądanie dziewczyny przez kilkanaście kamerek ukrytych w całym domu ostatecznie by ją pogrążyło we własnych oczach.

Jesteś pedagogiem, znasz się na dzieciach. Zwłaszcza tych z rozbitych rodzin. Jesteś terapeutką. Cała Polska korzysta z twoich rad. Weź się w garść – mówiła do siebie w myślach, odwożąc Filipa do szkoły. – Musisz poradzić sobie z tym inaczej, bez okablowywania całego domu!

– Mamo, wiesz, że za cztery miesiące są walentynki? – Synek wyrwał ją nagle z zamyślenia.

– Za cztery dni – poprawiła go odruchowo. Wciąż miał problemy z poczuciem czasu, mylił dni i tygodnie, miesiące i lata, nie znał się na zegarku. Wiedziała, że musi uzbroić się w cierpliwość. Że niektóre dzieci potrzebują więcej czasu, żeby przyswoić jakąś wiedzę. Niektóre nie mogą zapamiętać liter, inne cyfr, jeszcze inne mylą prawą i lewą stronę, nawet w trzeciej klasie. Zaniepokojonym rodzicom powtarzała zawsze: „Dzieci to nie automaty, każde rozwija się we własnym tempie”. Jednak to, że Filip nie radzi sobie z czymś, co większość jego zerówki świetnie już opanowała, tak naprawdę doprowadzało ją do szału. Nigdy nie powiedziałaby tego głośno, ale nie była wcale gotowa na to, żeby jej dziecko miało problemy z nauką albo z zachowaniem. W jej zawodzie, w jej sytuacji Filip po prostu nie miał wyjścia.

Musiał być doskonały. Wiedziała, że ludzie rozpoznają ją na zakupach, w kinie, w teatrze czy w urzędzie. Płaczące, histeryzujące dziecko, które nie odróżnia pojęć „wczoraj” i „jutro” było jak komunikat: „Ta pani jest nieudacznicą. Nie radzi sobie nawet z własnym synem, więc jak może doradzać innym? Nie słuchajcie jej, poszukajcie innego eksperta!”.

Jestem hipokrytką – jęknęła w duchu. – Najpierw w sprawie HIV… Mówię studentom zupełnie coś innego, niż sama myślę. Potem w sprawie czytania cudzych pamiętników… A teraz jeszcze to! Sprawa wychowywania dzieci, dawania im prawa, żeby rozwijały się we własnym tempie. Tu też opowiadam ludziom coś, czego sama nie umiem wprowadzić w życie!

– Mamo, słuchasz mnie? – Zniecierpliwiony Filip podskakiwał w swoim foteliku na tylnym siedzeniu. – Ja muszę zrobić kartkę dla Matyldy!

– Dla Matyldy? – Matko święta, która to była Matylda? Ta piegowata z kucykami? Nie, to chyba tamta czarnulka, trochę podobna do Zuzy sprzed lat.

– No mamo, przecież ci mówiłem, że Mati jest najfajniojejsza od wszystkich dziewczyn!

– Najfajniejsza ze wszystkich dziewczyn. Albo: fajniejsza od wszystkich dziewczyn. Uważaj, jak mówisz! Przecież potrafisz! – warknęła. – Mateuszek, nasz sąsiad, jest od ciebie młodszy o pół roku, a tak ładnie stopniuje przymiotniki. Ty też umiesz, synku! Tylko o to nie dbasz!

Filip odwrócił się do okna i zaczął płakać.

Nigdy jeszcze tak na niego nie warczała.

– Przepraszam, synku – powiedziała, zjeżdżając na pobocze w niezupełnie dozwolonym miejscu. – Przepraszam, ostatnio strasznie się denerwuję.

– Czym się denerwujesz? – Momentalnie otarł łzy i był gotowy do rozmowy. Kochany dzieciak! Jak ona mogła na niego krzyczeć?

– Pracą, kochanie. Bardzo się denerwuję pracą – odparła, patrząc w drugą stronę. Na ogół była to prawda. Jeżeli czymś się denerwowała, to właśnie pracą. Nie miała wielu innych powodów do stresu. Na ogół… do zeszłego tygodnia.

– Mamoooo… – Pokręcił głową, jakby z politowaniem. – Przecież ty masz w pracy ferie. Feriami się denerwujesz?

– Denerwuję się tym, co będzie po feriach – powiedziała, znowu omijając go wzrokiem. – Czeka mnie niebawem… Czeka mnie strasznie dużo pracy. No, już wystarczy tych naszych pogaduszek. Jedziemy, bo spóźnisz się do szkoły!

Ruszyła gwałtownie, nie patrząc w lusterko. Zielony nissan wyminął ją w ostatniej chwili, z piskiem opon. Jego kierowca postukał się w czoło, rozwścieczony. Ze wszystkich stron rozległy się klaksony.

– Boże, zabiję własne dziecko! – jęknęła. Zacisnęła ręce na kierownicy, ale i tak nie mogła opanować drżenia.

Dojechała pod szkołę minutę przed ósmą.

– Jedziesz wolniej niż babcia Wandzia! A ona jeździ najwolniej na świecie! Jak żółw! – Niecierpliwił się Filip.

Nie odpowiedziała ani słowem. Nie mogła. Po policzkach ciekły jej łzy. Makijaż pewnie całkiem się rozmazał. Dobrze, że nie zdążyła zrobić kresek na dolnych powiekach…

– Biegnij do szatni, no już! – zdołała w końcu z siebie wydusić, parkując krzywo w bramie szkoły.

Zawsze odprowadzała Filipa do środka. Czekała, aż odwiesi kurtkę, założy kapcie i da jej buziaka. Tym razem jednak nie mogła wejść do budynku. Nie chciała, żeby ludzie widzieli ją w takim stanie.

– Nie odprowadzisz mnie? – Buzia Filipa wygięła się w podkówkę.

– Jesteś już duży, poradzisz sobie. Przecież widzisz, że nie mam gdzie zaparkować. Nie wolno stać w bramie, a to jedyne wolne miejsce w promieniu kilometra od twojej szkoły. – Znowu kłamstwo! Ile ich jeszcze wypowie, zanim minie tych cholernych pięć dni?

– Tam jest miejsce. I tam, pan wyjeżdża, widzisz? – Filip od razu zauważył, że coś tu nie gra.

– Biegnij już. No już! Dzwonek, słyszysz?

Chłopiec, wyraźnie nieszczęśliwy, pobiegł przed siebie.

– Filip, tornister! Zapomniałeś tornistra!

Nie usłyszał. Albo udawał, że nie słyszy.

Nie miała wyjścia. Otarła oczy wierzchem dłoni i popędziła z tornistrem do szkoły. Samochód zostawiła w bramie, całkowicie blokując wjazd.

Nawet dziecko wie, że nie wolno tak parkować – pomyślała. – Muszę się uspokoić. Muszę się uspokoić.

Tego dnia nie musiała iść na uczelnię. Ostatnie egzaminy poprawkowe dla wyjątkowo opornych studentów zaplanowała dopiero na czwartek. Musiała posiedzieć przy komputerze, napisać artykuł, dopracować plan swoich zajęć na kolejny semestr… Ale wszystko to mogła zrobić w domu. Nie śpieszyła się więc. Wpadła po drodze do cukierni i kupiła swoje ulubione, malutkie rożki czekoladowe. Marcin niedługo wyjdzie do pracy, zostanie sama z Zuzą. Może uda im się wreszcie szczerze porozmawiać? Może po prostu usiądą i odkryją karty? Zawsze zaleca to zagubionym rodzicom. Szczerość. Dziecko też człowiek. Czy też… Jak to było u tego Korczaka? Tyle razy to powtarzała, a teraz zapomniała. Co się dzieje z jej głową? Nie ma dzieci – są ludzie? Tak, chyba tak. Mądrze powiedział. On na pewno nigdy by nie czytał cudzego pamiętnika.

Wjechała do garażu i ze zdziwieniem stwierdziła, że samochodu Marcina już nie ma

na miejscu obok. Przecież miał jechać do pracy dopiero na dziesiątą? Może Kropeczka uświadomiła sobie, że nie ma szczoteczki do zębów albo majtek na zmianę i musiał ją zawieźć do centrum handlowego? Na litość boską, chyba nie zostawił jej samej w domu?

Zostawił. Muzyka płynąca spod drzwi pozbawiła Agatę resztek złudzeń. Szlag! Przecież prosiła, żeby jej nie zostawiał. Nie mogła powiedzieć dlaczego. Zamienili się rolami. Wcześniej to on nie ufał dziewczynie i uważał, że pozabija ich, kiedy tylko odwrócą się plecami. Nie spuszczał jej z oka. Wciąż pamiętał, że wysypała wszystko z kuchennych szafek wtedy, przy pierwszej grudniowej wizycie w ich domu. Dziś najwyraźniej już mu to nie przeszkadzało. Zuza zdobyła wczoraj jego serce i nie miał żadnych problemów z zostawieniem jej samej tu, na Modrzewiowej. Za to Agata… W grudniu, a nawet w styczniu była gotowa bronić jej pazurami. Teraz jednak wszystko się zmieniło. Nie ufała jej za grosz.

Nacisnęła klamkę i wpadła do środka.

W dużym pokoju nikogo nie było.

W kuchni też.

Drzwi do łazienki stały otworem. W środku z całą pewnością nie było Kropeczki.

Agata popędziła na górę, po dwa schodki.

Usłyszała jakiś łomot z garderoby.

Na podłodze leżały wszystkie pudełka z butami Agaty. Dużo pudełek. Te buty to była jej słabość. Kupowała ich znacznie więcej, niż powinna. Przywoziła ze wszystkich wyjazdów służbowych.

Pośród tych pomieszanych, pootwieranych pudełek siedziała Zuza, trzymając na kolanach szkatułkę z kolekcją monet.

– Przepraszam, potrąciłam te pudełka i tak się rozsypały. Zaraz je posprzątam – powiedziała tylko trochę speszona.

– Pudełka? PUDEŁKA??? – Agata kompletnie przestała nad sobą panować. Trzęsła się cała, machała rękami i wrzeszczała, tak jak chyba nigdy w życiu. – Co ty mi tu pierdolisz o pudełkach? Czego ty chcesz? Zniszczyłaś spokój mojej rodziny i jeszcze ci mało? Teraz postanowiłaś mnie okraść? Proszę bardzo, bierz pieniądze. Ile chcesz. Mogę jechać z tobą do banku. Ale zostaw tę szkatułkę. Mój teść zbierał te monety! A teraz zbiera je mój mąż! To jego prawdziwa pasja. Filip też już zaczął je kolekcjonować. Dlaczego chcesz nas zniszczyć? Dlaczego?!

– Ale przecież ja… – Zuza nie mogła dokończyć zdania. Po policzkach ciekły jej łzy.

– Ty? Co ty? Co jeszcze wymyślisz po kolekcji monet mojego męża? Zabierzesz Filipa? Czy może go wyeliminujesz?

Ups. Zapędziła się za daleko. Przyznała się właśnie, że czytała pamiętnik.

Przez moment miała nadzieję, że dziewczyna nie zauważy. Skoro użyła tego słowa

w swoich zapiskach, to może myśli, że używają go wszyscy. Może nie pamięta, co napisała wtedy, w grudniu. Dla dzieci kilka tygodni to cała masa czasu.

Nic z tego. Zauważyła.

– Czytałaś mój pamiętnik? Jak mogłaś?! – Rzuciła szkatułkę na ziemię. Stare, zaśniedziałe monety rozsypały się we wszystkie strony. Jedna potoczyła się pod regał. Agata odruchowo się schyliła, żeby ją podnieść – i w tym momencie Zuza poderwała się z ziemi i zaczęła okładać ją pięściami.

– Jak mogłaś? Jak mogłaś? – powtarzała tylko, a po policzkach ciekły jej łzy.

Agata czekała chwilę, aż jej minie. Osłaniała tylko twarz.

Ale Zuza nie przestawała. Waliła jak maszyna, równo i mocno. Jak oszalała maszyna.

– Jak mogłaś?! – krzyczała.

Agata wiedziała, że nie chodzi już o ten pamiętnik. Chodziło o wszystko. O nadzieję, którą jej dała. Nadzieję na rodzinę, na prawdziwy dom. O to, że nie dotrzymała słowa. I że teraz, przy kolejnych wizytach, wszystko było nie tak, jak chciała Zuza. Jakoś inaczej to sobie wyobrażała. Agata nie wiedziała jak, ale na pewno inaczej. Zawodziła dziewczynę raz za razem. I teraz za to obrywała.

Kolejny cios trafił ją w szyję.

– Wystarczy! – krzyknęła i złapała dziewczynę mocno za nadgarstki. Zuza stała jak wryta. Nie spodziewała się czegoś takiego. Agata zresztą też nie. Przemoc fizyczna… to było coś, czym się brzydziła. Była nawet twarzą kampanii „Nic nie usprawiedliwia bicia”. W jednym ze spotów, pokazywanych w kinach i w telewizji, stała na tle białej ściany i mówiła: „Bicie? Nie, dziękuję, ja rozmawiam z moim dzieckiem”. Wypowiadała się z tysiąc razy w najróżniejszych programach o tym, że zawsze, absolutnie zawsze jest inny sposób niż agresja fizyczna. I co? HI-PO-KRY-ZJA. Biła wszelkie rekordy. Na wszystkich możliwych polach. Powinna dostać nagrodę dla hipokrytki roku!

Zuza stała bez ruchu. Poddała się. Rozluźniła mięśnie. Agata czuła, że gdyby nie trzymała dziewczyny za nadgarstki, jej ręce opadłyby swobodnie w dół. Może nawet sama zwaliłaby się na podłogę jak kłoda?

Stały tak przez chwilę. A potem, nieoczekiwanie, głowa dziewczyny opadła na pierś Agaty. Zaniosła się szlochem. Agata puściła jej ręce i niepewnie objęła ją ramionami.

Zuza wtuliła się w nią i płakała coraz bardziej. Jakby nagle wypłynęły z niej cały smutek, cały strach i cała złość.

Agata przygarnęła ją mocniej do siebie i poczuła, że w niej też puszczają wszystkie tamy. Zaczęła też płakać, bezgłośnie i rozpaczliwie.

– Będzie dobrze, Kropeczko. Wszystko będzie dobrze – mówiła, choć wcale w to nie wierzyła.

Rozdział 24
Naszyjnik z zielonym oczkiem

Kwadrans później siedziały w kuchni, przy herbacie i miniaturowych rożkach czekoladowych. Obie zapuchnięte od płaczu.

– Przepraszam – powiedziały jednocześnie.

Zachichotały speszone. I znowu zapadła cisza.

Jesteś starsza i mądrzejsza. Musisz coś powiedzieć – mówiła do siebie Agata. Ale żadne mądre słowa nie przychodziły jej do głowy.

Zuza szybciej się otrząsnęła.

– Nie chciałam cię okraść – powiedziała.

– Czego więc szukałaś? Dzisiaj i wtedy, w grudniu, w naszej kuchni? – Agata nie miała dużej nadziei, że usłyszy odpowiedź.

Kropeczka jednak zaskoczyła ją i tym razem.

– Naszyjnika – odparła po prostu. – Tego naszyjnika, który dał ci tata. Pamiętasz?

– Jak mogłabym zapomnieć? – odpowiedziała z uśmiechem.

Pamiętała każdą chwilę tego pierwszego wspólnego dnia. Wrócili z długiego spaceru. Gorączka Zuzi minęła jak ręką odjął. Najwyraźniej bardzo przeżywała wyjazd taty do Rzymu i jego spotkanie z nową mamą, której nigdy nie widziała. Przeżywała tak mocno, że musieli wszystko odwołać – właśnie przez tę jej gorączkę. Gdy tylko poznała Agatę, ozdrowiała.

To było wspaniałe popołudnie. Bawili się w chowanego. Szurali liśćmi leżącymi w parkowej alejce. Rozkopywali je. Urządzili zawody, kto kopnie najwyżej. A potem… potem spadł ten deszcz. Schowały się z Kropeczką pod kurtką Agaty i szły tak razem, przytulone i szczęśliwe. A Grzegorz patrzył na nie z boku. Uśmiechał się, nareszcie zrelaksowany i radosny, bez tej poprzecznej zmarszczki na czole.

Zlikwidujemy tę zmarszczkę na dobre i to bez chirurga plastycznego – obiecała sobie wtedy.

Gdy tylko wrócili do domu, deszcz przestał padać. Zjedli coś. Makaron z pieczarkami? A może z tuńczykiem? Tego jednego nie mogła sobie przypomnieć.

Pamiętała jednak, że gotował Grzegorz. I strasznie narzekał na ciasnotę w kuchni.

– Nie możemy tu mieszkać – oświadczył, wlewając wodę do garnka. – Musimy szybko znaleźć inny dom. W tej kuchni po prostu nie da się gotować.

Ugryzła się w język. Jej zdaniem gotować można było w każdych warunkach. Nawet na butli gazowej na polu namiotowym. Pamiętała zupę, którą ugotowała z Pawłem pewnego lipcowego dnia, w wakacje po maturze. Wolała jednak nie opowiadać Grzegorzowi o tej zupie. I o tym, co robili z Pawłem w namiocie, gdy już ją zjedli.

Po obiedzie siedzieli na kanapie. Alfred wygrzewał się na podłodze, w plamie słońca. Zuzia, w sukience w kropki, tańczyła wokół niego jakiś dziwny taniec zwycięstwa. Kot co jakiś czas prychał, urażony tym, że ktoś śmie przerywać mu sen. Przesuwał się trochę i spał dalej. Zuzia zataczała ramionami koła i śmiała się perliście w rytm muzyki, która grała tylko w jej głowie.

– Po gorączce nie ma już śladu. – Agata uśmiechnęła się z ulgą.

– To twoja zasługa, Perełko. – Grzegorz objął ją ramieniem. Poprawiła się na sofie i oparła głowę na jego szerokiej klatce piersiowej.

A więc tak będzie teraz wyglądało jej życie? Z singielki z wielkiego miasta zamieni się w jednej chwili w mężatkę z prawie siedmioletnią córką? Ciekawe, jaką minę zrobi Gocha, kiedy jej w końcu o tym wszystkim opowie!

Objął ją ciaśniej. Jego dłoń zsunęła się z ramienia Agaty niżej i jeszcze niżej… Wślizgnęła się pod sukienkę, pod stanik, zaczęła nieśpiesznie bawić się jej piersią.

– Przestań – syknęła. – Nie przy Zuzi.

Posłuchał. Wyjął rękę. Pogłaskał Agatę po policzku. Odetchnęła z ulgą. Dopiero zaczynała szkolenie psychoterapeutyczne, miała już jednak do czynienia z dziećmi, które widziały rodziców w czasie seksu. Na niektórych nie robiło to wrażenia. Ale spotkała, chłopca, który obudził się przed północą i wszedł do sypialni mamy i taty, zaniepokojony dziwnymi dźwiękami. Miał pięć lat. To, co tak naprawdę było namiętnym seksem, uznał za próbę morderstwa. Był pewny, że tata morduje mamę. Tak go to przeraziło, że przestał mówić, moczył się w nocy i na trzy miesiące wyprowadził się do babci, bo bał się spać we własnym domu. Agata na zawsze zapamiętała wąską buzię chłopca i jego błękitne, smutne oczy. Nie pozwoliłaby, żeby jakieś dziecko z jej powodu miało patrzeć tak pusto gdzieś w dal i budzić się z krzykiem.

Grzegorz bawił się jej włosami. Na to chyba mogła pozwolić? Położył palec na jej ustach. Chciał, żeby była cicho? Kiwnęła głową. Oczywiście, że będzie cicho. Nie chciała spłoszyć tego pięknego, radosnego motyla, którym była Zuzia. Nie do wiary, że jeszcze niedawno była nieszczęśliwą drobinką, której ojciec szukał pomocy u Agaty. Drobinką zostawioną przez matkę.

– Mamo, popatrz! Widzisz, jak wysoko skaczę? – wołała teraz do Agaty.

– Widzę. – Uśmiechnęła się szeroko, strącając dłoń Grzegorza. Za każdym razem, gdy Zuzia mówiła do niej „mamo”, miała dreszcze. Z radości i ze strachu, czy sprawdzi się w tej roli.

Ręka Grzegorza znowu wspięła się na jej ramię, a potem zaczęła się z niego zsuwać pod sukienkę. Tym razem nie błądziła leniwie. Błyskawicznie dotarła do brodawki i zaczęła rytmicznie ją masować.

– Przestań! – syknęła.

Bez rezultatu. Jego palce nie zwolniły ani na sekundę.

– Mamo, zrobię teraz piłuleta!

– Pirueta – poprawiła ją z wysiłkiem Agata i zerwała się z kanapy. – Nauczysz mnie? Też chciałabym robić piruety.

– Piłulety są proste. Stań tam. Albo tam. Tata, też chcesz się nauczyć?

– Nie, dziękuję. – Grzegorz też wstał z miejsca i poszedł dolać sobie wina.

Wtedy właśnie pomyślała, że to wszystko nie jest takie idealne, jak sobie wyobrażała. Że łatwiej było kochać go w mailach niż teraz, kiedy siedział obok, narzekał na jej kuchnię i robił rzeczy, których nie mogła zaakceptować.

Nie, nie zamierzała się wycofać. Wtedy jeszcze nie. Złożyła przysięgę. Jemu i Zuzi. Na palcu miała pierścionek. W konsulacie w Rzymie czekały dokumenty, dzięki którym stanie się jego żoną. Lada chwila… Tej nocy opowiadał jej, że powinien być teraz w Stanach. Zrezygnował ze służbowej podróży do Nowego Jorku, chociaż miał już bilet. Wybrał wyjazd z nią do Włoch i zaręczyny przy fontannie di Trevi. Co prawda w ostatniej chwili di Trevi zamieniła się w mieszkanie Agaty, ale cała reszta się zgadzała. Zaręczyli się, planowali ślub, mieli być już zawsze razem. Agata naprawdę chciała dotrzymać słowa. Ale jednocześnie chciała… cóż, po prostu trochę zmienić zasady. Zamiast tych wszystkich „ach” i „och”, zamiast „jesteś moją drugą połówką jabłka”, „chodźmy się kochać jeszcze raz” i „całe życie czekałem na ciebie” chciała szczerej rozmowy. Także o tym, co ich różni. O tym, że czuje się, jakby jej nie szanował. Nie liczył się z jej uczuciami. Najpierw ta prezerwatywa, te obawy Agaty, które zignorował. On nie lubił prezerwatyw… więc musiało być bez. Potem seks, na który nie miała już ochoty ani siły. Prosiła, żeby przestał, ale on wciąż chciał się kochać, próbował ją całować nawet przez sen. I wreszcie ta sprawa sprzed chwili, z upartymi próbami wtargnięcia pod jej stanik – mimo zdecydowanych protestów Agaty i obecności Zuzi. Za dużo tego było. Musieli koniecznie o tym porozmawiać. Uwielbiała się z nim kochać, uwielbiała jego nienasycone dłonie i usta, ale chciała mieć coś do powiedzenia w sprawie tego kiedy, gdzie i w jaki sposób będą przebiegać te ich najintymniejsze wspólne chwile.

Otworzyła usta, żeby taką rozmowę, spokojną i szczerą, zaproponować. Uważnie dobierała w myślach każde słowo. Nie chciała przecież go urazić, zrobić mu przykrości.

Dobierała te słowa o sekundę za długo. To on odezwał się pierwszy.

– Mam coś dla ciebie. Coś ważniejszego niż pierścionek, niż obrączka ślubna. Chcesz to dostać? A więc zamknij oczy.

Przestraszyła się, że zamierza zrobić coś głupiego. Nie wiedziała, czego się spodziewać.

– Zamknij oczy – powtórzył. – Nie bój się.

Zamknęła.

I zaraz poczuła na szyi dotyk zimnego metalu.

– Możesz otworzyć – szepnął.

W dłoni trzymał lusterko. Zobaczyła swoją skórę, bladą i zmęczoną. I wisiorek z zielonym oczkiem. Z bardzo starego, dawno nieczyszczonego złota. A może z jakiegoś innego, zupełnie nieszlachetnego metalu?

– Dała mi go mama, kiedy zdałem maturę – oświadczył uroczystym tonem. – Powiedziała, że należał do jej mamy. A przedtem do mamy jej mamy. I tak dalej, nie wiadomo ile pokoleń wstecz. Tylko on jeden przetrwał obie wojny światowe. I musi zostać w naszej rodzinie na zawsze. Mama powiedziała mi tamtego dnia: „Daj go swojej ukochanej. Ale dopiero wtedy, gdy będziesz pewny, że to ta na całe życie. Że to ona urodzi moje wnuki”.

– Nie dałeś go Magdzie? – zapytała.

Pokręcił głową.

– Chciałem jej dać. Zaraz po ślubie. Wyjąłem go z pudełka, pokazałem jej… nie zdążyłem nic powiedzieć. Wiesz, jak zareagowała? Prychnęła: „Przecież wiesz, że noszę tylko srebro. I nie lubię zieleni”. Po czymś takim nie mogłem go zawiesić na jej szyi. Po prostu nie mogłem. Pomyślałem, że trochę poczekam. Że będzie inna okazja. Narodziny Zuzi… Ale po nich było jeszcze gorzej. Już wtedy chciała jechać do jakiejś Tanzanii czy Egiptu. Miała mnóstwo planów, w których ja i Zuzik tylko jej przeszkadzaliśmy. Wisiorek leżał więc w szufladzie. Aż do wczoraj.

– Zuza, posłuchaj, ja nie mam tego naszyjnika – powiedziała, patrząc dziewczynie głęboko w oczy. – Pewnie tego nie wiesz… Kłóciliśmy się tak okropnie, że uciekłaś na klatkę schodową.

– Do windy – poprawiła ją dziewczyna. – Jeździłam wtedy windą, w tę i z powrotem. Chyba ze sto razy.

O Boże! Miała wtedy sześć i pół roku! Nie powinna być sama w windzie! – Agacie aż zrobiło się zimno na myśl o tym, co mogło się stać.

Ale, na szczęście, nic się nie stało. Wróciła błyskawicznie do teraźniejszości.

– Zuza, ja go nie mam. Oddałam twojemu tacie. Wtedy, kiedy już wiedzieliśmy, że nam się nie uda. Że to koniec. Nie mogłabym go zatrzymać. Jest od zawsze w waszej rodzinie. Oddałam mu go, mówiąc, że na pewno spotka inną kobietę… wspaniałą,

doskonałą… i że to jej powinien go zawiesić na szyi.

– Wiem. Wiem, że go oddałaś. – Zuza pokiwała głową. – Bawiłam się tym naszyjnikiem przez wiele lat. Zawsze leżał w górnej szufladzie. Przymierzałam go, kiedy tata nie patrzył. Stawałam w nim przed lustrem. Wąchałam go i sprawdzałam, czy tobą pachnie. A potem udawałam, że jestem tobą. Że mam buty na obcasie i czerwone usta. Kiedyś pomalowałam je farbą olejną. Ale była awantura!

Agata uśmiechnęła się do tej wizji. I zaraz spoważniała. „Wąchałam go i sprawdzałam, czy tobą pachnie. A potem udawałam, że jestem tobą". Zawiodła Kropeczkę. Zostawiła ją. A ona nigdy nie zapomniała tych kilku dni i mamy, którą miała mieć.

– Przepraszam, że nie było mnie przy tobie – wyszeptała z zaciśniętymi wargami.

Zuza nie odzywała się przez chwilę.

Potem wzięła głęboki oddech.

Agata wiedziała, że zamierza powiedzieć coś ważnego. Tylko nie miała pojęcia co.

– Kiedy wróciłaś do taty? – zapytała wreszcie dziewczyna.

– Co takiego?!

– Znowu ze sobą byliście, prawda? Teraz, jesienią, przed jego wypadkiem?

– Ależ skąd!

– Byliście. – Już nie pytała, już stwierdzała fakt. – Wiedziałam o tym i byłam wściekła, że mi nie powiedział. Zastanawiałam się, dlaczego nie chce mnie do ciebie zabrać. Może nie chciałaś mnie widzieć? Ale dlaczego?

– Kropeczko, ja naprawdę nigdy…

Nie dała jej dokończyć.

– Teraz już wiem. Chodziło o Marcina. No i o Filipa. Musiałaś ukrywać tatę przed nimi. Był twoim kochankiem, tak? Zwykłym kochankiem? Tylko dlaczego przywiózł ci znowu ten naszyjnik?

– Zuza, posłuchaj…

– Zakaziłaś go wtedy, osiem lat temu? Czy dopiero teraz? – Oczy dziewczyny się rozszerzyły. Podniosła się zza stołu, strącając na podłogę trzy ostatnie czekoladowe rożki. Żadna z nich się nie schyliła, żeby je podnieść.

– Zuza, spokojnie…

– Nie mogę być spokojna! Nie mogę! Wiem, że tata przywiózł ci ten naszyjnik! Bo cię kochał! A teraz leży w szpitalu nieprzytomny! I ma HIV! Obiecywałaś, że zawsze mi pomożesz, pamiętasz? I co zrobiłaś? No co? Zepsułaś wszystko, co miałam! Zepsułaś całe moje szczęśliwe życie!

W tym momencie trzasnęły drzwi i do mieszkania wszedł Marcin z torbą pełną zakupów.

– Pomyślałem, że moglibyśmy po południu coś ugotować we czwórkę – powiedział. I nagle zauważył, co się dzieje. Scena przy kuchennym stole w niczym nie

przypominała przyjaznej pogawędki.

– Ojej, chyba wam przeszkodziłem. – Wycofał się za próg.

– Nie, zostań. Zostań! – zawołała szybko Agata. – Zuza po prostu… Zuza… No… – Nie bardzo wiedziała, jak z tego wybrnąć.

Dziewczyna, jak zwykle była szybsza.

– Zgubiłam naszyjnik, bardzo dla mnie ważny. Z zielonym oczkiem i takimi metalowymi frędzelkami – powiedziała, ocierając oczy. – Nie widziałeś go gdzieś tutaj?

Rozdział 25
Czapka z pomponem

Impas trwał do wieczora. Gdy tylko zostawały same, Agata próbowała tłumaczyć Kropeczce, że nie widziała Grzegorza od ośmiu lat. Kropeczka zaś powtarzała uparcie:

– Gdzie więc jest ten naszyjnik?

– Skąd mam to wiedzieć? – Przy szóstej czy siódmej próbie rozmowy Agata nie wytrzymała i znowu zaczęła płakać, z wściekłości i bezradności. Chyba przez całe życie nie płakała tyle, co przez ostatni tydzień. – Pewnie twój ojciec poznał nową, wspaniałą kobietę, zakochał się i dał jej ten naszyjnik – powiedziała ze złością.

Ale już zamykając usta, wiedziała, że to niemożliwe. Skoro Zuza nie spotkała nigdy tej kobiety… Jeśli Grzegorz nie miał pewności, że się wzajemnie pokochają albo przynajmniej zaakceptują, nie mógł jej dać tego naszyjnika. Chyba że kompletnie się zmienił przez tych osiem lat. Że zmieniło się wszystko, w co wierzył…

Tamtego dnia, gdy zawiesił naszyjnik na jej szyi, zapytała zdumiona:

– Jest dla ciebie ważniejszy niż obrączka?

Pokiwał głową.

– Nie gniewaj się, że nie dałem ci go od razu, w nocy. Chciałem… musiałem… musiałem zobaczyć, czy pokochasz Zuziaczka, a ona ciebie. Musiałem zobaczyć, czy będziemy rodziną. Teraz już wiem, że tak.

Miała łzy w oczach. I całkiem zapomniała o tym, że chciała z nim poważnie porozmawiać o niedoskonałościach tej relacji. Niedoskonała? No i co z tego? A które relacje są doskonałe?

Teraz też miała łzy w oczach. Odwróciła się do kuchenki, udając, że miesza zupę. Zupę, która stała w garnku zimna od co najmniej dwóch godzin i na pewno nie wymagała już mieszania. Musiała jednak spokojnie zebrać myśli z dala od przenikliwych, czarnych oczu Zuzy.

Nie widziała Grzegorza od ośmiu lat. Mógł być już zupełnie innym człowiekiem.

Zuza miała teraz prawie piętnaście lat, a nie sześć i pół. Miała już na pewno swoich przyjaciół, swoje sekrety, ważne sprawy… Swoje własne życie. Może nie było już powodów, żeby ojciec miał aż tak liczyć się ze zdaniem córki na temat swojej nowej miłości. Jeszcze cztery, może pięć lat i Zuza zamieszka ze swoim chłopakiem. I na pewno nie będzie pytała Grzegorza o zgodę na związanie się właśnie z nim. Zakocha się tak, jak odbywa się to na całym świecie od tysięcy lat. Dlaczego więc on miałby czekać na jej zgodę i akceptację?

– Tata nigdy by tego nie zrobił – powiedziała cicho Zuza za jej plecami. – Rozmawialiśmy tydzień przed wypadkiem. O mamie. O tobie. I o tym, że nigdy nie zaprosiłby do naszego życia kogoś, kto by popsuł… kto by popsuł… – Tym razem to ona zaczęła płakać i nie mogła się uspokoić. – Kogoś, kto by popsuł naszą miłość. Taty i moją. Rozumiesz? – wyszlochała.

Agata odwróciła się i objęła ją ciasno ramionami.

Płakały razem, choć każda z nieco innego powodu.

– Nie było go u mnie. Musisz mi uwierzyć – powiedziała Agata, gdy trochę się uspokoiły.

– To gdzie jest naszyjnik?

– Nie wiem, nie wiem, nie wiem! Ile razy mam ci to powtórzyć?! – Wcale nie chciała na nią krzyczeć. Po prostu nie zdołała się opanować.

– Tata powiedział… wtedy, przed wypadkiem… że ten naszyjnik zostanie dla mnie. A ja… ja mu powiedziałam, że wolałabym, żeby zawiózł go tobie. Spojrzał jakoś tak dziwnie, jakby się nad czymś namyślał. I zaraz potem ten naszyjnik zniknął! Wiesz, jak ja się cieszyłam? Modliłam się, tak jak nauczyła mnie babcia… a nie modlę się od dawna… Dziękowałam Panu Bogu, że tata znowu będzie z tobą. Wyjeżdżał dokądś, podobno służbowo. Raz go nie było przez dwa dni. Akurat wyjechałam wtedy na wycieczkę szkolną. Wrócił godzinę po mnie. Zarośnięty, jakiś inny niż zawsze. Myślałam, że był u ciebie. Że to z miłości tak się zmienił.

– Nie zapytałaś go?

– Zapytałam. Był tajemniczy. Obiecał tylko, że gdzieś mnie zabierze w weekend. Że ma niespodziankę. Ale w poniedziałek… w poniedziałek, wpadł w poślizg. Na autostradzie z Warszawy do Poznania. Nie mów mi, że nie wracał wtedy od ciebie! I że nie do ciebie chciał mnie zabrać w weekend! Wiem, że znowu się spotykaliście. Wiem! I dlatego… no, dlatego tu przyjechałam.

Agata chciała jej zadać tyle pytań. Skąd miała adres? Co powiedziała babci, wyjeżdżając? Dlaczego przez tyle czasu ukrywała przed Agatą informację o wypadku? Ale to wszystko mogło poczekać.

Przytuliła Zuzę do siebie i pogłaskała po głowie.

– Nie wiedziałam, że masz męża… i dziecko… – łkała dziewczyna. – Stałam po drugiej stronie ulicy, o tam. – Wskazała palcem ciemny kąt przy domu sąsiadów,

między dwoma brzozami. – I… no, wtedy nie weszłam. Nie zadzwoniłam do furtki. Nie miałam odwagi. Stałam tylko, chyba przez trzy godziny, i obserwowałam przez okno wasze życie. Waszą piękną kuchnię. To wtedy wypatrzyłam wysoko na szafce pudełko z foremkami do pierniczków, którymi się kiedyś bawiłam. Przypomniał mi się tamten prosiaczek…

– Dlaczego nie weszłaś?

– Nie chciałam ci przeszkadzać. Myślałam, że tata zaraz się ocknie i wszystko mi wyjaśni.

– Ale on się nie ocknął. – Agata przytuliła ją jeszcze mocniej. Biedne dziecko! Nie do wiary, przez co ono musiało przejść!

– Nie ocknął – przytaknęła Zuza. – A w dodatku dowiedziałam się o tym HIV… I wtedy… wtedy się na ciebie wściekłam.

– To nie ja go zakaziłam. Naprawdę. Nie było go tu. – Agata czuła się jak zdarta płyta, która zacina się cały czas na tym jednym zdaniu.

– A więc gdzie? Gdzie on był, jeśli nie u ciebie? Co się stało z naszyjnikiem? – Tym razem to Zuza podniosła głos. – Nie wierzę, że dał go innej kobiecie. Nie wierzę!

– Musi być jakieś inne wyjaśnienie – powiedziała Agata bardzo spokojnie i powoli. Miała wrażenie, że do Zuzy wreszcie, stopniowo, zaczyna docierać, że naprawdę nie romansowała z Grzegorzem tuż przed jego wypadkiem.

– Pomożesz mi je znaleźć? To „inne wyjaśnienie”? – Dziewczyna podniosła na nią swoje wielkie czarne oczy. – Pomożesz mi dowiedzieć się, gdzie jest naszyjnik i kto zakaził tatę?

Oparła głowę na piersi Agaty i znowu zaczęła szlochać.

Tak jak wtedy, osiem lat temu, znowu złożyła obietnicę. I – też tak jak wtedy – miała nadzieję, że uda jej się danego słowa dotrzymać.

– Pomogę ci, Kropeczko. Przysięgam, że ci pomogę.

– Jesteś już gotowa? – Do pokoju wszedł Marcin w kurtce i czapce z pomponem.

Ten widok niespodziewanie bardzo wzruszył Agatę. Nie nosił tej czapki od lat. Dała mu ją tak dawno… Tego dnia, gdy się dowiedziała, że będzie mamą. Kupiła na jakiejś wyprzedaży, wracając z pracy, a potem ukryła w tej czapce test ciążowy. Nie przypuszczała, że jej mąż nie ma pojęcia, co oznaczają dwie kreski. I że nigdy w życiu nie widział takiego testu z bliska. Nigdy nie zapomniała jego zdumionej miny i pytania:

– Po co mi taka czapka w maju? Planujesz wakacje na kole podbiegunowym?

Zanim zdążyła odpowiedzieć, obejrzał prezent dokładniej i powiedział:

– Agata, popatrz! Co oni tu wsadzili? Takie głupie zabezpieczenie przed kradzieżą ze sklepu? Ale dlaczego go nie odczepili przy kasie?

A potem spojrzał na nią przerażony i zapytał:

– Agata, czy ty…

Bingo! – pomyślała. – Nareszcie załapał!

– Agata, czy ty… – Nie wyglądał na uszczęśliwionego. – Czy ty ukradłaś dla mnie tę czapkę? Żeby mi pokazać, że jesteś zdolna do wszystkiego z miłości do mnie?

Ależ się wtedy śmiała. Aż się popłakała ze śmiechu. I chyba przez kwadrans nie mogła mu wyjaśnić, o co tak naprawdę jej chodziło.

– Jestem w ciąży – powiedziała, gdy wreszcie zdołała wydobyć z siebie głos.

– W ciąży? I dlatego ukradłaś czapkę? – Patrzył na nią jak na wariatkę.

– Niczego nie ukradłam. Jestem w ciąży!

– A ten… to… no, to zabezpieczenie? – Wciąż nie docierało do niego, co chce mu powiedzieć.

– Zabezpieczenie? Przecież się nie zabezpieczaliśmy? – Ona też miała wrażenie, że oszalał. – Zapomniałeś? Już tydzień przed ślubem uznaliśmy, że… no, że nie ma na co czekać, bo przecież chcemy mieć dziecko. Marcin, ty się nie cieszysz?

– Z czego ja mam się cieszyć? – Puknął się w głowę. – Z tego, że ukradłaś tę czapkę, bo jesteś w ciąży? Przecież widzę, że ukradłaś. Wciąż jest na niej to zabezpieczenie ze sklepu. Musimy iść i za nią zapłacić!

I tak w kółko, chyba przez dziesięć minut. Ona o ciąży, on o czapce i plastikowym dzyndzlu ze sklepu.

– To nie jest dzyndzel ze sklepu! To jest test ciążowy! – krzyknęła wreszcie, chyba trochę za głośno.

W końcu zrozumiał.

Stanął jak wryty, a potem wcisnął na głowę tę czapkę z pomponem i wybiegł z mieszkania tak jak stał, w kapciach i spodniach od dresu. Zatrzasnął za sobą drzwi tak mocno, że aż posypał się tynk z futryny.

No, więc jednak się nie ucieszył. Nie spodziewał się, że tak szybko uda im się powiększyć rodzinę. Przestraszył się, jak sobie poradzą. Jej pensja na uczelni nie należała do najwyższych. On zaczynał pracę w nowej firmie geodezyjnej, był wciąż na okresie próbnym. Pewnie uznał, że to za wcześnie na dziecko.

Usiadła na podłodze i zaczęła płakać. A myślała, że są dla siebie stworzeni. Że go naprawdę zna. Że wybrała fantastycznego faceta, z którym stworzy prawdziwą rodzinę. Że tym razem się nie pomyliła. A tu co? Zostawił ją, trzy miesiące po ślubie, bez jednego słowa?

Wypłakała się na tej podłodze i poszła pakować jego rzeczy. Nie chce to nie, trudno. Będzie samotną matką. Poradzi sobie bez problemu. Tysiące kobiet sobie radzą, nie będzie gorsza! Wychowa swoje dziecko na szczęśliwego człowieka.

Ale przy składaniu w kostkę jego swetra… tego popielatego swetra w norweski wzorek, który miał na sobie, gdy się poznali… Tak, przy tym sweterku cała jej pewność siebie nagle uleciała w powietrze. Usiadła znowu na podłodze, oparta

o drzwi szafy, i zaniosła się płaczem.

Marcin wrócił kwadrans później. Z bukietem czerwonych róż, zza których ledwo było go widać. Widziała tylko róże i ten pompon, sterczący wesoło nad nimi.

A teraz, po prawie siedmiu latach, stał przed nią w tej samej czapce. Wiedziała, że nie założył jej przypadkiem. Że chciał jej przypomnieć, co ich łączy.

– Agata, ubieraj się! – Był wyraźnie zdenerwowany. – Za godzinę zaczyna się koncert!

Boże, koncert! Zupełnie o nim zapomniała!

– Filip… Nie zdążymy odwieźć Filipa do mamy! – Spojrzała na zegarek. – Cholera jasna! Marcin, chyba nie pójdziemy na ten koncert. Nie zdążymy dojechać najpierw do mamy, a potem do teatru…

– Ja z nim zostanę. – Zuza uśmiechnęła się. – Fil mnie lubi. Zrobimy sobie kolację, poczytam mu bajkę na dobranoc.

– Ale… – Agata wciąż widziała tamto słowo z jej pamiętnika. To okropne słowo „wyeliminować”. Po plecach przebiegł jej dreszcz. Skąd mogła mieć pewność, że tym razem Zuza odkryła wszystkie karty? Że szczerze poprosiła ją o pomoc? I że „wyeliminowanie” Filipa oznaczało po prostu znalezienie się sam na sam z Agatą, bez niego w pobliżu, żeby przez chwilę spokojnie porozmawiać?

– To świetny pomysł – Marcin rozpromienił się cały. W tej czapce wyglądał jak dzieciak przebrany za Świętego Mikołaja. Jak chłopak, w którym się zakochała.

– Chyba nie powinniśmy… – Po tym wszystkim, co wywinęła Zuza przez ostatnie tygodnie, zdecydowanie nie powinna jej wierzyć. Nie powinna! W żadnym wypadku.

– Agata, idźcie na ten koncert. Naprawdę. Wszystkim się zajmę. – Dziewczyna spojrzała jej głęboko w oczy.

Chwila milczenia.

Nie powinna, zdecydowanie. A jednak tym razem jej ufała.

– Dziękuję, Kropeczko. Marcin, daj mi pięć minut!

– Cztery minuty. – Puścił oko do Zuzy. – Pójdę powiedzieć Filipowi, że musi zostać z…

– Zostaję z Zuzią! Zostaję z Zuzią! – Zza drzwi rozległ się potężny okrzyk radości. – Hurra, hurra, hurraaaa!

W tym domu najwyraźniej nawet sześciolatki bawiły się w szpiegów i czaiły się w ciemności, podsłuchując rozmowy nieprzeznaczone dla ich uszu.

Wyszli z teatru na zasypany świeżym śniegiem placyk. Białe płatki wciąż spadały z nieba. Wirowały w powietrzu, w świetle latarni. Śnieg skrzypiał pod ich butami. Obok przebiegła jakaś para. Dziewczyna śpiewała chłopakowi z wyraźnym wyrzutem:

– „Z nią będziesz szczęśliwszy, dużo szczęśliwszy będziesz z nią… Ja, cóż,

włóczęga, niespokojny duch…”

Agata poczuła, że coś dławi ją w gardle. Z trudem udało jej się powstrzymać łzy.

– „Ze mną można tylko w dali znikać cicho” – bezgłośnie powtórzyła za Stachurą.

Czy to miało się skończyć właśnie w ten sposób? Miała zniknąć cicho tylko dlatego, że kiedyś zakochała się w Grzegorzu, że uwierzyła jego gorącym mailom? Czy to naprawdę było aż tak niemoralne, że miała zapłacić za to życiem?

– Ty go wciąż kochasz? – Marcin zatrzymał się w połowie parkingu. Zdjął czapkę z tym śmiesznym pomponem. Miął ją w rękach i patrzył żonie prosto w oczy. – Żałujesz, że ze mną jesteś?

Śnieg padał coraz mocniej. Zlepiał Agacie rzęsy. Przetarła oczy wierzchem dłoni. Włosy Marcina były już całe białe.

Kiedyś takie będą naprawdę. Ale ja mogę tego nie dożyć. Obydwoje możemy – pomyślała i poczuła, że nie zdoła już powstrzymać łez ani chwili dłużej.

– Kochasz go. – To już nie było pytanie, lecz stwierdzenie. Pełne rezygnacji. – Nigdy nie przestałaś.

Odwrócił się na pięcie i poszedł przed siebie. W stronę przeciwną do tej, gdzie zaparkowali samochód.

– Marcin! Marcin! – Biegła za nim, jej szpilki ślizgały się na świeżym śniegu. – Kocham cię, słyszysz? Nikogo innego. Nigdy nikogo nie kochałam tak jak ciebie. Musisz mi uwierzyć. Grzegorz to był epizod. Pomyłka. Może najkosztowniejsza w moim życiu. – Zagalopowała się w tych wyznaniach. Nie chciała przecież opowiadać o HIV na środku parkingu pełnego przytulonych par wychodzących z koncertu. Wśród baloników w kształcie serduszek, zdobiących wejście do teatru.

Marcin wreszcie się zatrzymał. Chyba jej uwierzył, choćby częściowo. Chyba bardzo chciał jej uwierzyć.

– Nie wiem, co jeszcze powiedziała ci Zuza. – Chwyciła go za rękę, żeby znowu nie uciekł. – Ale musisz mi zaufać. Od dnia, gdy cię poznałam, nie widziałam Grzegorza. Nie dzwoniłam do niego, nie pisałam. Do chwili, gdy w grudniu Zuza pojawiła się w progu naszego domu, był nieobecny w moim życiu. Jeśli czasami zastanawiałam się nad czymkolwiek z nim związanym, to tylko nad tym, co się dzieje z Zuzią. Jak sobie radzi, czy jest szczęśliwa, jak teraz wygląda. Te myśli często mnie prześladowały. A o nim? Nie, o nim zupełnie nie myślałam. A już na pewno nigdy, przenigdy nie żałowałam, że jestem twoją żoną, a nie jego.

Dopiero w tym momencie uświadomiła sobie, że nie powiedziała całej prawdy. Owszem, ona nie dzwoniła ani nie pisała do Grzegorza, ale on dzwonił do niej. Jeden jedyny raz. Miał być służbowo w Warszawie, proponował kawę i bardzo chciał porozmawiać „o tamtym listopadzie”. Filip miał wtedy ospę, a ona za dwa tygodnie obronę doktoratu, przekładaną już pięć czy sześć razy. Kawa z człowiekiem z przeszłości była ostatnim, na co w tamtej chwili znalazłaby czas. Odmówiła

i szybko odłożyła słuchawkę. Chyba chciał coś powiedzieć, ale nie miała cierpliwości, żeby czekać, aż zbierze się na odwagę. Musiała jakoś powstrzymać Filipa przed rozdrapaniem kolejnego strupka, na samym środku czoła. Jak najszybciej.

Postanowiła już tego nie prostować, nie opowiadać o tym telefonie. Był przecież kompletnie bez znaczenia.

– Kocham cię – powtórzyła więc tylko. I znowu się rozpłakała. – Za kilka dni o wszystkim ci opowiem, obiecuję. Ale to historia z odległych czasów. Niby tylko osiem lat, ale wydaje mi się, że to było tak dawno. Wszystko, co było przed naszym małżeństwem, wydaje mi się dziś dawne i nierzeczywiste…

Jak to było? Dawne grzechy rzucają długie cienie? To chyba napisała Agatha Christie w jednym ze swoich kryminałów?

Miała nadzieję, że ten grzech zostanie zapomniany. Zresztą – jaki grzech? Musiała wreszcie skończyć z tym myśleniem w kategoriach winy i kary! Ona była wtedy wolna, nie miała żadnych zobowiązań. Grzegorz też. Poznali się przypadkiem, uwierzyli, że są dwoma połówkami tego samego jabłka. Że są stworzeni dla siebie. Każdy list był odkrywaniem bliskości, tego, że to drugie myśli dokładnie tak samo. Zaryzykowali. Uznali wspólnie, że listy stanowiły dostatecznie długie i intensywne preludium. Wiedziała, że ciężko jej będzie wyznać to Marcinowi – jeśli będzie musiała opowiedzieć mu szczegóły. Bo jak miała powiedzieć mężowi, że spędziła noc – a właściwie cały weekend – z kimś, kogo widziała po raz pierwszy w życiu… Była pewna, że Marcin, ze swoimi niezłomnymi zasadami, będzie zdruzgotany, słysząc, że jego żona była zdolna do czegoś takiego. Z nim przecież czekała dłużej. Dużo dłużej. Poznawali się powoli, stopniowo… Jako znajomi, przyjaciele, potem dopiero jako para. Pierwszy raz pocałowali się po czterech miesiącach znajomości. Seks przyszedł jeszcze później. Będzie zdziwiony, że w poprzednim związku nie czekała ani chwili. Może nawet zacznie zadawać sam sobie pytania, czy nie pociągał jej tak, jak Grzegorz, czy był dla niej mniej męski, czy nie budził w niej takich emocji… Tak, wiedziała doskonale, że dla jej małżeństwa z takiej rozmowy mogą wyniknąć same kłopoty. Ale, mimo wszystko, naprawdę nie umiała się winić za to, że to zrobiła. Naprawdę kochała wtedy Grzegorza i wierzyła, że spędzą razem resztę życia. Zrobili coś wariackiego, owszem, ale właśnie w imię tej miłości.

Rozdział 26
Pytania badawcze

– Jak cicho – szepnęła do niego, gdy wchodzili do domu.

Przez niemal całą drogę powrotną nie odzywali się do siebie ani słowem. Agata czuła, że pod powiekami znów zbierają się jej łzy, ale zdołała się nie rozpłakać. Chyba głównie z powodu śnieżycy. Prowadzić samochód i płakać w taką pogodę? Równie dobrze mogła od razu skręcić kierownicę mocno w prawo na środku mostu i zamknąć oczy. Nie, stanowczo nie miała teraz ochoty popełniać samobójstwa. Było zbyt wiele do wyjaśnienia. Była obietnica, którą złożyła Kropeczce. No i był Filip… Skupiła się więc na drodze. I zdołała bezpiecznie dotrzeć na Modrzewiową.

Myślała, że zastaną rozbrykanego, skaczącego po kanapie Filipa, i umęczoną Zuzę. Ale powitała ich tylko cisza.

W gardle Agaty tkwiła jakaś ołowiana kula. Nie była w stanie przełknąć śliny. Ręce zaczęły jej drżeć tak, że nie mogła wyciągnąć klucza z zamka. Marcin musiał jej pomóc. Zauważyła, że zaciska wargi. Nie musiał nic mówić. Wiedziała doskonale, że myśli o tym samym, co ona. Jak mogli zaufać tej dziewczynie? Jak mogli zostawić jej swoje dziecko? Czy całkiem odebrało im rozum?

Agata wpadła do salonu, zostawiając na podłodze smugę brudnego, rozpuszczającego się śniegu.

Ani śladu po Filipie i po Zuzie.

Kuchnia? Łazienka? Nie. Wszędzie pusto. Popędziła na górę, po dwa schodki, ślizgając się i potykając w bordowych kozaczkach na niebotycznych obcasach. Nie miała czasu ich zdejmować.

Z pokoju Filipa sączyło się światło. Przystanęła. Poczuła, że się boi tego, co mogło się tam stać.

Marcin był już za jej plecami. W kurtce i zabłoconych butach.

– No, wchodź! Na co czekasz? – popędzał ją zniecierpliwiony.

Weszła więc, wstrzymując oddech.

I zaraz, w progu, popłakała się z gigantycznej ulgi.

Filip leżał pod kołdrą, tulił w ramionach misia i królika i pochrapywał z lekkim

uśmiechem, jak aniołek. Mała lampka, stojąca na zielonej szafce, oświetlała na żółto jego lniane loczki. Wydawały się w tym świetle prawie rude.

Zuza leżała koło łóżka, na dywanie, z bardzo sfatygowanym egzemplarzem *Plastusiowego pamiętnika* w ręku.

– My nie mamy tej książki – szepnęła zadziwiona Agata. Zupełnie jakby to było teraz najważniejsze!

Marcin delikatnie wyjął *Plastusiowy pamiętnik* z zaciśniętej dłoni dziewczyny. Na naderwanej okładce widniały krzywe litery: „WŁASNOŚĆ ZUZI".

– Przywiozła tę książkę, żeby czytać Filipowi? – powiedziała kobieta z niedowierzaniem.

– Może zawsze wozi ją ze sobą? – Wzruszył ramionami Marcin. – Może to jej ulubiona lektura?

Chyba sam nie wierzył w to, co mówi.

– Popatrz. – Agata zauważyła dwa Plastusie siedzące na szafce, koło lampki. Jeden był krzywy, trochę za płaski, z trochę zbyt szpiczastym nosem. Bardziej małpka niż Plastuś. Drugi za to był doskonały. Plastusiowo nieporadny, wesoły, dopracowany w każdym szczególe. Wyglądało na to, że Zuza ma talent plastyczny. I że przywiozła ze sobą nie tylko książkę, ale i pudełko plasteliny.

Było jednak coś ważniejszego, czym musieli się zająć. Dużo ważniejszego niż śmieszne ludziki i stara książka.

– Nie możemy zostawić jej na całą noc na dywanie – powiedziała Agata bezradnie. – Chyba ją obudzę.

– Idź, pościel jej na kanapie – szepnął Marcin.

Posłusznie zeszła na dół, szybko rozłożyła sofę i wyciągnęła pościel.

Właśnie gdy układała poduszkę, na schodach pojawił się Marcin ze śpiącą Zuzą w ramionach.

Tyle razy nosił tak Filipa. Jeszcze rok temu chłopcu zdarzało się zasypiać niemal na stojąco, w dowolnym miejscu i czasie. Niemal codziennie Marcin musiał zanosić go do łóżka. A teraz…

Agata znowu poczuła tę ołowianą kulę w gardle. Tym razem nie zwiastowała jednak panicznego strachu, ale czułość, nad którą nie sposób zapanować.

Marcin ułożył drobne ciało Zuzy na żółtym prześcieradle. Agata przez chwilę biła się z myślami: ściągać z niej te obcisłe dżinsy czy nie? W końcu uznała, że od spania w dżinsach nikt jeszcze nie umarł. Najwyżej rano wrzuci pościel do pralki.

– Śpij słodko, Kropeczko – powiedziała, gasząc światło.

Tej nocy siedziała przy kuchennym stole do drugiej albo trzeciej nad ranem.

– Muszę popracować – powiedziała Marcinowi, gdy stanął przy lodówce, już w piżamie, z wielkimi znakami zapytania w oczach. Najwyraźniej w ich napiętych stosunkach obowiązywało chwilowe zawieszenie broni.

– Przecież masz ferie? – Nie uwierzył jej. I miał rację.

– Muszę przygotować sylabusy zajęć do ośmiu przedmiotów – mruknęła, przewracając oczami. – Sekretarka dziekana dzwoniła tuż przed naszym wyjściem na koncert. Musimy dostarczyć je na jutro.

– Tak nagle? – Wcale nie było łatwo uśpić jego czujność.

– Starają się o jakiś grant z funduszy unijnych. – Spróbowała jeszcze raz przewrócić oczami. Kurczę, jak to trudno tak przewracać na zawołanie! Na wypadek, gdyby nie wyszło za dobrze, westchnęła jeszcze raz, głośniej i bardziej przejmująco niż poprzednio. Przynajmniej miała nadzieję, że tak to brzmiało. – Zapomnieli, czy może nie doczytali w regulaminie… Przecież było po angielsku. A wiesz, jacy z naszego dziekana i prodziekanów są poligloci. – Tym razem musiała symulować coś na kształt kpiącego chichotu. – W każdym razie dopiero dzisiaj się zorientowali, że do wniosku trzeba dołączyć sylabusy na przyszły rok akademicki. Wszystkich wykładowców z aplikującej katedry. No i teraz cała nasza dwunastka siedzi przy komputerach i uprawia radosną twórczość.

– Nie wyjęłaś przecież komputera? – Patrzył na nią z rosnącą nieufnością.

Czuła, że ma już od tych kłamstw nos dłuższy niż Pinokio. Jak jednak miała mu to wszystko wytłumaczyć?

Wiesz, tak naprawdę siedzę sobie tutaj i próbuję się dowiedzieć, kto zakaził HIV mojego byłego kochanka. Zuza podejrzewa, że to ja, bo z jej domu zniknął pamiątkowy wisiorek. Nie rób takiej przerażonej miny, kochanie. Wcale nie wiadomo jeszcze, czy ja też mam HIV czy nie. Niby test wyszedł mi dodatni, ale byłam przed nim na szczepieniach, wiesz, przed tym wyjazdem do Pekinu… Więc to może być tylko fałszywy alarm. Potem pogadamy, kochanie. Muszę się teraz skupić i znaleźć wisiorek. I tę larwę, która zakaziła Grzegorza, żeby Zuza przestała się mnie czepiać.

Hmm, cóż, chyba nie przyjąłby za dobrze wyjaśnień w takiej formie. A na inną, delikatniejszą i obszerniejszą, w tym momencie naprawdę nie było jej stać.

– Marcin, idź spać – powiedziała więc po prostu. – Muszę to sobie rozrysować, przemyśleć, żeby solidnie uzasadnić potrzebę przeprowadzenia tych badań na tak dużą skalę…

– Pomóc ci jakoś? – zapytał.

Przez chwilę kusiło ją, żeby odpowiedzieć „tak”, tylko po to, by zobaczyć jego minę.

Inżynier geodeta, jeden z najlepszych w Warszawie specjalistów od tachimetrii, miałby jej doradzać, jak skonstruować sylabus tak, żeby katedra, w której pracuje, miała szansę na grant unijny? Grant, który pozwoli przeprowadzić badania nad dziećmi z rozbitych rodzin w siedmiu województwach? Chciałaby tego posłuchać!

Szybko jednak przywołała się do porządku. Nie siedziała tu po to, żeby nabijać się z własnego męża. Męża, który i tak przeżywał ostatnio koszmarnie ciężkie dni,

próbując ją zrozumieć, znaleźć w jej zachowaniu jakiś sens.

– Idź spać. Niedługo przyjdę. – Uśmiechnęła się do niego i posłała w powietrze całusa.

Westchnął ciężko, odwrócił się i ruszył w stronę schodów.

Poczekała, aż dojdzie na górę, a potem wyjęła kartkę A4 i zapisała na niej zielonym cienkopisem:

PYTANIA BADAWCZE:
1. Gdzie jest naszyjnik?
2. Kto zakaził Grzegorza?

Po namyśle, mniejszymi literkami, dopisała jeszcze trzecie pytanie:

2a. Czy do zakażenia doszło zanim mnie poznał, czy później?

– Dowiesz się tego w piątek – mruknęła pod nosem. – Bez żadnej dedukcji… Nie ruszysz nawet palcem, a i tak się dowiesz.

Wyjęła komputer. Nareszcie! Marcin byłby zadowolony. Jednak zamiast wpisywać plany zajęć w rubryczki, zaczęła wyszukiwać informacje na temat wirusa HIV. W końcu była gotowa, by otworzyć te wszystkie strony. Zmierzyć się z wiedzą, która – wiele na to wskazywało – mogła dotyczyć także jej życia. Do tej pory wypierała tę myśl, omijała szerokim łukiem półkę z książkami medycznymi i literę H w wyszukiwarce – żeby tylko wśród podpowiedzi podsuwanych przez Google nie pojawiły się hasła „HIV objawy”, „HIV testy”, „HIV – jak można się zakazić”. Tylko raz się przełamała, żeby sprawdzić, czy nie robiono jej testu obowiązkowo, kiedy była w ciąży z Filipem. Z trudem zniosła przeczytanie po łebkach jednego, jedynego artykułu. Nie chciała widzieć liter układających się w skrót HIV. Nie była na to gotowa aż do tej chwili. Teraz wreszcie czuła, że może przez to przejść. Że potrzebuje tej wiedzy.

Pół godziny później miała już całkiem niezły obraz sytuacji. Po pierwsze: nawet jeśli osiem lat temu Grzegorz był już seropozytywny, wcale nie musiał jej zakazić. „Prawdopodobieństwo transmisji wirusa przy pojedynczym stosunku wynosi 0,5%” – przeczytała.

Jeśli dobrze liczyła… tak, pomnożyła te dwie liczby już trzy razy. Zadanie godne ucznia trzeciej albo czwartej klasy. Nie pomyliła się, nie zgubiła żadnego zera, żadnego przecinka. Na pewno nie. A więc prawdopodobieństwo, że doszło do – jak to ładnie nazywali w artykule – transmisji wirusa w czasie tych siedmiu… siedmiu i pół stosunków… wynosiło niecałe cztery procent.

Po raz pierwszy od tamtej rozmowy z Zuzą na uczelni poczuła, że oddycha głębiej,

swobodniej. Cztery procent! To przecież tyle co nic!

Zaraz jednak pojawiła się druga myśl: dostałaś już wynik pierwszego testu. Wynik, który krzyczy: TAK! Masz HIV! I ten drugi test, Western blot, w piątek to potwierdzi.

W niemal dziewięćdziesięciu procentach przypadków Western blot potwierdzał wyniki testów przesiewowych. To już też wiedziała z Internetu.

Ale – i to była trzecia, najbardziej pocieszająca wiadomość, którą znalazła w sieci – HIV wcale nie oznacza wyroku. Już nie. Niby wiedziała, oczywiście, że ludzie żyją z wirusem coraz dłużej. Uprawiają sport, grają w filmach, normalnie funkcjonują całymi latami. Przynajmniej w Ameryce. Wiedziała… ale tak naprawdę nigdy nie interesowała się tym jakoś głębiej. Nie mówiła na pogadankach z młodzieżą o tym, jak wygląda życie z wirusem – tylko o tym, jak się przed wirusem zabezpieczyć. I najwyraźniej przegapiła potężny skok rozwojowy w tym obszarze medycyny. Oczywiście wiedziała, że są leki. Ale zatrzymała się mentalnie gdzieś w fazie testów… gdy wszystkie te leki były obciążone ogromnym ryzykiem, niosły ze sobą masę skutków ubocznych. Potrafiły tylko przedłużyć życie o kilka lat albo złagodzić objawy choroby… Przespała ostatnich pięć czy raczej dziesięć lat! Wstyd się przyznać, ale nie do końca zdawała sobie sprawę, że dzisiejsze leki pozwalają nigdy nie zachorować na AIDS. Że często wystarcza jedna tabletka dziennie, łykana przy śniadaniu jak witamina C, żeby mieć wirusa całkowicie pod kontrolą przez całe życie.

Gdy przeczytała te słowa, czarno na białym, zaczęła się śmiać. Śmiała się tak, że po policzkach płynęły jej łzy. Jak mogła o tym nie wiedzieć? Prowadzić zajęcia dla gimnazjalistów, licealistów, studentów… uczyć ich odpowiedzialności za siebie i za partnera, opowiadać im o profilaktyce… i jednocześnie przegapić informację, że ludzie nie umierają na AIDS dlatego, że nikt jeszcze nie wygrał z HIV? Ludzie umierają na AIDS, bo nie dowiadują się w porę o tym, że mają HIV…

Czuła niewyobrażalną ulgę.

Jasne, nie jest fajnie żyć z HIV. Oczywiście, że nie. Ale jeśli naprawdę musiała, to zdecydowanie wolała żyć z nim dziś niż w 1994 czy nawet 2004 roku. Wyrok śmierci na nią, na Filipa i na Marcina został odroczony. Z perspektywą całkowitego anulowania. Już bardzo niedługo.

Powinnam teraz obudzić Marcina i o wszystkim mu opowiedzieć – pomyślała. – Musi zrobić test jak najszybciej. Jutro z samego rana. Muszą obydwaj – i on, i Filip.

Wstała nawet z krzesła, zrobiła kilka kroków w stronę schodów.

I nagle opuściła ją odwaga.

Minęło już tyle lat. Nawet jeśli są zakażeni… jeśli mają HIV… ona, Marcin, Filip… jakie znaczenie dla diagnozy i doboru leków mogą mieć trzy dni? W piątek… Tak, powie mu w piątek, kiedy wszystko będzie już jasne.

Zawróciła w kierunku kuchni.

W progu stała Zuza. Już nie w dżinsach, lecz w puchatym szlafroku Agaty,

stanowczo na nią za dużym. Otuliła się nim ciasno. Wyglądała na jeszcze młodszą i bardziej kruchą niż zwykle.

– Dziękuję, Kropeczko, że zajęłaś się Filipem. Mam nadzieję, że cię za bardzo nie wymęczył – powiedziała Agata. Zrobiła krok do przodu, żeby ją objąć, ale Zuza nie szukała pocieszenia ani podziękowań.

– Wymyśliłaś coś? – zapytała szeptem, żeby nie obudzić Marcina ani Filipa. – Wiesz już, jak znaleźć naszyjnik? I tamtą kobietę?

– Wiem. – Nos Pinokia wydłużył się jeszcze trochę. – To nie będzie trudne. Na początek… Tak, na początek będzie mi potrzebna tylko komórka twojego taty.

Rozdział 27
Herbatka, jak to w poniedziałek

To był krzyk rozpaczy. Była pewna, że Zuza już dawno na to wpadła. A jeśli nie Zuza, to na pewno jej babcia.

Ale… Zaraz, zaraz, może wcale tego nie zrobiły? Bo po co właściwie matka Grzegorza miałaby śledzić listę ostatnich połączeń wychodzących i przychodzących? Ona chyba nie miała zamiaru prowadzić żadnego śledztwa? Nie szukała przecież naszyjnika ani kobiety, z którą związany był jej syn. Nie prześladowała jej myśl o tym, dlaczego jechał tego dnia do Warszawy. Pewnie często tam jeździł na spotkania służbowe. Chciała po prostu, żeby Grzegorz wybudził się ze śpiączki, reszta prawdopodobnie zupełnie jej nie interesowała.

– Tego telefonu już nie ma – powiedziała dziewczyna. – Rozleciał się na kawałki w czasie wypadku. Udało mi się tylko odzyskać kartę.

– Masz ją? – Agata wstrzymała oddech.

– Mam. – Zuza pokiwała głową, zadowolona z siebie. Uśmiech znikł jednak równie nagle, jak się pojawił. – Tylko co z tego, że ją mam, skoro nie mogę się do niej dostać? Nie znałam nigdy PIN-u taty…

– Jakoś sobie z tym poradzimy. – Myśli Agaty pędziły z prędkością światła. – Znam chyba kogoś, kto nam pomoże. Tak… na pewno. Zadzwonię do niego z samego rana. A teraz chodźmy już spać.

Zuza nie była zachwycona, dała się jednak odprowadzić na kanapę, bezwolnie, bez protestów, jak mała dziewczynka.

Agata odczekała chwilę, po czym poszła na górę. Ale nie położyła się do łóżka. Wyjęła z kieszeni telefon i, siedząc na podłodze w łazience, przeszukiwała swoją listę kontaktów. Musiał być na niej ktoś, kto ma coś wspólnego z firmą telekomunikacyjną! Nie mogła sprawić zawodu Kropeczce. Musiała koniecznie coś wymyślić, żeby poznać PIN do komórki Grzegorza.

Nagle coś przyszło jej do głowy. Billingi! Na nich przecież widać ostatnie połączenia. Jeśli poczta przyniosła, już po wypadku Grzegorza, rachunek razem z wykazem połączeń, będą miały wszystko czarno na białym.

Poderwała się z podłogi… i zaraz znowu na niej usiadła.

Kiedy dostałaś ostatnio rachunek za komórkę pocztą? – powiedziała do siebie. Ostatnio coraz częściej zdarzały jej się te rozmowy ze sobą samą i wcale jej to nie zachwycało. – Wszystko sprawdzasz w Internecie, tak? No, to on też na pewno robił tak samo. A do rachunku internetowego bez jego komórki się nie dostaniemy.

Przypomniała sobie, jak wygląda logowanie na stronie sieci komórkowej. Wpisuje swój numer i hasło, a po chwili dostaje SMS-em pięciocyfrowy kod. Wpisuje go… i już, wchodzi. Bez PIN-u do karty Grzegorza nie zdoła tego zrobić.

Znowu zaczęła przeglądać swoją listę kontaktów. Musi koniecznie znaleźć kogoś, kto jej pomoże. Kogoś, kto pracuje w… No właśnie, gdzie? Nie zapytała nawet Zuzy, w jakiej sieci była ta jego komórka!

– Tato! Tato!!! Ratunku! Mama nie żyje! Chyba umarło jej serce! Albo ktoś ją zamordował! – Obudził ją przeraźliwy krzyk Filipa. Otworzyła oczy i zobaczyła wokół same turkusowe frędzle. O Boże, co to miało być?!

Z przerażeniem uniosła nieco głowę.

Kapcie Marcina wbiegły tuż przed jej oczy i gwałtownie zahamowały.

Kapcie Marcina?!

Zaczęła się śmiać jak wariatka. Usnęła w łazience, z twarzą wtuloną w dywanik leżący koło wanny. W dłoni wciąż ściskała komórkę.

Kapcie przysunęły się nieco do jej twarzy.

Co za noc! Najpierw Zuza usnęła jak kamień przy łóżku Filipa, teraz ona spała w łazience… Chyba wszyscy w tym domu byli już wyczerpani ciągłym napięciem i niedopowiedzeniami.

Kapcie Marcina przysunęły się do jej nosa.

– Kochanie? Wszystko dobrze? – zapytały zatroskane.

Z wysiłkiem dźwignęła się na łokciu.

Marcin, no oczywiście! Przecież bardzo chciał jakoś jej pomóc. I mógł jej pomóc! Natychmiast! To było dziecinnie proste! Dlaczego nie wpadła na to wcześniej?

– Wszystko dobrze, kochanie. – Uśmiechnęła się do niego promiennie. – Powiedz mi, która godzina?

– Szósta dwadzieścia. – Był bliski skręcenia sobie karku, zerkając przez ramię na zegar wiszący w przedpokoju między sypialnią a łazienką.

– Świetnie. – Uśmiechnęła się jeszcze szerzej. – W takim razie będziesz mógł za dziesięć minut zadzwonić w pewne miejsce.

Popędziła na dół i zaczęła szarpać za ramię dziewczynę śpiącą na kanapie.

– Zuza, obudź się! Zuza? Słuchaj, potrzebujemy numeru dowodu twojego taty… Wykop go dla nas choćby spod ziemi! I jego PESEL. I nazwisko panieńskie matki. I… nie wiem, chyba już nic więcej?

Marcin opierał się krócej, niż się spodziewała.

– Chcecie się włamać do komórki taty Zuzy? – powtórzył. – I nie możecie mi na razie powiedzieć po co, ale cel jest bardzo szlachetny, tak?

– Można powiedzieć, że pomagając nam, uratujesz komuś życie – przytaknęła z zapałem Zuza, która do tej pory siedziała cicho i słuchała wyjaśnień i przekonywań Agaty.

Kobieta uśmiechnęła się pod nosem. Lubiła taką Kropeczkę. Pełną pasji, trochę egzaltowaną.

– Tak naprawdę to wiesz… jeśli to zrobisz, pomożesz ratować świat!

No, tym razem trochę jednak przesadziła.

Agata już otworzyła usta, żeby powiedzieć coś, co zdecydowanie lepiej trafi do racjonalnego, chłodnego inżyniera.

Ale Marcin roześmiał się głośno. Tak głośno, że Filip, który przysnął na jego kolanach, gdy tylko się przekonał, że mama jednak żyje, poruszył się nerwowo.

– Ratować świat? – powtórzył, tym razem szeptem. – Niech wam będzie…

Wziął do ręki dowód Grzegorza, który Zuza wyjęła ze swojej przepastnej torby („Cały czas mam go przy sobie, od kiedy tylko oddali go cioci… cioci i babci… w szpitalu. Nigdy nie wiadomo, do czego mi się może przydać, prawda?”).

– Grzegorz Ratyński, urodzony dziewiętnastego października… – powtarzał pod nosem. – Imię ojca: Bogumił. Imię matki: Katarzyna. Miejsce urodzenia…

– Masz tu wszystko napisane. Nie musisz się uczyć na pamięć. – Agacie zaczynało brakować cierpliwości. – No dzwoń!

– A nazwisko panieńskie matki? – Marcin spojrzał pytająco na Zuzę. – To częste pytanie weryfikujące w działach obsługi klienta…

Zuza pokręciła głową.

– Nazwisko, które miała babcia przed ślubem, tak? Nie wiem. Nie mam pojęcia. Przepraszam.

– Zadzwoń do niej. – Agata spojrzała na zegarek. – Zaraz siódma. O której wstaje twoja babcia?

Zuza zrobiła się czerwona, jakby to było bardzo niewłaściwe pytanie.

A potem wzięła swoją komórkę i wyszła do łazienki.

Wróciła po minucie. Może nawet niecałej.

– Nie odbiera. Pewnie poszła do sklepu… albo do kościoła? Ale może nie będą chcieli tego nazwiska?

– Poczekamy chwilę i spróbujesz ją złapać jeszcze raz. – Agata próbowała zachować spokój. – A na razie zróbmy śniadanie. Bo jak tak dalej pójdzie, Marcin spóźni się do pracy, a Filip do szkoły.

Zuza posłusznie smarowała chleb, rozstawiała talerzyki… Wyjęła nawet z szafki

muffiny z bananami i położyła przed każdym po jednym, a piątego zapakowała Filipowi do tornistra. Muffiny! Ciekawe, co jeszcze zdążyła zrobić wczoraj wieczorem pod nieobecność Agaty i Marcina.

– Pyszne – powiedziała Agata, odgryzając kęs jeszcze przed zjedzeniem kanapki.

Zuza zarumieniła się, zadowolona z komplementu, ale nie odezwała się ani słowem. Agata się domyślała, jaki był powód. Najwyraźniej bardzo nie chciała rozmawiać przez telefon ze swoją babcią.

Ale dlaczego?

W połowie śniadania dziewczyna nagle zaczęła przeglądać coś w swoim telefonie. Napisała SMS-a, wreszcie uśmiechnięta, i po chwili dostała odpowiedź.

– Zawada – powiedziała, wzdychając z ulgą. – Babcia nazywała się przed ślubem Zawada.

– Napisała do ciebie? – Agata patrzyła na nią podejrzliwie.

– Nie ona, tylko jej siostra. To znaczy… córka jej siostry. Dużo starsza ode mnie. Ciocia Lena.

Agata miała dużo pytań o babcię, jej siostrę i córkę siostry. A zwłaszcza o to, dlaczego Kropeczka tak bardzo unika swojej babci.

Ale na to będzie czas później. Gdy Marcin wyjdzie do pracy. Na razie trzeba było skorzystać z tego, że jest pod ręką i nie odmawia im pomocy.

– Zawada. Zapamiętałeś? No to dzwoń – powiedziała.

Wziął głęboki oddech. I jeszcze jeden. I zadzwonił.

– Halo? Dział obsługi klienta? Dzień dobry, nazywam się Grzegorz Ratyński. Zgubiłem PIN do mojego telefonu, czy może mi pani jakoś pomóc? Jestem w podróży, a PIN i PUK leżą w szufladzie… Tak, oczywiście. Już mówię. Urodziłem się dziewiętnastego…

Agata patrzyła na niego z podziwem i niepokojem jednocześnie. Nie wiedziała, że umie tak świetnie kłamać!

– I co teraz? – Siedziały we dwie nad starą komórką Agaty, do której włożyły kartę Grzegorza. PIN zadziałał bez problemu. Lista kontaktów i lista ostatnich połączeń były na szczęście zapisane na karcie, a nie w telefonie.

– U mnie wszystko zapisuje się w telefonie – mruknęła Agata. – Gdyby się rozbił, straciłabym całą książkę kontaktów. Muszę chyba zmienić ustawienia.

– Zapisuj i tu, i tu. Tata tak robił. To ja go nauczyłam – podpowiedziała Zuza.

A więc… tak, miały listę kontaktów. Osiemdziesiąt dziewięć osób. I dwadzieścia ostatnich numerów wychodzących i przychodzących. Tylko co mogły z tym zrobić?

– Zadzwonisz? Aguś? – Zuza patrzyła na Agatę błagalnie.

– Do kogo?

– Do kogokolwiek. Może pod ten numer, co? Jakaś Ewelina. Ewelina Sokół. Jest

pierwsza na liście. Tata rozmawiał z nią kilkanaście minut przed wypadkiem.

– Zadzwonię, jasne. – Agata dopiero teraz zaczęła sobie zdawać sprawę, że cały ten pomysł z telefonem nie ma za grosz sensu. – Tylko co jej powiem? Że mój były kochanek ma HIV i chciałam się dowiedzieć, czy go przypadkiem nie zakaziła?

Przez drobną buzię Zuzy przebiegł grymas bólu. Przez chwilę Agata nie rozumiała dlaczego. A potem… potem dotarło do niej, że zraniła dziewczynę słowem „kochanek”.

– Był dla mnie kimś znacznie więcej – powiedziała szybko. – Kochałam go, przecież wiesz. Po prostu zastanawiam się, co mam powiedzieć tej Ewelinie.

Zuza przygryzła wargę.

Pokonały tyle przeszkód. Tylko po co? Przecież nikt się nie przyzna obcej osobie, że ma HIV i nie używa prezerwatyw!

– Powiedz, że jesteś jego żoną – podpowiedziała Zuza.

Agata zaczęła się śmiać.

– Dzień dobry, jestem żoną Grzegorza Ratyńskiego – powiedziała nienaturalnie piskliwym głosem, udając, że trzyma w dłoni telefon. – Przepraszam, że przeszkadzam. Chciałam tylko zapytać, czy pani nie była przypadkiem jego kochanką, mniej więcej we wrześniu albo na początku października? Czy nie wracał właśnie od pani, kiedy miał wypadek? Tak, od pani? Super, właśnie tego chciałam się dowiedzieć. Już nie przeszkadzam, tylko jeszcze jedno pytanko… Czy używaliście może prezerwatyw? Bo wie pani na pewno, że Grzesio jest zakażony HIV?

Czuła się trochę dziwnie, żartując na temat zakażenia wirusem HIV, kochanek i prezerwatyw z dziewczynką, która nie skończyła jeszcze piętnastu lat.

Czasami Zuza wydawała jej się taka bezbronna, krucha, zagubiona. Jak małe dziecko. Czasami – niedostępna, posępna, dużo poważniejsza niż Pola, Justyna czy inne dorosłe kobiety w jej otoczeniu. Ale teraz, w tym momencie, po raz pierwszy czuła się z Zuzą jak z koleżanką. Jakby obie miały po dwadzieścia lat i nabijały się z kolegi ze studiów.

Gdyby tylko sprawa nie była tak śmiertelnie poważna. Gdyby nie HIV, gdyby nie Grzegorz, który leży nieprzytomny w jakimś szpitalu…

Zebrała się w sobie.

– Zadzwonię – powiedziała. – Jakoś sobie poradzę. W razie problemów będę improwizować…

Ewelina jednak nie odbierała. Na jej poczcie głosowej bezosobowy automat mówił metalicznym szeptem: „Zostaw wiadomość po usłyszeniu sygnału”. Nie odważyła się nagrać żadnej informacji.

– To co? Dzwonimy do następnej osoby? – Zuza nie odpuszczała.

Następny numer wśród połączeń wychodzących nie był opisany żadnym imieniem

ani nazwiskiem. To mogło być wszystko. Młoda kochanka, dziewięćdziesięcioletnia ciocia, sklep z częściami metalowymi, w którym zamawiał nowe zawiasy do starych szafek…

Nastawiła się, że i tym razem nikt nie odbierze.

A jednak już po drugim sygnale usłyszała piknięcie i surowy męski głos:

– Serwis AGD, słucham.

Rozłączyła się. Serwis AGD nie miał chyba nic wspólnego ani z naszyjnikiem, ani z zakażeniem wirusem HIV?

Wybrała kolejny numer, zapisany po prostu jako Hanna.

– Nic mi nie mówi to imię. Zupełnie nic. – Zuza wzruszyła ramionami.

Tym razem musiała odczekać cztery dzwonki. Po nich w słuchawce rozległ się zdyszany kobiecy głos:

– Grzesiu, na litość boską! Co się z tobą działo? Umieram z nerwów!

Kobieta kichnęła. Przeprosiła. Kichnęła jeszcze raz. To dało Agacie moment na zebranie myśli.

– Przepraszam, nie jestem Grzegorzem – powiedziała powoli. – Jestem jego siostrą.

– Siostrą? – W głosie po drugiej stronie pojawiła się jakaś dziwna nuta. Zupełnie inna niż chwilę wcześniej, gdy wołała: „Grzesiu, na litość boską!”. – Ale przecież siostra Grzesia ma zupełnie inny głos niż pani? Nie wmówi mi pani, że jest Grażynką. Naprawdę nie.

Grzesio? Grażynka? Bingo! To mogła być kobieta, której szukały! Byle kto nie nazywałby go przecież Grzesiem? I nie znałby głosu jego siostry?

– Jestem siostrą… cioteczną – wydukała Agata. – Zajmuję się teraz jego córką. Grzegorz miał wypadek samochodowy.

– Nie żyje? – Głos zrobił się nagle bardzo cichy i matowy.

– Żyje – pośpieszyła z wyjaśnieniem Agata. – On po prostu… po prostu jest w śpiączce.

Spojrzała niepewnie na Zuzę. Może to była tajemnica? Może dziewczyna nie chciała, żeby o tym mówiła? Kurczę, dlaczego nie uzgodniły tego wcześniej?

Nie, to chyba jednak nie był żaden sekret. Zuza pokiwała głową z wyraźną aprobatą, dając dłonią nerwowe znaki. Chciała, żeby Agata mówiła dalej.

Mówiła więc, mając nadzieję, że nie da się już przyłapać na żadnym głupim błędzie.

Postanowiła trzymać się faktów… tam, gdzie było to możliwe.

– Córka Grzegorza chciałaby wiedzieć, do kogo ojciec jechał tego dnia… tego dnia, kiedy miał wypadek – wyjaśniła. Tak, to była sama prawda! Nie cała, rzecz jasna, ale prawda. – To był trzynasty października. Wiem, że rano do pani dzwonił.

– Trzynasty października… – Kobieta najwyraźniej próbowała odświeżyć sobie pamięć. Może wertowała szybko kalendarz? – Tego dnia miał przyjechać do mnie na herbatkę, jak zwykle w poniedziałek. Nigdy się nie spóźniał. Martwiłam się. Tak się

martwiłam! Dzwoniłam setki razy, ale nie odpowiadał. Nie było kogo zapytać...

„Na herbatkę, jak zwykle w poniedziałek”? To musiała być ona!

– Czy mogłabym do pani przyjechać? – zapytała szybko.

A kobieta równie szybko powiedziała „tak”.

– Proszę zapisać adres. Ulica Kanarków czternaście.

– Kanarków? – Agata nie mogła sobie przypomnieć, gdzie jest taka ulica. Wydawało jej się, że widziała kiedyś Kanarkową, chyba na dalekim Ursynowie. – To jest w Warszawie?

Wyjaśniłoby się, dlaczego miał ten wypadek na autostradzie między Poznaniem a Warszawą…

– W Poznaniu – wyjaśniła kobieta. – Nowa nazwa starej przecznicy, w pobliżu Mazowieckiej. Dzielnica Sołacz. Będzie pani jechała samochodem czy autobusem? Jeśli autobusem, to…

Agata nie słuchała. Nie mogła się skupić. Najwyżej znajdzie te kanarki na mapie. Coś jej się wyraźnie nie zgadzało. Grzegorz trzynastego rano był w domu. Odwiózł Zuzę do szkoły. Nic nie mówił o żadnym wyjeździe. Sześć godzin później miał wypadek na autostradzie, w drodze do albo z Warszawy. Nie pamiętała teraz, w którą stronę jechał. Czy zamierzał wrócić do Poznania przed siedemnastą? Przyjechał do stolicy na pół godziny? Musiał mieć ważny powód… i raczej nie była nim Hanna, czekająca z herbatką w Poznaniu. Jak w każdy poniedziałek.

– Zapisała pani wszystko? Niebieskie ogrodzenie, porośnięte winoroślą. Jedyne niebieskie w okolicy. I niebieskie drzwi. Nie wiem, jakim cudem konserwator zabytków nie zablokował tego pomysłu. – Zachichotała jak małe dziecko, któremu udał się dowcip. – Chyba przez nieuwagę. A więc… cóż, gdyby pani błądziła, proszę dzwonić. Tylko… – Zawahała się przez moment. – Jeśli szuka pani jakiejś konkretnej odpowiedzi, proszę przyjechać bez Zuzi.

Rozdział 28
Kanarków czternaście

Okazało się, że wcale nie jest łatwo wyjechać ot tak, nieoczekiwanie, do Poznania. Choćby na jeden dzień. Nawet w czasie ferii, ograniczających konieczność odwiedzania uczelni do niezbędnego minimum.

Odbierz Filipa. Wypadło mi nagle coś bardzo pilnego. Wracam wieczorem – napisała do Marcina, wrzucając do torby dokumenty, komórkę z kartą Grzegorza i butelkę wody mineralnej.

Nie mogę. Spotkanie. Ważny klient. Mówiłem ci przecież! Może poproś Zuzę? – SMS od męża kazał jej zatrzymać się w pół gestu.

Zuzę? Dobry pomysł. Tyle że Zuza musiała jechać z Agatą. Choćby po to, żeby zobaczyć tę kobietę. Może jej twarz z czymś jej się skojarzy? Może jej dom z niebieskimi drzwiami?

Poza tym bardzo chciała odwiedzić ojca w szpitalu. Nie mogła jej tego zabronić.

– Mamo, odbierzesz Filipa? Marcin potem do ciebie przyjedzie i weźmie go do domu. – Starała się, żeby jej głos brzmiał spokojnie. Mama miała szósty zmysł. Najdrobniejsze zawahanie, przyśpieszony oddech, ściśnięte gardło i od razu by ją rozszyfrowała.

– Nie dam rady, kochanie. Tak mi przykro! Jadę po południu do dentystki. Zapisałam się miesiąc temu. Naprawdę nie chciałabym tego przekładać. Coś bardzo uwiera mnie pod protezką…

– Jasne, mamo. Nie przejmuj się. Poradzę sobie. – Agacie naprawdę trudno było wciąż mówić tak, jakby nie stało się nic ważnego, i uśmiechać się do słuchawki.

Potrzebowała cudu.

– Mamo… – Nie znosiła mówić do teściowej „mamo”. Omijała to słowo, jak mogła. Zwracała się bezosobowo, budowała piętrowe konstrukcje gramatyczne… Tym razem jednak musiała się przełamać. – Mamo, czy mama może by mogła… Ja wiem, że mama jest bardzo zajęta, przepraszam, że w ogóle pozwalam sobie zawracać mamie głowę… Ja wiem, wiem, oczywiście, że powinnam wcześniej, ale to wyjątkowa, bardzo nagła sytuacja. Muszę wyjechać służbowo na jeden dzień. Tak,

całkiem nieoczekiwana sprawa.

Zagryzła usta. Teściowa wyczuła okazję, żeby sobie na niej pouży wać. Trudno, niech używa… Byle tylko ostatecznie zgodziła się odebrać Filipa.

– Co takiego? Tak? Mama się zgadza? Naprawdę? – Nie mogła w to uwierzyć! Już opracowywała w głowie plan alternatywny: zabranie Filipa ze szkoły po drugiej lekcji i wmówienie mu, że jadą na fantastyczną wycieczkę. Pewnie byłby zachwycony. W końcu jechałaby z nimi Zuza, jego nowa idolka, powierniczka i najlepsza przyjaciółka.

– Mamo, dziękuję bardzo. Naprawdę. Nawet nie wie mama, ile to dla mnie znaczy. – Ten entuzjazm i wdzięczność były całkowicie szczere. Nawet słowo „mamo” nie przychodziło jej tym razem z takim trudem. – Słucham?

– Nie udawaj, że nie dosłyszałaś. – Głos teściowej stał się nagle zimny jak stal. – Pytałam, czy umówiłaś się z kochankiem. Taka jesteś rozświergotana, pędzisz dokądś nagle i nie możesz zabrać tam Filipa. Przecież często zabierałaś go do pracy, nawet na zajęcia ze studentami. A teraz co? Zdradzasz mojego syna i dlatego nie możesz wziąć ze sobą dziecka?

Miała ochotę rzucić telefonem o podłogę. Opanowała się jednak. Wbiła sobie palce w udo, policzyła do siedmiu i powiedziała powoli:

– Nie mogę, mamo, naprawdę. Dziękuję, że nam pomożesz. Marcin odbierze Filipa. Do widzenia.

Cała się trzęsła ze złości. Może już lepiej było zabrać Filipa ze sobą? Zuza na pewno czymś by go zajęła… No, ale już trudno, przepadło. Dała się upokorzyć. I zapewniła synowi bardzo słodkie popołudnie. Wiedziała, że matka Marcina nie przepuści żadnej okazji, żeby wepchnąć we wnuka kilogramy czekoladek i cukierków. Pewnie znowu będzie wymiotował, tak jak po ostatniej wizycie.

Małego odbierze twoja mama. Jedź po niego zaraz po spotkaniu. Weź worek, może rzygać – napisała do męża.

I zastygła z ręką na telefonie.

SMS-y! Jak mogła na to nie wpaść! Przecież na karcie z telefonu Grzegorza mogły być nie tylko lista połączeń wychodzących i przychodzących oraz cała książka telefoniczna. Tam mogły być zapisane SMS-y! A w nich rozwiązanie zagadki! Dlaczego do tej pory tego nie sprawdziła?

Z nerwów nie mogła znaleźć starej komórki, którą przed chwilą wrzuciła do torby. Wysypała na podłogę całą jej zawartość.

Zuza przez cały ten czas stała oparta o ścianę i przyglądała się jej bez jednego słowa. Wysłuchała rozmowy z mamą, z teściową, obserwowała pisanie SMS-ów do Marcina. Nawet nie drgnęła jej powieka.

Czasami Agata miała wrażenie, że ma do czynienia z kosmitką. I wcale nie pomagał jej fakt, że prowadziła seminarium na temat barier komunikacyjnych między

dorosłymi a młodzieżą w wieku gimnazjalnym i licealnym. Jedno z najwyżej ocenianych przez studentów w ankietach ewaluacyjnych podsumowujących semestr, już od trzech czy czterech lat.

– Tata nie pisał SMS-ów. – Kosmitka momentalnie się zorientowała, co przyszło Agacie do głowy. – Nienawidził ich. To znaczy… – Nagle zrozumiała, co powiedziała. – Nienawidzi. Nie znosi SMS-ów. Nie znajdziesz ani jednego.

Agata przypomniała sobie natychmiast treść co najmniej dziesięciu cudownych, namiętnych wiadomości, które wysyłał jej Grzegorz, mimo że wcale nie musiał. Takich jak ta:

Perełko, siedzę w biurze. Wokół pełno ludzi, ale ja widzę pustkę, bo nie ma tu Ciebie. Kocham i cały jestem tęsknotą! Twój G.

Albo ta:

Już tylko 48 godzin do chwili, gdy założę Ci pierścionek zaręczynowy. I wykrzyczę rzymianom i całemu zdumionemu światu, jak bardzo Cię kocham.

Albo taka wiadomość, napisana krótką chwilę później:

Rzym wiele już widział. Ale takiej miłości jak nasza – jeszcze nie!

Nie wyglądało na to, że nie znosi SMS-ów. Przeciwnie. Pisał je chętnie, często, pięknie.

Ale to było osiem lat temu. Przez ten czas mogło się wydarzyć niemal wszystko.

Znalazła ikonkę z kopertą i kliknęła w nią dwa razy. Była tam jedna wiadomość. Serce zabiło jej szybciej.

Nie, nic z tego.

Angielski odwołany. Wracam do domu. Cmok cmok.

Nadawca: Zuzik

No tak, ten SMS nie posunie raczej ich śledztwa do przodu.

– Ja czasami do niego pisałam. On zawsze dzwoniłł…łłł. – O sekundę za późno zdała sobie sprawę, że znowu używa czasu przeszłego.

– Odwiedzisz go dziś w szpitalu, dowiesz się, jak się czuje. – Agata nie chciała udawać, że tego nie usłyszała. Ale jednocześnie nie chciała jej pocieszać, mówić, żeby się nie przejmowała, że to głupie przejęzyczenie. Wiedziała, że w ten sposób zrobiłaby z igły widły i sprawiła, iż dziewczyna czułaby się jeszcze gorzej.

Zuza pokiwała głową i z opuszczonymi rękami wyszła z pokoju.

Agata odczekała trzy minuty i ruszyła jej szukać. Jeśli naprawdę mają dojechać do tego Poznania i wrócić przed nocą, powinny się chyba pośpieszyć.

Zuzy nie było w łazience ani w kuchni.

Agata weszła na piętro. Do wszystkich pokoi, do drugiej łazienki. Pusto.

Serce biło jej szybciej. Czyżby znowu zniknęła, jak tyle razy przedtem?

– Zuza? Zuza, gdzie jesteś? – Miotała się po całym domu.

Znalazła ją w garażu. Siedziała na betonowej podłodze oparta o samochód i zanosiła

się płaczem.

Agata próbowała ją objąć, pogłaskać, ale odepchnęła jej rękę.

– Jedźmy już – chlipnęła.

Pojechały więc. Samochodem pod dworzec, a potem pociągiem do Poznania. Agatę kusiło co prawda, żeby jechać tam autem, ale po dwóch poślizgach i jednej zaspie, w którą wpadła w drodze do centrum, uznała, że to nie jest najlepszy pomysł.

Bilety kupiły w ostatniej chwili, trzy minuty przed odjazdem. Trafiły do wagonu bez przedziałów, zatłoczonego tak, że przez chwilę się wydawało, iż w ogóle nie zdołają wejść do środka. Weszły – ale okazało się, że jedna ma miejsce przy samych drzwiach, a druga osiem czy dziewięć rzędów dalej. Ludzie wokół kłócili się o to, kto ma który numer fotela, kto siedzi przy oknie, a kto przy przejściu. Z każdej strony ktoś próbował się z kimś zamieniać. Bez słów porozumiały się wzrokiem i posłusznie usiadły, każda na swoim miejscu.

Agata widziała z oddali rękę Zuzy, stukającą szybko w ekran smartfona. Wiele by dała za to, żeby wiedzieć, co teraz pisze. Czy jest z nią już całkowicie szczera? Czy odkryła wszystkie karty? Cały czas miała wrażenie, że gdzieś pod tym wszystkim, co już wiedziała, była jeszcze jakaś tajemnica. Że Zuza miała jeszcze coś w zanadrzu.

Nie miała głowy do poszukiwań z mapą w ręku i przesiadania się z jednego autobusu do drugiego. Nie miała też czasu. Musiała wrócić do domu, położyć Filipa spać. Nie mówiła mu przecież, że nie wróci na noc. Wiedziała, że będzie czekał.

Uznała więc, że może sobie pozwolić na taksówkę.

– Kanarków czternaście – rzuciła, gdy usiadły z Zuzą na tylnym siedzeniu mercedesa w kolorze majonezu. Nie widziała takiego od wieków! Od czasów, gdy wszystkie mercedesy sprowadzane do Polski miały ten blady żółtawy kolor. Była wtedy mniej więcej w wieku Zuzy.

Taksówkarz zaczął się śmiać.

– Chcą panie kupić czternaście kanarków? Jedziemy do sklepu zoologicznego?

Nie była w nastroju do żartów. I w dodatku zapomniała, jak się nazywa dzielnica, w której stoi dom tej Hanny, pijającej z Grzegorzem herbatkę w każdy poniedziałek!

– Ulica Kanarków. To nowa ulica – mruknęła.

– Nie znam jej – burknął kierowca. I nie zrobił żadnego gestu, żeby sprawdzić, gdzie ona jest. Nie miał GPS-u? Mapy? Telefonu?

Agata czuła, że traci cierpliwość. Otworzyła usta, gotowa się awanturować. Nerwy miała w strzępach, wiedziała, że zmieszanie taksówkarza z błotem przyjdzie jej z łatwością.

Zuza była jednak szybsza.

– Niech pan jedzie przez Jeżyce, na Sołacz. To nowa nazwa takiej małej przecznicy odchodzącej od Mazowieckiej.

Kierowca pokiwał głową i posłusznie ruszył, nie mówiąc już ani słowa.

– Proszę wysadzić nas na rogu – poprosiła Agata.

Hanna przecież mówiła wyraźnie, że ma przyjść bez Zuzy.

A ona bardzo chciała, żeby Zuza zobaczyła tę kobietę w domu za niebieskim płotem.

– Postaram się przetrzymać ją jak najdłużej w otwartych drzwiach albo wyciągnąć na dwór – szeptała, choć wciąż nie widziała nawet z daleka żadnego niebieskiego płotu, a więc Hanna na pewno nie mogła jej usłyszeć. – Jeśli ją rozpoznasz, wyślij mi od razu SMS-a. Jasne?

Zuza pokiwała głową.

– Tam jest. Po twojej prawej. – Nagle zobaczyła to ogrodzenie. Niebieskie, porośnięte bluszczem. – Zostanę tutaj. Nie powinna mnie zauważyć, jeśli stanę tu, koło drzewa. A ty idź do niej. No, idź już. Lepiej, żeby nie widziała nas razem.

Rozdział 29
J.W.

Nacisnęła dzwonek przy furtce. Natychmiast zabrzęczała. Hanna musiała widzieć przez okno, że nadchodzi, i czekać z palcem na domofonie.

Pchnęła furtkę i weszła do ogrodu. Zasypany świeżym śniegiem, nietknięty ludzką stopą, wyglądał jak z bajki.

Jakbym nagle znalazła się w Narnii – pomyślała.

Drzwi do domu się uchyliły.

Wciąż nie widziała twarzy Hanny.

Zuza więc też nie mogła jej zobaczyć.

Chwyciła za klamkę i otworzyła drzwi na oścież.

Koło nogi czmychnął jej kot. Albo pies? Nie, pies nie przebiegłby tak szybko…

Na progu stała drobna kobieta w dżinsach i kwiecistej koszuli. W pierwszej chwili Agata wzięła ją za swoją rówieśnicę, chyba dzięki tym dżinsom i modnie obciętej, kasztanowej fryzurze. Ale gdy ta zrobiła krok do przodu, w plamę światła, Agata zauważyła drobną siateczkę zmarszczek pokrywającą całą twarz. I dłonie, które bezlitośnie zdradzały wiek. Musiała być starsza od Agaty o piętnaście, może dwadzieścia lat. Może nawet więcej? Kto to był? Pewnie matka tej Hanny, z którą miała się zaraz spotkać?

– Dzień dobry. Szukam Hanny. To znaczy, przepraszam, pani Hanny, oczywiście – powiedziała, przytrzymując drzwi tak, żeby Zuza mogła zajrzeć do środka ze swojej kryjówki za drzewem.

– To ja – odparła cicho starsza pani.

Komórka w kieszeni Agaty lekko zawibrowała.

– Przepraszam bardzo, sprawdzę tylko… Nie wiem, czy mąż zdąży odebrać synka ze szkoły… – paplała trzy po trzy, próbując odczytać SMS-a tak, żeby kobieta nie zobaczyła ani słowa.

Pudło. To jego nauczycielka chyba jeszcze z podstawówki. Spotkaliśmy ją kiedyś na ulicy.

Pudło, no jasne. Wiedziała to i bez tego SMS-a.

Przyjeżdżał do niej na herbatę przez wzgląd na stare czasy. Bardzo stare… Pewnie mogłaby opowiedzieć Agacie, jakim był uczniem. Jakie psikusy płatał. Ale po co miała tego słuchać? Czy to zbliży ją choć trochę do wyjaśnienia tajemnicy? Nie było sensu tracić tu czasu. Nie złapał przecież tego HIV w piątej klasie.

– Przepraszam. Mąż jednak nie zdąży. Muszę lecieć po małego. Zadzwonię do pani, umówimy się innego dnia. Przepraszam za kłopot.

– Ale… – No tak, jasne. Samotna nauczycielka na emeryturze na pewno chciałaby z kimś porozmawiać. Pewnie całymi dniami siedzi w tym pięknym, starym domu całkiem sama.

Ale Agata naprawdę nie miała teraz czasu.

Przebiegła przez zasypany śniegiem ogród. Poznaczony kocimi śladami już nie przypominał jej bajecznej Narnii. Była zła, że straciła tyle czasu. Dlaczego nie zadała przez telefon jeszcze jakiegoś pytania? Przecież mogłaby oszczędzić sobie tej wycieczki!

Kot siedział przy furtce i patrzył na nią z niemym wyrzutem.

– Idź, rozwesel swoją panią – mruknęła do niego.

Komórka znowu zawibrowała w jej kieszeni.

Co tam, Zuza? Przypomniałaś sobie, że Grzegorz gustował w staruszkach? – pomyślała zirytowana, odruchowo używając czasu przeszłego, tak jak Zuza kilka godzin wcześniej.

Wyjęła telefon.

Agata, co się dzieje? Potrzebujesz pomocy? Daj znać, jakoś się wykręcę z tego spotkania i przyjadę.

Marcin, oczywiście. Nieoceniony Marcin. Zamiast się awanturować, on proponuje pomoc. Było jej głupio, że jest taki dobry. Że cierpliwie czeka na piątkową rozmowę, którą mu obiecała.

Dzięki, wszystko pod kontrolą. Kocham Cię.

Miała nadzieję, że uspokoi go choć trochę.

– I co teraz? – zapytała Zuza, gdy doszły do ulicy Mazowieckiej. Nie udawały już, że się nie znają. To, co pomyśli emerytowana nauczycielka, nie mogło mieć już żadnego znaczenia.

– Pojedziemy do szpitala. Odwiedzisz tatę, może lekarz powie ci coś ciekawego… A potem chyba wracamy do domu?

Zuza patrzyła na nią wyraźnie zaskoczona.

– Do ciebie do domu?

– No jasne, że do mnie. – Ugryzła się w język, żeby nie powiedzieć: „To przecież także twój dom, pamiętaj o tym”. Nie chciała brzmieć sentymentalnie. Powiedziała więc tylko: – Chciałaś chyba spędzić u nas część ferii, prawda? Umówiłaś się

z babcią, że tak zrobisz…

– Jasne, dzięki. – Zuza odwróciła wzrok.

Robiła to niemal zawsze, gdy była mowa o babci.

Agata zanotowała w pamięci, że musi zapytać Marcina, jak przebiegała jego rozmowa telefoniczna z babcią dziewczyny. Czy naprawdę zgodziła się bez wahania, żeby Zuza została u nich na kilka wolnych dni?

– Poczekam na ciebie tutaj. – Agata usiadła w najdalszym kącie szpitalnej kawiarni. – Przejrzę jeszcze raz tę listę połączeń, może na coś wpadnę… Spróbuję dodzwonić się do kilku osób. Mam nadzieję, że nie trafimy na jakiś ślad w Gdańsku albo w Katowicach.

– Albo w Buenos Aires. – Zuza roześmiała się sztucznie. Była wyraźnie spięta.

Agata patrzyła przez dłuższą chwilę na drzwi windy, w której dziewczyna zniknęła razem z jakąś parą staruszków.

No już, do roboty – przywołała się do porządku. Kupiła kawę, zadziwiająco dobrą jak na kafejkę w takim miejscu, i wyjęła stary telefon. Rozmowy z nieznajomymi wciąż ją stresowały, tak samo jak przed laty. Zdecydowanie nie lubiła telefonów. Spotykała w gabinecie ludzi, którzy mieli taki sam problem. Umiała pomóc im szybko i skutecznie. Sama jednak wciąż miała kulę w gardle, wybierając numer obcej osoby. Na szczęście potrafiła już nad tym zapanować.

Na liście było dwadzieścia ostatnich połączeń. Odrzuciła te, które wyglądały na kontakty oficjalne. ZUS, Beata – księgowość, bank – infolinia, szkoła Zuzi, mama Julki, fryzjer przy Rynku, dentysta Jurek, dyr. Słomczyński, Kowalczyk – marketing, poczta głosowa, warsztat pan Paweł… Zostało siedem oprócz Eweliny, serwisu AGD, no i Hanny.

Na początek wybrała jeszcze raz numer Eweliny. I nic. Znowu ten bezosobowy automat. „Zostaw wiadomość po usłyszeniu sygnału…”.

Jeżeli nie odbierze do wieczora, nagram się – postanowiła. Na razie miała do obdzwonienia siedem innych osób.

Marczak, Dorota, J.W. – i cztery numery, które najwyraźniej nie były zapisane w książce kontaktów. Same cyfry.

Żadnego systemu – pokręciła głową niezadowolona. Marcin wszystkich wpisywał w ten sam sposób: najpierw nazwisko, potem imię. Ona najczęściej zapisywała same imiona. Przy osobach, z którymi była na pan czy pani, dodawała z przodu literkę „p”. Przy najpopularniejszych imionach, żeby nie mieć trzy razy „p. Kasia” albo „Ania”, dodawała pierwszą literę nazwiska. I już.

A Grzegorz miał wszystko. U jednych osób tylko imię, u innych samo nazwisko, czasami z funkcją („dyr.”! Ciekawe czego?). Ale inicjały pojawiły się tylko raz. J.W. Postanowiła zacząć właśnie od nich. Rozmowa tuż przed północą nie dotyczyła chyba żadnej faktury ani naprawy samochodu?

– Grzesiek? Bogu dzięki! – Radość w męskim głosie po drugiej stronie była niezaprzeczalna. – Stary, ty nie wiesz, co ja przeżywam, od kiedy się dowiedziałem.

Nie spodziewała się, że odbierze mężczyzna. Chociaż właściwie… Dlaczego J.W. miałoby oznaczać Joannę albo Jadwigę, a nie Jerzego, Jeremiego czy Jacka?

Poczuła, że ma sucho w gardle. Odchrząknęła.

– Grzesiek? – Mężczyzna po drugiej stronie już nie był taki radosny. Jej chrząknięcie pewnie nie przypominało chrząkania Grzegorza. – Grzesiek, jesteś tam?

– Przepraszam, nie jestem Grzegorzem. On jest… on jest w szpitalu. Zapewne pan już wie.

Chwila ciszy. Myślała nawet, że się rozłączył. Ale nie.

– Kim pani jest? – zapytał w końcu, zupełnie innym tonem. – Skąd pani ma ten telefon?

Postanowiła trzymać się tak blisko prawdy, jak to możliwe.

– Jestem przyjaciółką Grzegorza i Zuzy. Ona poprosiła mnie o pomoc. Stara się odtworzyć ostatnie chwile ojca… to znaczy… – Zdała sobie sprawę, jak to zabrzmiało. – Ostatnie chwile sprzed wypadku. To dla niej ważne.

– I myśli pani, że mogę w tym pomóc? Dlaczego akurat ja?

Nie musiała kłamać. Przynajmniej na razie.

– Dzwonił do pana dzień przed wypadkiem, późnym wieczorem. Pomyślałam, że może to mieć jakiś związek…

– Raczej nie ma. – Najwyraźniej nie zamierzał jej pomóc.

– Dzwonił do pana po dwudziestej trzeciej. O takiej godzinie dzwoni się tylko do przyjaciół.

Znowu chwila ciszy.

– Albo do osób, które są w innej strefie czasowej.

Zaklęła w myślach. Na to nie wpadła!

– A więc… – Chciała zapytać, czy był wtedy za granicą. Nie dał jej jednak dokończyć.

– Albo do osób, które pracują w systemie zmianowym. Albo wychowujących małe dziecko, które ma kolki i trzeba je nosić całe noce na rękach. Albo do pisarzy, którzy siadają do komputera dopiero wtedy, gdy cała rodzina pójdzie spać. Albo…

Droczył się z nią. I to trzeba przyznać, dość inteligentnie.

Postanowiła odkryć swoje karty. Nie do końca, ale…

– Będę z panem szczera. – Wiedziała, że to zdanie otwiera wiele drzwi. Często się o tym przekonywała.

– Do tej pory pani nie była? – Najwyraźniej lubił taką słowną szermierkę.

Ona też na ogół ją lubiła. I była w niej niezła. Ale tym razem nie miała ochoty na żadne przepychanki i gry słów. Zignorowała więc to pytanie z gatunku zaczepno-obronnych.

– Zuza, córka Grzegorza, chce odzyskać pewien przedmiot, który jej ojciec miał przy sobie tuż przed wypadkiem – powiedziała najogólniej, jak potrafiła. – Szukamy kobiety, do której jechał. Bo wszystko wskazuje na to, że to była kobieta.

J.W. zaczął się śmiać.

– Jest w nim pani zakochana, tak? Proszę nie zaprzeczać! To przecież słychać! Pani go kochała, a on pani nie chciał! I co, chce pani teraz znaleźć kobietę, z którą pani przegrała walkę o jego serce?

Musiała mocno ugryźć się w język i policzyć do dziesięciu, a potem od dziesięciu do zera, żeby nie krzyknąć: „Ten człowiek jest seropozytywny! Rozumie pan? Chcę uratować życie kobietom, które mogły z nim spać!”. Nie mogła jednak tego zrobić. Dopóki Grzegorz żyje… Dopóki jest nadzieja. Jak wyglądałoby jego życie po wyjściu ze szpitala w świecie, gdzie wszyscy wiedzieliby o tym, że ma HIV? A co, jeśli ten J.W. jest jego szefem? Albo sąsiadem? Ostatniej nocy, wyszukując w Internecie wszystko, co tylko mogła znaleźć o wirusie HIV, czytała także o takich rzeczach. O ludziach, którzy ze strachu podpalali mieszkania osobom zakażonym. Składali na nich fałszywe donosy na policji. Wysyłali anonimy. Nie chciała narażać na to Grzegorza.

– Nie szukam tej kobiety ze względów osobistych – powiedziała tak chłodno, jak umiała. – To ważne, nie tylko dla Zuzy. Jeśli jest pan kimś bliskim dla Grzegorza… jeśli mu pan dobrze życzy… Proszę uwierzyć, że nie mogę podać szczegółów z szacunku dla jego prywatności. I proszę nie naciskać na mnie, bo nie zmienię zdania.

Chyba zrozumiał, że mówi poważnie. Milczał przez chwilę, a gdy znowu się odezwał, jego głos brzmiał zupełnie inaczej. Zniknęła gdzieś kpina, pojawiło się napięcie.

– Niewiele wiem. Też mi się wydawało, że się z kimś spotyka. Dawno nie był taki pełen entuzjazmu. O niczym jednak mi nie opowiadał. A ja nie ciągnąłem go za język. Wiedziałem, że tego nie znosi. Powiedział mi kiedyś, parę lat temu: „Poprzednio za dużo gadałem, a potem trudno mi było wyjść z tego wszystkiego z twarzą, musiałem się tłumaczyć wielu osobom. Jeśli poznam jeszcze jakąś kobietę, wszystko będzie inaczej. Zuzia nie dowie się o niczym, dopóki nie będę miał stuprocentowej pewności”.

– „Poprzednio za dużo gadałem”? – powtórzyła pod nosem.

– Wie pani, zakochał się, wiele lat temu. – Głos J.W. znowu się zmienił. – Nie chcę podawać szczegółów z uwagi na… Jak to pani nazwała? Szacunek dla jego prywatności? No więc bez szczegółów. Zakochał się jak dzieciak. Śpiewał na ulicy i opowiadał o niej całemu światu. Chciał się żenić, natychmiast. Stracił głowę. Nigdy przedtem ani potem tak się nie zachowywał. Obiecał też Zuzi, że będzie miała nową mamę. Uwierzyła w to, była taka szczęśliwa. A potem, kiedy wszystko się rozpadło,

ona nie mogła dojść do siebie. Uciekła z domu, sama doszła na dworzec i wsiadła bez biletu do pociągu do Warszawy. Wyobraża sobie pani? Miała osiem lat!

– Siedem. Niecałe – poprawiła go Agata odruchowo. Musiała odkryć kolejne karty. – To ja byłam tą kobietą.

Była wstrząśnięta. Kropeczka uciekła wtedy z domu i próbowała do niej pojechać? Dlaczego Grzegorz nie zadzwonił? Dlaczego nic jej nie powiedział? Pisała do niego kilka razy, żeby się dowiedzieć, jak Zuzia znosi tę sytuację. Zamartwiała się o nią. A on odpisywał zawsze tak samo:

Małe dzieci szybko zapominają. Ona też już prawie nie pamięta. Ma teraz w głowie tylko Boże Narodzenie, pisze list do Mikołaja.

Albo:

Nie martw się. Nie pyta o Ciebie. Szykujemy się na bal karnawałowy w szkole.

A wreszcie:

Nie pytaj więcej. Gdyby coś się działo, dam znać. Zuzia dawno o wszystkim zapomniała.

Dlaczego kłamał? Mogłaby mu pomóc! Nawet jeśli nie chciał jej już widzieć, mogłaby podpowiedzieć, co ma zrobić. Wysłać go do najlepszego psychologa dziecięcego. Zresztą… miał już namiary na najlepszych w Poznaniu. Dała mu je przecież na początku znajomości, gdy prosił, żeby pomogła Zuzi po odejściu jego żony. Mogła mieć tylko nadzieję, że po ucieczce Kropeczki z domu sięgnął po telefon i skontaktował się z jednym z psychoterapeutów dziecięcych.

Zatopiona w myślach dopiero po chwili zauważyła, że mężczyzna po drugiej stronie milczy od dłuższego czasu.

– Nie wiem, co Grzegorz opowiedział panu o naszym związku. Nie wiem, kim pan jest… a pan wie o mnie pewnie całkiem sporo – mówiła, nie mając pewności, czy w ogóle jej słucha. – Ja zawiodłam jego, a on mnie. To już dziś bez znaczenia. Liczy się to, że po tych wszystkich latach Kro… Zuza przyszła prosić o pomoc właśnie mnie. A ja chcę dotrzymać słowa.

– Chce pani dotrzymać słowa? Teraz? Jakie to szlachetne! – Znów ten kpiący ton. I coś jeszcze. Coś jakby… nienawiść? – A wtedy, kiedy go pani wyrzuciła z dzieckiem na bruk, nie myślała pani o dotrzymywaniu obietnic? Nie obchodziła pani ta mała dziewczynka? Przepraszam, szkoda mi czasu na rozmowy z kimś takim jak pani!

Rozłączył się.

Próbowała połączyć się jeszcze raz. I jeszcze. Bez skutku.

Nie była w stanie zadzwonić do kolejnej osoby. Trzęsły jej się ręce, wargi, policzki. Próbowała napić się kawy, ale połowę wylała na stół. Sięgnęła po serwetki stojące na stoliku obok – i potrąciła wazonik, w którym tkwiła jedna podwiędła różyczka. Woda rozpłynęła się po całym stole i zaczęła kapać na podłogę.

Agata ukryła twarz w dłoniach. Nie mogła powstrzymać łez. Wiedziała, że ludzie na nią patrzą, że ktoś coś szepcze… Pewnie rozpoznano już w niej panią z telewizji, zawsze uśmiechniętą, elokwentną, pewną siebie. Miała to gdzieś.

Nie miała pojęcia, że znajomi Grzegorza, a może także jego rodzina, tak jej nie znoszą. Że są przekonani, że złamała życie jemu i Kropeczce. Ona nikomu nie musiała się tłumaczyć. Nikt przecież nie wiedział o ich namiętnej korespondencji, matrymonialnych planach, szalonym weekendzie spędzonym w jej mieszkanku. Chciała opowiedzieć Gośce, ale ona miała tyle własnych problemów. Odrę czy ospę jednego dziecka, astmę drugiego i coraz częstsze kłótnie z mężem. Idealny związek sypał się w proch, a doktorat Gochy wciąż leżał rozgrzebany. Rada Wydziału dyskutowała już dwa razy nad tym, czy dać jej jeszcze jedną szansę na jego dokończenie. Agata nie mogła jej zawracać głowy swoimi uniesieniami miłosnymi – a potem swoim złamanym sercem. Chwilami bardzo jej to doskwierało. Chciała się wygadać, opowiedzieć o tym wszystkim głośno. Ale teraz zrozumiała, że tak było lepiej. Jeśli wpadnie w śpiączkę albo zginie w wypadku, nikt przynajmniej nie oskarży Grzegorza, że złamał jej życie.

Chociaż, w gruncie rzeczy, byłoby w tych oskarżeniach sporo racji…

Zwłaszcza w obliczu tego, że wynik testu był bezlitośnie, jednoznacznie dodatni. I że już w piątek mogła zobaczyć ten sam plus na drugim teście. Tym, który nie daje już żadnej nadziei na pomyłkę.

Rozdział 30
Zaświadczenie

Od tamtej chwili, gdy założył jej naszyjnik z zielonym oczkiem, jeszcze bardziej się starała, żeby było idealnie. Tak jak w mailach, które do siebie pisali. Spędzili całe sobotnie popołudnie jak rodzina z reklamy. Tańczyli we trójkę przy starych płytach z jej półki. Grali w chińczyka. Budowali razem wieżę z książek (Agata nie miała przecież w domu klocków!). A potem Grzegorz poszedł pod prysznic, a Agata leżała z Zuzią na kanapie i czytała bajkę na dobranoc chyba przez półtorej godziny. Kropeczka robiła wszystko, żeby nie usnąć, żeby ta chwila trwała i trwała…

– Myślałem, że już nigdy nie skończysz – mruknął Grzegorz, gdy w końcu weszła do sypialni. – Trzeba było jej powiedzieć, że na dziś wystarczy, zamknąć książkę, zgasić światło i wyjść.

– Ale mi to sprawia przyjemność – odpowiedziała z uśmiechem. – Dopiero pierwszy dzień jestem mamą i bardzo mi z tym dobrze.

– Czuję się zaniedbywany. – Nie była pewna, czy żartuje, czy mówi poważnie.

– Dbam o twoją córkę, powinieneś się cieszyć – powiedziała ostrożnie.

– Dbałaś o nią cały dzień. Teraz zadbaj o mnie – szepnął, odchylając kołdrę.

Leżał tam całkiem nagi. Gotowy od pierwszej chwili.

– No, chodź, Perełko. – Podniósł się z pościeli, przyciągnął ją do siebie, zaczął zdzierać z niej ubranie.

– Poczekaj, poczekaj. – Nie umiała tak w pół sekundy przestawić się z trybu „troskliwa matka” na tryb „namiętna kochanka”. – Wezmę prysznic, dobrze?

– Nie musisz. – Złapał ją za biodra, rzucił na łóżko, wgryzł się w jej usta, potem w pierś, szybkim ruchem ściągnął jej majtki.

– Przestań. – Szarpnęła się gwałtownie.

Nie słuchał. Zaczął całować jej brzuch, jej uda, niecierpliwie, łapczywie, jak to on.

– Przestań! – krzyknęła i wykonała gwałtowny zwrot w prawo. Spadła z łóżka na kolana. Prosto na szafkę. Usłyszała brzęk rozbijanego szkła i krzyk Grzegorza. W pierwszej chwili nawet nie poczuła bólu. Dopiero gdy zobaczyła, że Grzegorz trzyma się za twarz… gdy zobaczyła krew na jego ustach… Dopiero wtedy

zrozumiała, że coś się stało.

On stracił ząb, uderzony chyba przez Agatę łokciem przy tym zwrocie w prawo. Ona, po zderzeniu z szafką, miała dwa wielkie sińce na brzuchu i długą, nierówną ranę na piersi. Cholerna lampka nocna z fikuśnym szklanym klosikiem zamówiona przez Ludwika w jakimś katalogu wysyłkowym!

– Włóż ząb do słoika z mlekiem. Zaraz sprawdzę, gdzie jest nocny dyżur. – Włączyła komputer, jednocześnie przyciskając ręcznik do lewej piersi.

Nie odzywał się ani słowem. Zapisała mu adres, narysowała mapkę… Bez słowa wyruszył na pogotowie, ze słoikiem w ręku.

A ona siedziała w domu, wpatrując się w śpiącą jak anioł Kropeczkę.

– Nie zostawię cię, maleńka – szepnęła, a po policzkach ciekły jej łzy.

Wtedy po raz drugi pomyślała, że to był błąd. Cholerny błąd. Powinni spotkać się sami, porozmawiać, zobaczyć, czy do siebie pasują. Iść na kawę, na spacer, do kina… do łóżka. Wyjechać razem na weekend. A dopiero potem wciągać we wszystko dziecko.

Gdyby nie Kropeczka… gdyby nie byli w mieszkaniu Agaty… cóż, po prostu wstałaby i wyszła.

Pierwszy artykuł, który napisała jeszcze przed obroną magisterki, dotyczył przemocy domowej. Jak to brzmiało? Nie pamiętała początku. Ale najważniejszy fragment szedł jakoś tak:

Jeśli mężczyzna cię nie szanuje – uciekaj. Jeśli nie obchodzi go, co myślisz, czego pragniesz – uciekaj jak najszybciej. Miłość nie jest forsowaniem swojego zdania. Nie jest braniem tego, czego chcemy. Jest ciągłą rozmową. Ciągłym szukaniem tego, co dobre dla ciebie i dla mnie. Nie tyle kompromisem, co trzecią drogą, uszczęśliwiającą obie strony.

Jeśli raz cię popchnął, nazwał dziwką, wyśmiał twoje zwierzenia albo podzielił się z innymi ludźmi sekretem, który mu powierzyłaś – nie łudź się, zrobi to znowu.

Jeśli stawia swoje potrzeby ponad twoimi – nie zmieni się. Zasługujesz na więcej. Jesteś wyjątkowa. Masz prawo mówić „nie”. Pamiętaj o tym. A jeśli ktoś nie słyszy twego „nie” – uciekaj.

Nie masz siły? Idź więc po pomoc do tych, którzy słyszą. Jest ich więcej, niż Ci się zdaje.

Mały artykulik, napisany z potrzeby serca po praktykach studenckich w pogotowiu dla ofiar przemocy, stał się dla niej przepustką do wielkiej kariery. Z gazetki uczelnianej przedrukowały go ogólnopolskie tygodniki. Zaproszono ją do telewizji i do radia. Wykładowcy podchodzili i gratulowali. To wtedy po raz pierwszy

rozmawiała z Ludwikiem. Zaprosił ją na kawę… potem na obiad… Od razu na obronie pracy magisterskiej zaczęto ją namawiać na studia doktoranckie… A dwa czy trzy dni później, mailem, przyszło zaproszenie do szkoły psychoterapii. Bardzo znanej szkoły, jednej z najlepszych w Polsce. Nigdy nie myślała, że mogłaby się tam dostać.

– Jeśli ktoś cię poniża, uciekaj – powiedziała do siebie, patrząc na powiększającą się czerwoną plamę na ręczniku, który przyciskała do piersi.

Godzinę później Grzegorza wciąż nie było. A rana krwawiła coraz mocniej.

Zaczęła do niego wydzwaniać, ale nie odbierał.

Po kolejnych czterdziestu minutach zamówiła taksówkę. Wysłała mu SMS-a: *Rana bardzo krwawi. Jadę do szpitala przy Banacha. Zadzwoń do mnie. Przyjedź tam, dam ci klucze.*

Wzięła śpiącą Kropeczkę w ramiona i ostrożnie wsiadła do windy.

W szpitalu wszyscy byli bardzo mili. Myśleli, że przyjechała z chorym dzieckiem. Osłaniała pierś kurtką, żeby nie było widać krwi przeciekającej przez bluzkę.

Gdy już miała wchodzić do gabinetu, przyszedł SMS:

Przepraszam. Nie chciałem. Kocham Cię. Tak mi wstyd, Perełko. Chciałem Cię zasypać pocałunkami, a nie skrzywdzić.

Poczuła, że jej serce znowu się topi. Czy można kogoś winić za to, że szaleje z miłości i namiętności? Zresztą to przecież nie była tylko jego wina. To ona zrzuciła tę lampkę…

Ale SMS nie kończył się na tych wyznaniach. Było coś jeszcze. Przewinęła go do końca i odczytała:

Nie mów lekarzowi, co się stało. Powiedz, że się zaczepiłaś o wieszak w łazience.

Z wrażenia aż pociemniało jej w oczach. Zacisnęła rękę na telefonie. Kropeczka, śpiąca na jej kolanach, poruszyła się nerwowo.

Co on mi proponuje? Chce, żebym okłamała lekarza? Czego się boi?

Pięć minut później zrozumiała. Lekarz i pielęgniarka patrzyli na nią z wyraźną troską i pytali po raz trzeci, jak to się stało.

– Wypadek w domu – mruknęła. – Głupi wypadek.

– Trzeba będzie szyć. – Lekarz nie zajmował się jednak raną, tylko wypisywał jakiś druczek. – Dam pani zaświadczenie, może się kiedyś przydać. Uwzględnię też wybroczyny na brzuchu. Nie wymagają interwencji medycznej, ale warto o nich wspomnieć na tym zaświadczeniu.

– Jakie zaświadczenie? Po co mi ono? – Miała niejasne wrażenie, że wie, do czego on zmierza… ale to było tak absurdalne, tak idiotyczne, że odrzuciła tę myśl.

– Wie pani, w razie rozwodu… czy kolejnego ataku…

– Jakiego ataku? – Zaczęła się śmiać. – Myśli pan, że jestem ofiarą przemocy

domowej?

Spojrzał na nią przeciągle i wrócił do pisania.

Pielęgniarka przemyła jej ranę.

– Auć! – syknęła i podskoczyła na kozetce.

– Uciekła mu pani? – zapytała z troską kobieta w białym fartuchu.

Agata przewróciła oczami. Czy naprawdę się uparli, żeby zrobić z niej nieszczęśliwą, maltretowaną żonę?

Kropeczka nagle otworzyła oczy i z przerażeniem rozejrzała się wokół.

– Mamo, gdzie my jesteśmy? – zapytała.

– Śpij, śpij. – Głaskała ją po głowie. – Musiałam przyjechać do lekarza, uderzyłam się… pod prysznicem. Ale zaraz wrócimy do domu.

Przytuliła głowę dziewczynki do siebie, żeby nie widziała jej opuchniętej, zakrwawionej piersi. Miarowo głaskała ją po kruczoczarnych włosach.

Zacisnęła zęby, żeby nie krzyczeć w czasie szycia. Bolało jak diabli.

Nie krzyczała. Łzy jednak leciały po jej twarzy równymi strumieniami. I sama już nie wiedziała, czy z bólu, czy ze smutku, że znalazła się tu, w takiej sytuacji… że ktoś myśli, że jest ofiarą przemocy domowej…

– Planuje pani jeszcze dzieci? – Głos lekarza wyrwał ją z odrętwienia.

Jeszcze? No tak, nie wiedział przecież, że nie urodziła Kropeczki.

– Tak. Chyba tak. – Pokiwała głową, myśląc o rudym bambino, które mieli spłodzić we Włoszech. Teraz wydawało się to takie nierealne…

– Może być problem z karmieniem tą piersią. Ale nie mogę zszyć jej inaczej. Wyjątkowo paskudna, głęboka rana…

Nie odezwała się ani słowem. Nie miała siły opowiadać kolejnych kłamstw. Łzy płynęły coraz szybciej.

Włożyła do kieszeni zaświadczenie wypisane przez lekarza. Na wszelki wypadek.

Grzegorz czekał na parkingu ze zgaszonymi światłami i włączonym silnikiem.

Gotowy do ucieczki – pomyślała. – Czego on się boi? Że wezwałam policję? Że powiedziałam, że próbował mnie zgwałcić?

Wsunęła śpiącą Kropeczkę na tylne siedzenie, zapięła w foteliku i usiadła z przodu. A raczej: chciała usiąść. Na fotelu leżał wielki bukiet kwiatów. W tej ciemności nie widziała, czy to róże, tulipany czy może gerbery. Albo chryzantemy – pomyślała. – Jest przecież listopad…

– Nie wiem, jak cię przepraszać – szepnął, biorąc ją za rękę. – Nigdy nikogo nie pragnąłem tak, jak ciebie. Całymi dniami i nocami chcę cię dotykać, pieścić, uszczęśliwiać.

– Nie uszczęśliwisz mnie, robiąc coś, czego nie chcę. Przecież krzyczałam „przestań”.

Spuścił wzrok.

– Myślałem, że to tylko tak… żeby podgrzać atmosferę.

Przestała nad sobą panować. Podniosła rękę i z całej siły uderzyła go w policzek. W ostatniej chwili odwrócił głowę, żeby nie dostać w ząb. Ząb, który dentystka włożyła z powrotem do zębodołu i kazała chronić jakby był ze szkła, przynajmniej przez kilka dni.

– „Przestań” znaczy „przestań”, a „nie” znaczy „nie”. Zapamiętaj to – powiedziała. – Nie prowadzę żadnych głupich gierek i nie udaję uczuć.

– Przepraszam – powiedział jeszcze raz, rozcierając policzek.

A potem powoli odjechali w stronę domu Agaty.

– Wszystko będzie dobrze, Perełko. Nauczymy się siebie wzajemnie, zobaczysz – mówił do niej zza kierownicy.

Łzy jednak nie przestawały płynąć ani na minutę.

Teraz łzy wciąż kapały jej na kawiarniany stolik. Kim był ten facet, ten cały J.W., żeby tak ją traktować? Co złego mu zrobiła… albo jego przyjacielowi?

Chciała się wytłumaczyć. Ale jak miała to zrobić, skoro nie odbierał?

– Agata, co się stało? – Zuza zupełnie ją zaskoczyła. Nie widziała, jak nadchodzi, nie słyszała jej kroków.

– Idziemy? – zapytała, ocierając oczy. – Byłaś u taty?

Zuza pokiwała głową.

– Rozmawiałaś z lekarzem?

Tym razem pokręciła nią przecząco.

Nie chciała najwyraźniej o tym mówić.

– Możemy już iść, tak? – Agata złapała swoją torbę i odniosła pustą filiżankę do okienka z napisem „Zwrot naczyń. Dziękujemy”. – Zaraz zadzwonię po taksówkę.

– Nie musimy brać taksówki. – Kropeczka wreszcie się odezwała. – Jesteśmy blisko dworca. Zaprowadzę cię. Bo chyba już idziemy na dworzec?

– Tak, tak. Oczywiście. – Agata spojrzała na zegarek i nagle zaczęła się śpieszyć. Chciała położyć Filipa spać. Chciała zapytać, jak mu minął dzień. A skoro tak… – Może jednak weźmiemy tę taksówkę? Będzie szybciej.

– Nie trzeba. To pięć minut stąd. – Zuza stanęła na palcach i objęła ją ramieniem. Zupełnie jakby chciała pokazać, że teraz to ona przejmuje stery.

Rozdział 31
Zapach fajki

Dwadzieścia minut później było już wiadomo, że nie zdążą na ten pociąg. Błądziły po zasypanych śniegiem ulicach, a Zuza uparcie odmawiała zapytania kogokolwiek o drogę.

– Wiem, jak iść. Tylko przez ten remont Kaponiery trochę musimy pochodzić dookoła. Sama widzisz, co się tutaj dzieje.

Chodziły więc dookoła rozkopanego ronda jeszcze przez kwadrans. W końcu Agata nie wytrzymała.

– Przepraszam pana, którędy na dworzec? – zaczepiła mężczyznę z psem.

– Tamtędy. – Wskazał bez wahania jedyną ścieżkę, którą Zuza omijała szerokim łukiem, twierdząc, że wiedzie dokładnie w przeciwną stronę.

– Jestem tylko dzieckiem, mogłam się pomylić – powiedziała naburmuszona.

Ale Agata coraz silniej podejrzewała, że to nie była tylko pomyłka. Spóźnienie na pociąg z jakiegoś nieznanego powodu było Kropeczce bardzo na rękę.

Stały na ośnieżonym peronie w tłumie innych zziębniętych, zakatarzonych, zniechęconych podróżnych.

Agata z trudem wystukała SMS-a.

Spóźniłam się na pociąg. Będę w domu po 23:30, razem z Zuzą. Połóż Filipa. Powiedz, że go kocham. Przeproś. Ciebie też kocham.

Wiedziała, że Marcin nie będzie zachwycony. Obiecywała, że wieczorem zajmie się synkiem. On miał szykować jakąś dokumentację dla najważniejszego klienta. Bardzo wymagającego. Znowu nie dotrzymała słowa. Znowu będzie miał przez nią kłopoty.

Chciało jej się płakać.

Do walentynek zostały już tylko trzy dni. Tak się cieszyli, że w tym roku wypadają w sobotę. Że będą mogli odwieźć Filipa do mamy Agaty, zjeść śniadanie w łóżku, kochać się do upadłego, oglądać filmy, pić wino, znowu się kochać, na dywanie, w kuchni, pod prysznicem… gdzie tylko przyjdzie im ochota.

Strząsnęła śnieg z nosa. W sobotę będzie już znała wynik testu. W sobotę wszystko

będzie jasne. Usiądzie z Marcinem i o wszystkim mu opowie. To będą cholernie trudne walentynki.

– Uwaga! Uwaga! Z powodu intensywnych opadów śniegu pociąg EuroCity relacji Berlin Hauptbahnhof–Warszawa Wschodnia przybędzie z opóźnieniem około stu czterdziestu minut. Opóźnienie może ulec zmianie. – Metaliczny głos powtórzył ten sam komunikat dwa razy po polsku, niemiecku i angielsku. Ludzie na peronie, jak na komendę, wyciągnęli komórki i zaczęli wydzwaniać do bliskich.

– Będziemy w domu o drugiej w nocy – jęknęła Agata. – Jeśli dobrze pójdzie.

Miała ochotę nawrzeszczeć na Zuzę. Gdyby nie uparła się na te wędrówki wokół rozkopanego ronda, dojeżdżałyby już do Warszawy.

– Przepraszam. To wszystko przeze mnie. – Dziewczyna miała tak nieszczęśliwą minę, że po prostu nie mogła powiedzieć jej tego, co pomyślała: Tak, to przez ciebie! Wszystko przez ciebie!

Wzięła głęboki oddech i mruknęła bez większego przekonania:

– Jest zima. Takie rzeczy się zdarzają. Może pójdziemy gdzieś na herbatę?

Wszystkie miejsca, gdzie można było wypić kawę czy herbatę, w hali dworca i w przejściu podziemnym, były zapchane po brzegi. Ludzie tłoczyli się przy ladach, stali z bagażami, oparci o szklane drzwi.

– Pójdziemy gdzieś dalej? Sto czterdzieści minut to mnóstwo czasu… – Agata rozejrzała się bezradnie dookoła. – Może weźmiemy taksówkę?

– Możemy pojechać do mnie do domu – powiedziała Kropeczka tak cicho, że prawie jej nie usłyszała. – To niedaleko.

Pojechały więc. Tramwajem. Tym razem nie krążyły w kółko. Zuza błyskawicznie trafiła na właściwy przystanek i kupiła w automacie bilety za drobne wysupłane z kieszeni dżinsów.

Kwadrans później stały już pod starą kamienicą z lwem nad drzwiami wejściowymi.

– Mieszkasz tu od urodzenia? – zapytała Agata. Tak naprawdę chciała zapytać: „Mieszkaliście tu osiem lat temu?”. Ale głupio jej było zadać takie pytanie.

Zuza jednak od razu zrozumiała, o co jej chodzi.

– Tak, to stąd tata pisał do ciebie tamte maile – powiedziała.

Agatę przebiegł dreszcz.

„Tamte maile”? Czy to znaczy, że ona je czytała? Że pamięta znacznie więcej, niż by się wydawało?

Zmierzyła się z Zuzą wzrokiem, ale nie umiała niczego wyczytać z tych czarnych jak węgielki oczu.

– Trzecie piętro. Nie ma windy – powiedziała Zuza. – Mam nadzieję, że ci to nie przeszkadza?

– Dlaczego miałoby mi przeszkadzać? – Agata uśmiechnęła się.

Pomyślała, że nagle zaczęły rozmawiać jak dwie obce osoby. Że cały czas grają w jakąś tajemniczą grę, której warunki dyktuje Zuza.

Dziwnie się czuła, idąc po tych schodach. Grzegorz wymarzył sobie, że tutaj z nimi zamieszka. Zaplanował wszystko w najdrobniejszych szczegółach. I za nic nie przyjmował sprzeciwu.

– Nie mogę tak po prostu wyprowadzić się z Warszawy w środku semestru – tłumaczyła mu chyba po raz trzeci. Leżeli w łóżku nadzy, przytuleni… Po tamtej wizycie w szpitalu traktował ją jak porcelanową lalkę. Pieścił delikatnie, co chwilę pytał, czy mu wolno… Zastanawiała się, jak długo wytrzyma z tą uważnością. Nie była chyba w jego stylu.

– Chcę być z tobą. Kocham cię. Wynajmiemy twoje mieszkanie i zamieszkamy u nas. Spodoba ci się, Aguś, zobaczysz. – Nie rozumiał, z czym ona ma problem.

– Na pewno mi się spodoba. – Pokiwała głową. – Ale moja praca… ten etat asystenta… zajęcia, które prowadzę… Jeśli odejdę, prawdopodobnie nigdzie nie dadzą mi już szansy… nie po czymś takim. I nigdy już nie napiszę doktoratu.

– Nie musisz – szepnął, całując jej szyję i schodząc pocałunkami coraz niżej i niżej, aż do pępka. – Dla mnie i tak jesteś najmądrzejsza. A jeśli chodzi o pieniądze, to… no wiesz… – Rozłożył jej nogi szeroko na boki i przez moment przyglądał się w milczeniu. – Kocham cię – szepnął z zachwytem, a jego palce znowu zaczęły wygrywać ten swój koncert. Coraz szybciej udawało mu się doprowadzić ją na krawędź rozkoszy. Znał już jej ciało, jej reakcje. Wiedział, co wywołuje u niej przyśpieszony oddech. W tej chwili używał jednocześnie wszystkich skutecznych środków ze swojego arsenału. Pieścił ją palcami, skubał wargami, wsuwał w nią koniuszek języka.

Jęknęła z rozkoszy.

Położył głowę na jej brzuchu.

– Nie musisz pracować. Zarobię na nas obydwoje. A ty zajmiesz się Zuzią i naszym bambino. Już nigdy nie będziesz musiała iść do pracy. – Jego palce wygrywały koncert coraz szybciej i szybciej.

Nie mogła na to pozwolić.

Poderwała się z łóżka, zeskoczyła na podłogę.

Kręciło jej się w głowie, ciało przeszywały dreszcze. Musiała usiąść.

Wzięła głęboki oddech. I jeszcze jeden.

Już lepiej. Już mogła mówić.

– Chcę pracować. Kocham to, co robię. Nie chcę sprawić zawodu ludziom, którzy na mnie postawili. Mojemu promotorowi, dziekanowi… Jestem szczęśliwa na tej uczelni.

– A ze mną? Ze mną nie jesteś szczęśliwa? – Zsunął się z łóżka i położył się na podłodze, z głową na jej nagich kolanach.

– Jestem… przecież wiesz. Ale może da się to jakoś pogodzić? Może moglibyśmy widywać się w każdy weekend, przynajmniej do końca semestru… A może ty… może ty mógłbyś znaleźć pracę w Warszawie? Byłoby ci chyba łatwiej niż mi w Poznaniu?

– Chyba żartujesz? – Usiadł, odsunął się od niej. Zacisnął dłonie w pięści. – Naprawdę myślisz, że zrezygnuję z pracy w Poznaniu, że wyprowadzę się z domu tylko po to, żebyś ty pisała swój głupi doktoracik?

Zagalopował się. Od razu to wiedział.

Złapał się za usta.

– Przepraszam. Wcale tak nie myślę.

Ale ona wiedziała, że powiedział dokładnie to, co myślał. To nie było głupie przejęzyczenie. On naprawdę uważał jej pracę za fanaberie… a swoją za coś bardzo, bardzo ważnego dla całego świata.

W zasadzie nigdy nie zapytała, czym on się zajmuje. Wiedziała, że skończył politechnikę. Tylko tyle.

– Gdzie ty właściwie pracujesz? – zapytała więc teraz.

Nie odpowiedział.

– Nie możesz mi powiedzieć? – Nie rozumiała, z czego robi problem. – Chciałabym wiedzieć… w końcu mamy być rodziną.

– I co? Wyjdziesz za mnie, jeśli jestem profesorem? A jeżeli mam wypożyczalnię płyt DVD, to kopniesz mnie w tyłek?

Nie miała pojęcia, skąd w nim tyle agresji i frustracji.

– Nie wyjedziesz więc ze mną na stałe do Poznania? Dobrze zrozumiałem? – zapytał.

Pokiwała głową.

Nie mogła wyjechać ot tak, z dnia na dzień. Po prostu nie mogła. Nie robi się takich rzeczy. Musiał to zrozumieć. Dać jej czas…

– Cóż… W takim razie chyba się pomyliłem – powiedział głosem zimnym jak stal. – Myślałem, że nasza miłość jest dla ciebie najważniejsza.

Rozglądała się teraz dookoła. Znalazła się w tej kamienicy po raz pierwszy, po tylu latach. To tutaj mieszkałaby, gdyby postawiła wszystko na jedną kartę. Gdyby zdecydowała, że warto.

Nie umiała tego zrobić.

A on nie umiał wycofać się ze słów, które wypowiedział.

Spakował więc w kilka chwil siebie, Kropeczkę i kota i wyjechał bez pożegnania.

Do dziś coś dławiło ją w gardle, gdy przypominała sobie tę chwilę. Stała w oknie owinięta kocem i patrzyła w dół. A on niósł do samochodu Kropeczkę, wrzeszczącą wniebogłosy: „Mama, mama!”. Serce pękało jej na setki kawałków.

I nagle, właśnie w tym momencie, Zuza zaczęła szlochać. Agata nie widziała jej jeszcze w takim stanie. Cała się trzęsła, jej górne zęby uderzały o dolne, podbródek latał we wszystkie strony, a łzy płynęły szerokimi strumieniami.

– Pierwszy raz w życiu jechałam windą w twoim bloku! – wyrzuciła z siebie w końcu. – Jak ja kochałam twoją windę! Twój blok! Tamtą szafkę z kolorowymi szybkami! Pościel w różyczki! Zapach twoich perfum! Zmieniłaś perfumy! Pachniesz inaczej! Tak kochałam tamte perfumy!

Agata nie mogła sobie przypomnieć, jakich perfum wtedy używała. Pościel w różyczki? Była przekonana, że założyła wtedy Kropeczce tę w uśmiechnięte księżyce. Ale nigdy nie miała pamięci wzrokowej. Mogła się mylić…

– Jakie to były perfumy? – Zuza stała na półpiętrze, oparta o wysokie okno wychodzące na podwórko-studnię, i wpatrywała się w napięciu w twarz Agaty. Jej broda wciąż drżała żałośnie.

– Nie mam pojęcia. – Agata z kolei patrzyła gdzieś w dal, za Zuzę, na gęstniejący śnieg padający za oknem klatki schodowej. – To było naprawdę dawno…

Te słowa najwyraźniej dotknęły Zuzę do żywego. Łzy popłynęły jeszcze szybciej, ramiona drżały jak w jakimś transie.

– Dla ciebie to tak dawno… A dla mnie… a dla mnie to tak, jakby to było wczoraj! Nie rozumiesz? Kochałam twoje perfumy, twoją szafkę, twoją wannę. Uprawialiście seks tak, że było was słychać chyba w całym bloku. A ja klęczałam, uciszając kota, żeby wam nie przeszkadzał. I modliłam się, żebyś też mnie pokochała i na zawsze została moją mamą.

Drzwi na pierwszym piętrze się uchyliły. Wyjrzała z nich jakaś zaciekawiona twarz okolona siwymi lokami.

Agata przesłała jej najszerszy uśmiech, na jaki było ją stać. Miała nadzieję, że w postaci w grubej wełnianej czapie kobieta nie rozpozna pani ekspert z telewizji. Wyglądała na taką, która dla zabawy wydzwania do *Szkła Kontaktowego* i redakcji Pudelka. Tylko tego brakowało, żeby naopowiadała jakiemuś portalowi, co podsłuchała!

Matko święta… Kropeczka wcale wtedy nie spała. Słyszała, że się kochają. Słyszała, a może i widziała? Mogłaby stać koło łóżka przez pół nocy, zanimby ją zauważyli… Agata poczuła, że oblewa się rumieńcem wstydu.

Jeśli to biedne dziecko będzie miało nieudane życie seksualne, problemy z osiąganiem orgazmu albo zostanie kolekcjonerką męskich serc, nieangażującą się uczuciowo w żaden związek, to będzie tylko moja wina – pomyślała. – Jak ona musiała się czuć, budząc się w obcym mieszkaniu i słysząc jakieś jęki i krzyki z drugiego pokoju?

Zuza zauważyła chyba jej zmieszanie.

– Żartowałam. Wcale się wtedy nie obudziłam. – Puściła do niej oko.

Nie brzmiała jednak przekonująco.

Od progu poczuła zapach fajki. Taki sam jak wtedy, osiem lat temu, gdy w ciemnym przedpokoju musnął jej skórę po raz pierwszy, koniuszkami palców. Głęboko wciągnęła powietrze i poczuła się tak, jakby miał wyjść za moment z drugiego pokoju. Przebiegł ją dreszcz.

– Ja zmieniłam perfumy, ale twój tata wciąż pali ten sam tytoń. – odpowiedziała z uśmiechem.

Z oczu Kropeczki wciąż leciały łzy.

– Peterson Irish Whiskey. Zmienili opakowanie, podnieśli cenę, a on i tak nie pali niczego innego – wychlipała i uciekła w głąb mieszkania.

Agata stała w przedpokoju, niepewna, czy powinna biec za nią, czy raczej zostawić ją samą.

Nie pobiegła. Nie było bowiem nic, co mogłaby jej powiedzieć. Nic, co pocieszyłoby dziewczynę, której ojciec leży nieprzytomny w szpitalu, a matka buduje szkołę czy sierociniec na drugim końcu świata.

Agata wiedziała, że jest jedno zdanie, które Zuza chciałaby usłyszeć. Obietnica sprzed lat, której dotrzymania wciąż oczekiwała. Ale przecież nie mogła teraz tego powiedzieć. Nie mogła stać się jej mamą, dopóki…

Nie, nie chciała nawet pomyśleć tego głośno. Nie chciała myśleć o śmierci Grzegorza. Chciała, żeby się obudził, wyzdrowiał i zajmował się Kropeczką tak jak przedtem.

Może nie był idealnym partnerem, ale na pewno był dobrym ojcem. I to najwyraźniej się nie zmieniło.

Ze zdjęć w ramkach, ustawionych na półkach i zawieszonych na ścianach, patrzyli na nią obydwoje. Na największej fotografii Zuza miała może rok. Może nawet mniej. Grzegorz trzymał ją wysoko w powietrzu, w wyciągniętych w górę rękach, a ona śmiała się i machała nóżkami.

Obok stało inne zdjęcie, z Zuzą przebraną za kowboja. Miała trzy albo cztery latka. Wyglądała wzruszająco w za dużym kapeluszu spadającym jej na oczy.

Były też nowe zdjęcia. On trochę grubszy, z małą blizną na policzku, której nie miał osiem lat temu. Lekko mu posiwiały skronie. Patrzył na córkę z taką miłością. Kiedy to mogło być? Zakończenie albo rozpoczęcie roku szkolnego? Pewnie tak. To było chyba zakończenie szóstej klasy. Na szyi miała medal, w dłoni dyplom i jakąś książkę, którą dostała w nagrodę. Włosy ciasno zaplecione w warkocz. A na nim kolorowa, fikuśna kokardka w kropki, tak niepasująca do stroju galowego.

Uśmiechnęła się, patrząc na to zdjęcie. Przypomniało jej sukienkę w kropeczki, piżamkę w kropeczki, bluzeczkę, majteczki… Przywiózł ją do Agaty z całą garderobą

w białe groszki. Śmiała się wtedy, że kupił ubranka na wyprzedaży jakiejś kolekcji, która nie sprzedawała się najlepiej.

Wszystko nagle znów stało się takie realne. Jak to powiedziała Kropeczka? Jakby to było wczoraj? Właśnie tak. Jakby nie było tych ośmiu lat. Marcina, Filipa, doktoratu, budowy domu…

Nagle lampa na suficie ostrzegawczo zamrugała i zgasła.

– No tak, awaria prądu. – Kropeczka natychmiast pojawiła się w dużym pokoju. Była tuż obok, Agata czuła jej oddech, ale nie widziała jej twarzy.

Już kiedyś tak było. W ciemnym przedpokoju, gdy Grzegorz wniósł do jej mieszkania to rozgorączkowane, owinięte kocem kruche maleństwo. Wtedy też nie mogła zobaczyć jej buzi. A jednak dziecko hipnotyzowało ją tak, że nie patrzyła nawet na mężczyznę, który miał stać się jej kochankiem, mężem, towarzyszem życia. Liczyło się tylko to zawiniątko, które trzymał.

Błysnęła zapałka, powietrze wypełnił zapach siarki. Dopiero teraz Agata dostrzegła świece stojące na półkach. Duże, małe, okrągłe i podłużne.

Zuza zapaliła cztery z nich, ustawiła je na małej tacce i przeniosła na stół.

– Często mamy takie awarie – wyjaśniła. – To bardzo stara kamienica.

Rozdział 32
Śnieżyca

Śnieg za oknem padał coraz mocniej.

– Powinnyśmy już chyba jechać na dworzec? – zapytała, patrząc na zegarek.

Płomienie świec rzucały długie cienie na twarz Kropeczki. Wyglądała doroślej i chyba smutniej niż zwykle.

A może to wcale nie była wina świec?

Po raz kolejny zapaliła się w jej głowie lampka alarmowa. Dziewczyna, która nie skończyła jeszcze piętnastu lat, zachowuje się jak dorosła, jeździ sama po Polsce, sama zajmuje się domem…

– Gdzie jest twoja babcia? – zapytała.

Zuza zastygła w pół gestu.

– U siebie w domu. Przecież ci mówiłam. – Podeszła i stanęła tuż przed Agatą. Sięgała jej pod brodę. Taka była mała i krucha. Wciąż zdecydowanie bardziej dziecko niż kobieta. W oczach miała jednak bardzo dorosły smutek i złość. – Nie wierzysz mi? Chcesz do niej zadzwonić? Dzwoń, proszę. Zaraz tu przybiegnie, zaopiekuje się mną i już w niczym nie będę mogła ci pomóc.

– Ale…

Zuza nie dała jej dokończyć.

– Myśli, że jestem na zimowisku. Pod dobrą opieką. Naprawdę nie może tak zostać?

Patrzyła błagalnie na Agatę.

– Muszę zadzwonić do Marcina. – Była zła na męża. Uwierzył Kropeczce, gdy powiedziała, że rozmawia z babcią? Pewnie tak. Pewnie wcale nie podała mu telefonu! Odegrała tylko jakąś szopkę pod tytułem „Rozmowa”, a on uznał, że wszystko jest już załatwione. Był taki łatwowierny! Zuza pisała nawet coś na ten temat na tym swoim blogu. No i co teraz? Babcia najwyraźniej uważała, że Zuza jest na obozie. Gdy się dowie prawdy, może ich podać do sądu, oskarżyć o porwanie. Może zamienić ich życie w piekło.

Agata powinna zadzwonić do matki Grzegorza i powiedzieć, że Zuza jest tutaj, we własnym domu, razem z nią. Powinna to zrobić natychmiast.

A jednak zwlekała. Bo cóż… Naprawdę potrzebowała pomocy Kropeczki. Choćby w przeanalizowaniu listy kontaktów z komórki Grzegorza.

A poza tym naprawdę musiała jak najszybciej zadzwonić do domu! Wcale nie po to, żeby ochrzanić Marcina. Musiała do niego zadzwonić, bo nie miał przecież pojęcia o opóźnieniu pociągu.

– Gdzie jesteś? – W głosie męża brzmiała wyraźna panika. – Pokazują w telewizji jakieś straszne sceny. Jeden pociąg z Poznania stoi w polu, drugi chyba wciąż do Poznania nie dojechał.

– Wiem, czekamy na niego z Zuzą – powiedziała.

– Słuchaj, idźcie do hotelu. Przeczekajcie tę śnieżycę. Nad ranem mają naprawić zerwaną trakcję…

– Muszę wracać do Warszawy. Muszę być jutro w południe na uczelni – zaprotestowała.

– Zdążysz. – Marcin najwyraźniej nie uważał egzaminowania kilku najsłabszych studentów, którzy nie zdążyli zdać w trzech poprzednich terminach, za bardzo istotne. – A jeśli nie zdążysz, to Pola ich przepyta. Nie ruszaj się z tego Poznania! Naprawdę! Nie masz pojęcia, co się dzieje na torach!

– A Filip? – Sama myśl o synku czekającym na nią w swoim łóżku, z misiem i królikiem w ramionach, sprawiała, że musiała się uśmiechnąć. – Nie płakał, że mnie nie ma?

– Powiedziałem, że musiałaś pojechać dokądś z Zuzą, bo potrzebowała pomocy. Chyba się ucieszył, że jej pomagasz. Wiesz, on naprawdę bardzo ją lubi.

– Wiem. – Pokiwała głową w zamyśleniu. – Wiem, kochanie. Przepraszam. Przeze mnie nie przygotujesz na jutro tej dokumentacji.

– Przygotuję, nie martw się. Właśnie nad nią siedzę. Idź, poszukaj hotelu i spróbuj trochę się wyspać. Zadzwoń jutro z pociągu.

– Dobrze. Pa.

– Pa. Karaluchy pod poduchy.

– A szczypawki do zabawki. – Uśmiechnęła się, bezwiednie zaciskając rękę na telefonie. Marcin wcale się nie gniewał. Gdyby się gniewał, nie bawiłby się w wyliczankę, którą zawsze rozśmieszali Filipa.

– Pa – powiedziała jeszcze raz, chociaż Marcin już jej nie słyszał.

Zuza stała i patrzyła na nią w napięciu.

– Możemy zostać tu na noc? – zapytała Agata.

Szybko sprawdziła rozkład jazdy w swojej komórce. Internet mobilny, na szczęście, jeszcze działał.

– Mamy pociąg dwadzieścia sześć po szóstej – powiedziała. – Będziemy w Warszawie zaraz po dziewiątej, jeśli nie będzie żadnej awarii… Zdążę na uczelnię i przeegzaminuję tych moich najoporniejszych z opornych. O ile się zgodzisz?

– Jasne. – Zuza zaczęła krzątać się po domu, wyciągać z szafy pościel, powlekać poduszkę.

Ja nie jestem taka zorganizowana, kiedy mam gości. Zwłaszcza niezapowiedzianych – pomyślała Agata.

Znowu to światełko ostrzegawcze.

Może Zuza zaplanowała wszystko wcześniej? Może chciała ją tu zwabić?

Nie… Odrzuciła zaraz tę myśl. Przecież żadna gimnazjalistka nie mogła zaplanować śnieżycy i zerwanej trakcji! Chyba że byłaby uczennicą Szkoły Magii i Czarodziejstwa w Hogwarcie, zdolniejszą od Hermiony Granger i Harry'ego Pottera razem wziętych.

– Wyjęłam dokumenty taty. – Zuza położyła na stole, koło tacki z płonącymi świeczkami, sporą stertę papierów. – Przeglądałam je już mnóstwo razy. Jakieś wyniki badań lekarskich, rentgen zęba, umowy o pracę, kwitki z banku. Moim zdaniem nie ma tu niczego, co by nam mogło pomóc. Ale możesz przejrzeć, jeśli chcesz.

– A ty… – Agata podała jej starą komórkę. – A ty może rzuć okiem na tę listę. Może jakieś nazwisko coś ci przypomni?

Zuza wzięła posłusznie telefon do ręki.

– Ciocia Dorota… to taty kuzynka z Torunia. Widują się na ślubach i pogrzebach. Nic nam nie powie. Max? Stary kumpel taty. On mógłby coś wiedzieć. Zapisz go na liście tych, do których trzeba zadzwonić. Dyrektor Wojtas? A, tak, to dyrektorka mojej podstawówki. Powinien już dawno ją wykasować… Pan Jacek, on nam kładł podłogę… Klinika lalek? Kurczę, po co mu ten numer? Reperował tam moją lalkę, kiedy byłam jeszcze w przedszkolu.

I tak dalej, i tak dalej, od początku do końca listy. Kilku bliskich znajomych trafiło na kartkę z nagłówkiem „Zadzwonić".

Kilkanaście imion i nazwisk zupełnie nic Kropeczce nie mówiło. Ale przecież nie musiała znać wszystkich współpracowników i znajomych ojca.

Agata cały czas czuła, że kogoś jej brakuje na tej liście. Miała wrażenie, że jeśli odkryje, kto to jest, zbliży się do rozwiązania. Nie mogła jednak uchwycić tej myśli. Miała ją na końcu języka i wciąż jej się wymykała.

Zuza poszła spać, a ona wciąż siedziała przy stole, w blasku świec. I przeglądała dokumenty.

– Mógłbyś mieć w nich większy porządek – mruczała ze złością, choć Grzegorz nie mógł jej usłyszeć.

Wszystko było dokładnie ze sobą wymieszane. Wyciągi z banku, rachunki za prąd i gaz, wyniki badań lekarskich, nieważny paszport…

Coś jej nagle zaświtało w głowie. Wspominał w mailach o podróży do Nowego

Jorku. Mówił też o tym u niej w domu, tej pierwszej nocy. Zrezygnował z wyjazdu, chociaż miał już bilet i wizę…

Nerwowo zaczęła przerzucać kartki paszportu.

Tak! Wiza jednorazowa, wydana dwunastego listopada. Tuż przed ich spotkaniem.

Dwunastego listopada. Tego dnia, kiedy miał do niej zadzwonić. Kiedy czekała jak głupia w brązowej bieliźnie od Ludwika.

A więc nie zadzwonił po prostu dlatego, że jeździł z paszportem do konsulatu albo ambasady? Dlaczego nie mógł powiedzieć tego jak człowiek, tylko wpadł w jakąś histerię, zaczął wypisywać, że ją zawiódł, a potem zniknął na całe cztery dni? Faktycznie, to wielogodzinne czekanie z telefonem w ręku nie było miłe. Ale aż taka afera z tego powodu? Bez przesady!

Nastawiła budzik w komórce na piątą. Zgasiła ostrożnie wszystkie świeczki i położyła się na kanapie. Cały ten wyjazd do Poznania był kompletnie bez sensu. Nie dowiedziała się niczego, zmarnowała mnóstwo czasu, zawiodła Filipa, któremu obiecała bajkę na dobranoc… Zawiodła Marcina, który pewnie będzie siedział do świtu nad tą dokumentacją, bo przez cały wieczór musiał zajmować się małym, chociaż żona obiecała, że go odciąży…

– Idź już spać – powiedziała do siebie.

I faktycznie zasnęła, gdy tylko przyłożyła głowę do poduszki.

Światło rozbłysło równie nagle, jak zgasło. Obudziła się w rzęsiście oświetlonym pokoju. Z jedną jedyną myślą: jeśli jechał do USA osiem lat temu, musiał zrobić test na HIV! Te testy były przecież od wielu lat wymagane od wszystkich składających wnioski wizowe, choćby wjeżdżali do Ameryki na trzy dni. Pamiętała aferę rozpętaną w tej sprawie na jakiejś konferencji o prawach człowieka. Ostatecznie zniesiono ten obowiązek kilka lat temu… Filip chyba chodził już wtedy do żłobka? Odwoziła go samochodem i słuchała w wiadomościach reportażu o zmianach w przepisach. Osiem lat temu Filipa nie było nawet w planach… Było tylko rude bambino, którego nigdy nie powołali do życia. A więc Grzegorz, jeśli chciał jechać do Ameryki, musiał ten test zrobić!

Zerwała się z kanapy zachwycona. Jeszcze raz potwierdziła się teoria, o której opowiadała studentom na warsztatach na temat nieograniczonych możliwości ludzkiego mózgu. Na innych warsztatach zresztą też o tym opowiadała. Uwielbiała udowadniać im, że mózg cały czas „obrabia” zadany mu temat, nawet kiedy o nim nie myślimy. We śnie, w czasie seksu, pisania raportu dla szefa, występu na scenie czy biegania za dzieckiem po placu zabaw.

Teraz przekonała się o tym na własnej skórze.

Rzuciła się do dokumentów leżących na stole.

Gdy już wiedziała, czego szuka, potrzebowała zaledwie paru minut. Był tam! Był! Test na HIV, robiony w jakimś nowoczesnym laboratorium – jednym z kilku w całej Polsce uznawanych przez ambasadę USA. Sama nigdy nie była w Ameryce, służbowo ani prywatnie. Ale od koleżanek, które jeździły na konferencje do Waszyngtonu czy Bostonu, a także od Justyny i Tymona, słyszała parę razy okropne historie o tym, jak składa się wnioski wizowe i na jakie pytania trzeba odpowiadać, żeby tę upragnioną wizę zdobyć.

Znalazła niewyraźną kserokopię wyniku badań, na formularzu po angielsku. Oryginał Grzegorz zapewne dołączył do wniosku o wizę.

Wynik ujemny. Niecałe trzy tygodnie przed ich pierwszym spotkaniem nie miał HIV! A skoro tak, to ona też go nie miała! Nie było innej możliwości!

– Zuza, obudź się. – Otworzyła drzwi do drugiego pokoju. – Zuza, nie uwierzysz, co odkry…

Nie dokończyła zdania. W łóżku Zuzy nie było nikogo. W łazience ani w kuchni też nie.

Znowu zniknęła. Tyle że tym razem uciekła z własnego domu.

Szlag by to trafił! Za dwie godziny powinny być na dworcu!

Nie miała pojęcia, gdzie jej szukać.

Bez przekonania wyjęła komórkę i wybrała numer dziewczyny.

– Ciii, nie mogę teraz rozmawiać. – Zuza jednak odebrała. I odpowiadała szeptem. – Jestem u taty w szpitalu. Za pół godziny będę w domu. Zdążymy na ten pociąg, nie martw się.

– Jadę po ciebie. Nie ruszaj się stamtąd! Bo znowu się gdzieś miniemy – zawołała Agata do telefonu. A potem wezwała taksówkę. Którą to już w ciągu ostatnich kilkunastu godzin?

– Będzie pani musiała poczekać trochę dłużej. – Dyspozytorka miała zdenerwowany głos. – Kierowcy tkwią w korkach.

– O czwartej w nocy? – roześmiała się Agata.

– Jest śnieżyca. Miasto nieprzejezdne – powiedziała z wyrzutem kobieta. – Nie zauważyła pani?

Agata spojrzała za okno.

Z ciemnego nieba nieprzerwanie leciały białe płatki. Wirowały w świetle jedynej latarni stojącej pod kamienicą. Wszystkie samochody przykryte były białymi pierzynami.

Filip na pewno się cieszy – pomyślała. – Wieczorem w końcu ulepimy w ogrodzie tego bałwana, którego mu obiecałam…

Rozdział 33
Brakujący numer

Gdy w końcu znalazła klucze, wydostała się z mieszkania Grzegorza i Zuzy, doczekała się taksówki i dotarła pod szpital, wydawało jej się, że najtrudniejszy etap ma już za sobą. Zupełnie nie pomyślała, że znalezienie sali, w której leży Grzegorz, nie będzie wcale łatwiejsze niż przejechanie przez zaśnieżone centrum miasta.

Zuza nie odbierała komórki. Po dziesięciu czy dwunastu próbach połączenia się z nią, Agata podeszła do recepcji i zapytała najmilej, jak umiała:

– Czy mogłaby mi pani powiedzieć, gdzie leży mój mąż, Grzegorz Ratyński? Córka właśnie u niego siedzi…

Blondynka w zielonym mundurku z początku wydawała się nawet miła… ale potem zaczęła się wpatrywać w monitor z taką miną, że przez chwilę Agacie się wydawało, że zaraz usłyszy: „Tu nie leży żaden Grzegorz Ratyński”. Czekanie ciągnęło się w nieskończoność. Czy to możliwe, że Zuza wymyśliła wszystko, łącznie z wypadkiem ojca? Że wciągnęła Agatę w jakąś gęstą sieć kłamstw? Tylko po co?

– Mąż, tak? – Kobieta oderwała wreszcie wzrok od komputera. – Wie pani, że on tu leży od października? A pani przychodzi po raz pierwszy w drugim tygodniu lutego?

Co to miało być? Szpital czy komisja obrony wartości rodzinnych?

– Pani komentarze są nie na miejscu. – Starała się zachować spokój. – Może byłam za granicą? Może nie wiedziałam o wypadku? Proszę tylko podać mi numer sali. Naprawdę się śpieszę.

– Do tej pory za bardzo się pani nie śpieszyła – warknęła blondynka. – Proponuję więc poczekać jeszcze trochę. Mamy teraz ciszę nocną, to nie jest dobra pora na odwiedziny.

Agata zaczęła się śmiać. Co ten babsztyl sobie wyobraża? „Do tej pory się pani nie śpieszyła”! Też coś! Z samego rana zadzwoni do dyrektora szpitala i powie mu, że recepcjonistka stanowczo przekracza swoje kompetencje. Teraz jednak musiała się z nią dogadać.

– Moja córka czeka na mnie w środku… – Spróbowała z innej strony.

Blondynka znów spojrzała w komputer i uśmiechnęła się krzywo.

– Matka PANI córki przebywa za granicą, z tego co mi wiadomo. Ile matek ma więc ta dziewczynka?

Usiadła w szpitalnym holu zrezygnowana. Nie wygra z wszystko wiedzącą recepcjonistką! Nie ma szans. Ale przecież wcześniej czy później Zuza będzie musiała wyjść z budynku.

Wyjęła komórkę, napisała do niej SMS-a: *Czekam na dole* i zamknęła oczy. Tylko na momencik.

– Agata? Obudź się! – Zuza potrząsała jej ramieniem. – Agata, ten pociąg to już chyba nam uciekł?

Na dworze było już całkiem jasno. Spojrzała na zegarek. O nie! Ósma osiem! Czy to możliwe, że przespała tu prawie trzy godziny?

– Muszę zadzwonić do Poli. Niech zrobi studentom egzamin pisemny. Muszę zadzwonić do Marcina – wyliczała pod nosem. – Muszę… Co ja jeszcze muszę? Muszę wrócić do domu! Jak najszybciej!

Dojechały do Warszawy, gdy zapadał zmrok. Zerwana trakcja sprawiła, że pociąg jechał bardzo powoli. I bardzo okrężną drogą.

– Mamusiu, nareszcie! – Filip wybiegł na próg w kapciach i mocno się do niej przytulił. – Jak ja za tobą tęskniłem.

Zuza stała krok za nią. Niemal niewidoczna.

Ale chłopiec natychmiast ją zauważył.

– Dobrze, że wróciłaś z mamą – powiedział, wskakując w głęboki śnieg leżący na schodkach i rzucając się jej na szyję. – Moja Zuzia…

Tego dnia wreszcie ulepili bałwana. A właściwie dwa bałwany: chłopca i dziewczynkę trzymających się za ręce.

– Było super – powiedział Filip, kiedy szedł spać.

A potem wyznał nagle:

– Mamusiu, ja mam takie marzenie…

Prawdę mówiąc, „marzenie” brzmiało bardziej jak „malenie”, ale od razu zrozumiała, o co chodzi.

– Jakie, synku? – Przeraziła się, że poprosi o coś, czego nie może mu dać. A raczej o kogoś: o Zuzę. Wiedziała, że marzy o takiej siostrze jak ona. O tym, żeby została z nimi na zawsze. I lepiła kolejne bałwany.

– Chciałbym mieć komórkę.

– Komórkę? – W pierwszej chwili poczuła ulgę i zaczęła się śmiać. Chciał po prostu mieć telefon, jak koledzy z klasy!

– Taką z Internetem i z aparatem – dodał.

– Chyba nie ma już innych. – Westchnęła.

I nagle ulga zniknęła. Pojawiły się straszne wizje. Niewłaściwe znajomości. Pedofil podszywający się pod małego chłopca, który szuka przyjaciela. Ktoś, kto wyciągnie z Filipa PIN-y do kart, informacje o tym, gdzie Agata trzyma swoją biżuterię… Co prawda na razie Filip nie znał tych PIN-ów i nie interesował się miejscem przechowywania bransoletek i pierścionków, ale kto wie, co będzie za rok czy dwa?

– Po co ci ta komórka? – zapytała ostrożnie.

– Żeby do Zuzi dzwonić, jak już od nas wyjedzie – powiedział Filip poważnie. – I wysyłać jej zdjęcia. Będę za nią tęsknić.

– Ja też – odparła Agata, nieoczekiwanie nawet dla samej siebie. – Ja też, synku.

Jej mózg znowu szukał odpowiedzi wtedy, gdy zajmowała się czymś zupełnie innym. Wychodziła z pokoju Filipa po tej rozmowie o bałwanach i telefonach, gdy nagle dotarło do niej, czego brakuje w komórce Grzegorza.

– Zuza, co się dzieje z twoją babcią? – zapytała, gdy Marcin poszedł pod prysznic.

– A co ma się dziać? – Dziewczyna udawała bardzo zajętą szukaniem czegoś w kieszeni.

– Zuza… bądź ze mną szczera. Twój tata nie ma w komórce numeru do babci. Ty jeździsz, dokąd chcesz… Co się z nią dzieje?

Widać było, że Kropeczka mocuje się ze sobą samą. Chciała skłamać… ale chyba nie miała już siły. Agata już nic nie mówiąc, czekała, aż będzie gotowa.

– Babcia umarła pięć lat temu – powiedziała wreszcie, patrząc w ścianę. – Ale w szkole nikt o tym nie wie. Wmówiłam im, że jestem pod jej opieką. Nie sprawdzali. Koleżanka napisała mi liścik od niej, że przeprasza, ale nie może być na zebraniu rodziców. Łyknęli to. Przynajmniej na razie.

– Po co to robisz?

– Nie wiesz? – Zuza wstała z krzesła i zaczęła chodzić po kuchni. – Muszę kłamać. Żeby mnie nie zabrali do domu dziecka. Nie pozwolą mi mieszkać samej, prawda? A w całym Poznaniu nie ma nikogo, kto mógłby się mną zająć! Nikogo! Brat mamy jest taki sam jak ona. Nawet nie wiem, gdzie teraz mieszka. A siostra taty przeniosła się rok temu do Gdańska i urodziła bliźniaki. Nawet nie zadzwoniła zapytać, czy czegoś mi nie potrzeba. Przysłała tylko SMS-a: „Trzymaj się”. I podpisała mi dwa pisemka do szpitala: jedno, że się zgadza, żeby zrobić mi test na HIV, a drugie, żebym mogła przychodzić do taty bez żadnych ograniczeń. Wysłała je pocztą. Nawet nie poleconym, bo nie miała czasu stać w kolejce! Potem już się nie odezwała ani razu.

Agata wiedziała, że nie powinna składać takich deklaracji bez porozumienia z Marcinem. Ale nie mogła czekać. Zresztą… tak naprawdę obiecała to przecież już osiem lat temu. Teraz po prostu przyszła pora, żeby dotrzymać słowa.

– Zostaniesz u nas, dopóki tata nie wyjdzie ze szpitala – powiedziała, przytulając

Kropeczkę do siebie. – Zostaniesz, jak długo będziesz chciała. Załatwię wszystko zgodnie z prawem. Jestem pedagogiem. Terapeutą. Nauczycielem. Komu mieliby dać dziecko pod opiekę, jeśli nie mnie?

– Nie jesteś na mnie zła? – zapytała Zuza z niedowierzaniem.

– Jestem zła. Jestem wściekła. I mam bardzo dużo pytań. O to twoje jeżdżenie po całej Polsce bez opieki. O to, jakim cudem wiedziałaś o podróży do Włoch... Skąd miałaś mój adres...

Zuza nie odezwała się ani słowem. Znowu w skupieniu patrzyła w ścianę.

Agata miała ochotę przetrzepać jej tyłek. Powstrzymała się jednak. Policzyła do siedmiu, wzięła głęboki oddech. Wiedziała, że Kropeczka opowie wszystko sama, kiedy będzie gotowa.

– Pogadamy o tym kiedy indziej. Mamy czas. Teraz idź spać. Na kanapę. Jutro przygotujemy ci prawdziwy pokój...

Rozdział 34
Trzynastego w piątek

W piątek od samego rana na uczelni panowało prawdziwe szaleństwo. Studenci przebrani za amorki biegali po korytarzach z kartonami obklejonymi folią aluminiową i kolorowymi napisami „Poczta walentynkowa”. Wszędzie wisiały czerwone serduszka, czerwone baloniki. Nawet w bufecie… starym, dobrym bufecie, który opierał się wszystkim modom i przez okrągły rok serwował leniwe, schabowego z zasmażaną kapustką i najlepszy na świecie barszcz czerwony z uszkami, teraz wywieszono menu walentynkowe. Wypisane – jakżeby inaczej! – czerwoną kredą.

Agata czuła, że ma dość.

Jest trzynasty lutego! Nie czternasty! Trzynasty piątek, pechowy dzień! – chciała krzyczeć. Ale i tak pewnie nikt by jej nie usłyszał w tym zamieszaniu, wśród salw śmiechu, pękających balonów i rozrywanych kopert z walentynkowymi kartkami.

No tak… w sobotę każdy będzie świętował romantycznie i namiętnie, ze swoim ukochanym. Walentynki uczelniane musiały się odbywać w dzień powszedni.

Spojrzała na zegarek. Jeszcze tylko jedna, ostatnia na dziś grupa drugoroczniaków i pojedzie po wynik testu. Wóz albo przewóz. Za dwie godziny wszystko będzie jasne.

Podniosła oczy znad parkometru, czekając, aż ten wypluje bilet i… Nie, musiało jej się wydawać. Mocno zacisnęła powieki i gwałtownie je otworzyła. Dziwna postać, idąca w jej stronę, nie zniknęła.

– Na co pani czeka? Niech pani bierze ten bilet i da mi wrzucić monety! – Jakiś chłopak za jej plecami przestępował niecierpliwie z nogi na nogę.

Posłusznie zabrała bilet parkingowy i odsunęła się od maszyny.

Postać, którą przed chwilą dostrzegła, była z każdą chwilą coraz bliżej. Szła prosto do niej. Co to miało być? Jakaś zjawa wypominająca jej grzechy, jak w *Opowieści wigilijnej* albo w *Dziadach* Mickiewicza? A może to był *Kordian*, a nie *Dziady*? Z emocji całkiem mieszało jej się w głowie.

Dwa kroki od niej stała gigantyczna, mniej więcej czterometrowa prezerwatywa.

Była wielka, czerwona i uśmiechnięta od ucha do ucha. Chociaż, oczywiście, nie miała uszu.

– Czego chcesz? – zapytała Agata, chwiejąc się na nogach.

Z lewego boku prezerwatywy wysunęła się ręka w zielonej rękawiczce i wcisnęła jej czerwoną kartkę zadrukowaną drobnymi literkami.

– Świętujemy dziś Międzynarodowy Dzień Prezerwatywy! – zawołały nagle jakieś dziewczyny, podbiegając do niej z drugiej strony parkingu. – Proszę wziąć naszą ulotkę, są na niej informacje o tym, dlaczego warto zawsze mieć prezerwatywy przy sobie. I jedna prezerwatywa dla pani, na wszelki wypadek. Chyba że chciałaby pani więcej?

– Nie, dziękuję. – Wsunęła ulotkę z kondomem głęboko do kieszeni.

– Proszę wziąć jeszcze ten spis wszystkich punktów konsultacyjno-diagnostycznych, gdzie można zrobić test na HIV. – Dziewczyna wcisnęła jej kolejną kartkę. Gigantyczna prezerwatywa nie przestawała się uśmiechać.

– Dziś niektóre punkty są czynne do północy! Warto skorzystać! – odezwał się stłumiony głos z wnętrza tego dziwacznego stworzenia.

– Dziękuję, bardzo dziękuję.

Pobiegła przed siebie. W bramę, której adres na pewno był na ulotce tkwiącej w jej kieszeni. Chciała już dostać ten wynik. Wiedzieć. Porozmawiać z Marcinem. I żyć dalej, bez względu na to, czy jest seropozytywna, czy nie. Najgorsza była ta niepewność. I wyobrażanie sobie coraz gorszych scenariuszy.

W poczekalni, która przy jej poprzednich wizytach była całkowicie pusta, kłębił się tłum.

Rozchichotane pary czekały, by zrobić test. W walentynkowym prezencie, dla siebie nawzajem. Podobała jej się ta nowa moda.

Roześmiani wolontariusze wbiegali co chwilę, żeby wziąć świeżą porcję ulotek do rozdawania na ulicy.

– Ktoś z państwa po wynik? – zapytał chłopak z wąsikiem à la trzej muszkieterowie, wychylając się zza zielonych drzwi.

Tylko ona jedna podniosła się z miejsca i poszła za nim.

Zebrany tłumek patrzył na nią ciekawie.

Pewnie myślą, że jestem za stara, żeby uprawiać seks – uśmiechnęła się pod nosem.

Nie powinna wychodzić w takim stanie na ulicę. Po policzkach ciekły jej łzy. Nie widziała prawie nic, potrącała roześmianych, zakochanych ludzi biegnących do kina, do kawiarni albo do domu, żeby kochać się do białego rana. Przez okno empiku widziała tłumy wybierające kartki, czekoladki, książki i płyty w prezencie dla ukochanej osoby.

Zaraz wracam. Kocham cię. Przepraszam za wszystko, co ostatnio się działo – napisała do Marcina.

I nagle uświadomiła sobie, że nie kupiła mu nic na walentynki. Ani na rocznicę ślubu.

Weszła do empiku razem z kilkunastoma innymi osobami.

Na pewno znajdzie coś szczególnego. Na pewno. Jeśli tylko uda jej się przestać płakać…

Rozmawiali tej nocy prawie do świtu.

– To był jeden z najtrudniejszych tygodni w moim życiu – powiedziała, kiedy Filip i Zuza wreszcie poszli spać. – Powiem ci to tak prosto i krótko, jak potrafię. Zuza przyjechała oświadczyć mi, że Grzegorz ma HIV. Wiedziała, że byliśmy kiedyś razem. Chciała mnie ostrzec. Namówić, żebym zrobiła badanie.

To była tylko część prawdy. Wiedziała, że Zuza przyjechała także po to, żeby poprosić Agatę o pomoc. Żeby sprawdzić, czy zajmie się nią, tak jak obiecała osiem lat temu. Nie miała przecież już nikogo oprócz niej.

Marcin słuchał bez słowa opowieści o tym, dlaczego się wściekła, kiedy porwał ją do Włoch. Przecież chciała zrobić test, a nie jechać na drugi koniec Europy! W dodatku z mężem, który marzy, żeby obsypać ją pocałunkami w hamaku wiszącym wśród palm…

– Kochaliśmy się już setki razy. – Parsknął śmiechem. – Gdybym miał się zakazić, zakaziłbym się wcześniej. Nie pomyślałaś o tym?

Oczywiście, że pomyślała. I to ile razy. Ale nie umiała się przełamać. Jeśli istniał cień szansy, że do tej pory go nie zakaziła… Nie, nie mogła tego zrobić ze świadomością, że może stanowić dla niego śmiertelne zagrożenie.

Opowiedziała mu o pierwszym teście i wyniku, który powiedział: „Tak, możesz mieć HIV”. I o czekaniu przez pięć dni na potwierdzenie.

– Dopiero dziś się dowiedziałam, że jestem zdrowa. – Przytuliła się do niego.

Patrzył na nią i z niedowierzaniem kręcił głową.

– Dlaczego się uparłaś, żeby przejść przez to wszystko beze mnie? – zapytał. – Dlaczego nie umiałaś mi zaufać i powiedzieć: „Cała nasza rodzina może być seropozytywna”? Myślałaś, że będę zazdrosny o przeszłość? Szalałem z niepokoju, bo myślałem, że znowu się z nim spotykasz! Gdybyś mi powiedziała, że chodzi tylko o tę historię sprzed ośmiu lat, czułbym ulgę.

– Tak ci się tylko wydaje. – Westchnęła. – Dopóki nie usłyszysz, że możesz mieć HIV… że możesz żyć z wirusem od lat i nic o tym nie wiedzieć… że może z nim żyć twoje dziecko… Nie wiesz, jak to jest. To koszmar, którego chciałam ci oszczędzić.

Łzy płynęły na jego piżamę. Nie powstrzymywała ich. W końcu mogła wypłakać z siebie wszystko, co zebrało się przez ten długi, upiorny czas.

Obudził ją szmer. Bardzo delikatny. Skrzypnięcie drzwi i szybkie kroki na schodach.

Serce skoczyło jej do gardła. Miała nerwy w strzępkach. Usiadła na łóżku i roześmiała się głośno. Pociągnęła Marcina za rękaw.

– Zobacz, co zrobili!

Na podłodze stała taca ze śniadaniem. Na niej kawa w czerwonych kubeczkach, czerwona szynka i czerwony dżem na kanapkach. I karteczka z napisem: „Szczęśliwych walentynek”.

– Dzieciaki… – Marcin uśmiechnął się, całując ją prosto w usta. Wreszcie nie musiała się opierać.

A czerwony kolor znowu kojarzył jej się po prostu z dniem zakochanych, a nie z wstążeczką wpinaną w klapę pierwszego grudnia.

Rozdział 35
Tulipany

Wybiegła z pracy. Szpilki stukały, gdy pędziła po krzywym chodniku. Miała tylko półtorej godziny. Jak na złość, w każdą środę prowadziła zajęcia od rana do wieczora. Z tym jednym jedynym okienkiem w południe. A przecież musiała być tego dnia na Powązkach, przy grobie Gochy. Jak co roku.

Minęło już prawie siedem lat, a wciąż nie mogła się pogodzić z jej śmiercią. Tak bardzo brakowało jej tych długich rozmów. I przelotnych spotkań nad filiżanką kawy między ćwiczeniami z kolejnymi grupami studentów.

Kupiła bukiet tulipanów. Gośka miała urodziny w lutym, zaraz po walentynkach. Zawsze dostawała mnóstwo tulipanów.

– Ale tylko ty wiesz, że najbardziej lubię poszarpane żółto-czerwone – mówiła do Agaty.

– Papuzie – poprawiała ją Agata.

– Może i papuzie – zgadzała się Gocha. A potem i tak mówiła o nich „poszarpane”.

Zawsze kupowała jej na urodziny wielki bukiet tych papuzich. Wszystkie inne Gośka zabierała do domu, a papuzie, te od Agaty, zostawały na biurku w pracy. Taka ich mała wspólna tradycja.

Siedem lat temu, w lutym, Agaty przez jakiś czas nie było w pracy. Wzięła urlop od walentynek prawie do końca miesiąca i spędzała miesiąc miodowy z Marcinem na remontowaniu mieszkania. W dniu urodzin Gośki nie miała czasu pojechać na uczelnię. Akurat przyszła ekipa do zamontowania szafy wnękowej. Potrzebowali przecież miejsca na ubrania Marcina. Papiery Marcina. Filmy i płyty Marcina.

Zamówiła więc pocztę kwiatową. Pięć razy powtórzyła, że tulipany muszą być papuzie. Zapewnili, że będą.

Nie zauważyła nawet, że Gocha nie zadzwoniła podziękować.

Wróciła do pracy cztery dni później. Na biurku Gośki leżały zwiędłe tulipany. Żółto-czerwone, ale bez poszarpanych brzegów.

Gochy nie było. Nie odbierała telefonu.

– Mąż przywiózł jej zwolnienie lekarskie. Ma jej nie być do końca semestru,

zorganizowaliśmy już zastępstwa – powiedziała pani Bożenka w kadrach.

Do końca semestru? Przecież ten semestr dopiero się zaczynał!

Z najwyższym trudem poprowadziła zajęcia. Sama nie wiedziała, co mówi. Oddała więc pałeczkę studentom. Poprosiła, żeby każdy się przedstawił i powiedział coś o sobie. Kiepski chwyt, ale zawsze działał. Zapewniał półtorej godziny spokoju. Powtórzyła ten scenariusz cztery razy, z czterema grupami pierwszoroczniaków, a potem popędziła na przystanek.

Nacisnęła domofon trzy razy.

– Halo? – odezwał się synek Gośki. Chyba synek? W tym wieku chłopcy i dziewczynki brzmią przecież niemal identycznie.

– Tu ciocia Agata. Wpuść mnie – poprosiła.

– Nie wolno mi nikogo wpuszczać. Jesteśmy z Kasią sami – oświadczył Bartuś, chyba niezbyt rozsądnie. Jego głos z domofonu słychać było przecież na całej ulicy. I wszyscy już wiedzieli, że dzieci zostały w domu bez rodziców.

– Bartuś, rodzicom na pewno chodziło o to, żebyście nie wpuszczali obcych. A ja nie jestem obca – próbowała go przekonać.

Malec jednak był nieugięty.

– Nie potrafię otworzyć tej zasuwy. Musisz, ciocia, poczekać, aż wróci tata.

– A kiedy wróci?

– Nie wiem. Jest u mamy w szpitalu.

– W którym szpitalu?

– Nie wiem.

– A co jest mamie? – Zaryzykowała, nie licząc na precyzyjną odpowiedź. Ale może dowie się przynajmniej, czy chodzi o złamaną nogę, czy o jakieś problemy z sercem? Kilka lat temu na badaniach okresowych u Gochy zdiagnozowano arytmię. Może to z jej powodu musiała zrobić przerwę w pracy?

Chłopczyk milczał, zapytała więc jeszcze raz:

– Bartuś, wiesz, co jest mamie?

– Wiem. Ona umiera.

Wtedy go zapewniała, że na pewno coś źle zrozumiał. I że mamusia niedługo wróci. Ale ona nie wróciła. Umarła jedenaście dni później na ostrą białaczkę szpikową. Postępowała błyskawicznie, z godziny na godzinę. Lekarze nie mogli nic zrobić.

Nie zdążyły już porozmawiać. Mąż Gochy prosił, żeby nie burzyła jej spokoju. Mówił, że i tak nikogo już nie poznaje.

Do dziś się zastanawiała, czy to nie był błąd. Czy Gocha nie chciałaby jednak jej zobaczyć. Usłyszeć, jak bardzo była dla niej ważna.

Stanęła nad grobem z wielkim bukietem tulipanów. Takich poszarpanych, jakie lubiła najbardziej. Kupowała je teraz dwa razy w roku. Na urodziny Gośki i na

rocznicę śmierci, dwa tygodnie później…

Ale co to? Obok nazwiska i daty śmierci Gochy pojawiła się druga, świeża tabliczka! Wojtek? Jej mąż? Tak, umarł niecały miesiąc temu. Nie do wiary!

Zdziwiła się, że nikt jej nie powiedział. Ale właściwie kto miałby ją zawiadomić? Dzieci Gośki pewnie już jej nie pamiętały. Nie mieli zbyt wielu wspólnych znajomych. Po śmierci żony Wojtek zmienił mieszkanie, nie znała nawet jego numeru telefonu.

– Agata? – Jakaś kobieta w kurtce z kapturem przyglądała się jej z boku. – Dzwoniłam do ciebie na uczelnię, ale powiedzieli mi, że jesteś we Włoszech. Chciałam opić śmierć tego chuja. Nareszcie! I tak długo pożył, nie?

– Czy my się znamy? – Zmrużyła oczy, ale nie mogła skojarzyć tego głosu ani twarzy. Może gdyby zdjęła kaptur…

– Agata, no co ty? – Kobieta się roześmiała, odrzucając głowę do tyłu. Dokładnie tak jak Gośka.

– Weronika?!

No jasne. To mogła być tylko ona. Młodsza, zbuntowana siostra Gochy. Niespokojny duch, podróżujący autostopem dookoła świata. Nawet na pogrzeb siostry spóźniła się o dwa dni. Była akurat w Kambodży.

– Nie lubiłaś Wojtka? – Zdziwiła się. Myślała, że wszyscy go lubią. Zwłaszcza kobiety. Szarmancki, uroczy, uwodzicielski…

– Nie lubiłam? – prychnęła Weronika, a kaptur spadł z jej głowy, pokazując włosy obcięte na jeżyka. Wyglądała z tą fryzurą jak drobny chłopak, a nie kobieta po trzydziestce. Ostatnim razem, kiedy się widziały, miała włosy do pasa.

– Wiem, że różnie im się z Gochą układało… – powiedziała Agata ostrożnie.

– Różnie układało? – Dziewczyna zaczęła przestawiać nerwowo znicze z miejsca na miejsce, bez żadnego planu. – Przecież przyjaźniłaś się z Gośką! Musiałaś wiedzieć, że on złamał jej serce. Zdradzał ją z sekretarką… ze swoimi pracownicami… z jakimiś panienkami z Internetu. Długo mu wierzyła. Za długo! Ale w końcu ją przekonałam, żeby przejrzała komórkę i notebooka tego chuja. No i znalazła. Znalazła więcej, niż powinna.

– Cholera jasna – syknęła Agata. Nie wiedziała, że jest aż tak źle. Owszem, Gośka czasami mówiła, że podejrzewa Wojtka o romans. Ale nigdy nie powiedziała, że ma dowody.

– Chciała wziąć rozwód. Namawiałam ją z całego serca. A ty nie?

Agata przygryzła wargę. Jak to się stało? Przecież zawsze były sobie takie bliskie. Zawsze… aż do tego dnia, gdy zakochała się w Grzegorzu. Przekonana, że Gocha nie zrozumie tego szaleństwa, ukrywała przed nią swój romans. To wtedy zaczęły się od siebie oddalać. Potem wyjechała na cztery miesiące na stypendium do Anglii. Tam poznała Marcina. Tym razem nie ukrywała niczego. Opowiadała Gośce o każdej

randce, każdym wyznaniu, pierwszym pocałunku, planach na przyszłość. Dopiero teraz sobie przypomniała, że przyjaciółka nie cieszyła się tak, jak powinna. Że siedziała przy biurku blada, z podkrążonymi oczami, i kiwała głową, udając, że słucha.

– Jak mogłam nie zauważyć, co się z nią dzieje? – wyrzucała sobie teraz. – Byłam pewna, że to zwykłe domowe kłopoty, jakieś choroby dzieci. No i problemy z doktoratem, którego wciąż nie mogła skończyć. Nie przypuszczałam, że potrzebuje wsparcia, nigdy o nie przecież nie poprosiła.

– Była mu wierna przez całe życie! Był jej pierwszym i jedynym facetem! – Weronika wyraźnie się rozkręcała. – A on co? On bzykał wszystko, co się trafiło! I nawet się nie zabezpieczał. Głupi chuj! – Kopnęła w nagrobek. – To przez ciebie umarła, słyszysz, ty gnido?

– O czym ty mówisz? – Oczy Agaty rozszerzyły się gwałtownie. – Przecież to była białaczka?

– Tak ci powiedział? Ha, ha, ha! – Weronika podniosła z grobu jakieś kwiatki i zaczęła obrywać z nich listki. – Białaczka, jasne! Nie miał nawet odwagi, żeby ci się przyznać, że to przez niego zachorowała na AIDS!

– AIDS? – Agata miała wrażenie, że zaraz upadnie. – Gocha umarła na AIDS?

– Rany, Agata, ty naprawdę o niczym nie miałaś pojęcia! Kompletnie o niczym! Jakim cudem…? Musimy się spotkać na kawę, opowiem ci wszystko, co wiem. Sam dowiedział się o tym, że ma HIV, dzięki jej śmierci! I co? Brał leki i nic mu nie dolegało. Nic! Był jak młody bóg. Żadnych problemów, żadnego siwego włosa, panienki wciąż za nim szalały. Gdyby nie wysiadło mu serce, to mógł pożyć do osiemdziesiątki. Ty wiesz, jakie oni teraz mają świetne leki dla ludzi z HIV? Mogą nigdy nie zachorować na AIDS. Masz pojęcie?

– Tak, tak – przytakiwała jej mechanicznie, jak kiedyś Gośka, słuchając o Marcinie i oglądając pierścionek zaręczynowy Agaty.

– Gośka nie miała takiej szansy. Nie wiedziała, że jest chora. Nie spodziewała się. Ty wiesz, że ona straciła cnotę dopiero w noc poślubną?

– Co? Tak, wiem, wiem…

– Myślałam, że los nigdy się na nim nie zemści! Ale dopadł go zawał! Co za ulga! Jak o tym usłyszałam, kupiłam najdroższego szampana! Musisz do nas przyjść, zobaczysz, jak dzieciaki urosły. Bo wiesz, teraz Bartek i Kasia są ze mną. Dobre, co? Nagle zostałam mamą nastolatków. Wyobrażasz sobie, jak to jest?

– Wyobrażam – powiedziała. Przed oczyma stanęła jej Kropeczka i coś ścisnęło ją za serce.

– Agata, muszę lecieć. Sorry. Ale zadzwoń, spotkamy się na kawę. Pamiętaj!

– Boże… Boże, tak, koniecznie. – Spojrzała na zegarek, próbowała zebrać się w sobie. – Tak. Ja też muszę wracać na uczelnię.

Dopiero w bramie cmentarza zauważyła, że nie zostawiła tych tulipanów na grobie Gośki. Nie miała już czasu, żeby tam wracać. Położyła je na jakiejś zaniedbanej mogile z przekrzywionym krzyżem. Do Gochy wróci w weekend, kiedy trochę uporządkuje myśli.

Myśli jednak wcale nie chciały się uporządkować. Wciąż nic z tego nie rozumiała. Dwie osoby, które kiedyś były jej bardzo bliskie, miały we krwi wirus HIV. Jedna już nie żyła. Druga wciąż leżała nieprzytomna.

Dwie osoby… Jedynym łącznikiem między nimi była ona sama.

Ale przecież HIV nie przenosi się na ubraniu ani nie czai się w powietrzu.

W powietrzu… Znowu coś nie dawało jej spokoju. Miała to na końcu języka, ale nie mogła sobie przypomnieć.

Nie miała już żadnego pomysłu. Nie widziała żadnego połączenia.

Myślała o tym całymi dniami. Bez skutku.

Któregoś ranka, gdy była sama w domu, wyjęła z szuflady zdjęcie Kropeczki, z kotem na kolanach. Jedyną pamiątkę tamtych dni. Ale co ono mogło jej podpowiedzieć? Co mówiło, oprócz tego, że powinna była założyć dziecku czapkę, zanim wypuściła je na dwór w taką pogodę?

Zuzia wyglądała na taką szczęśliwą. Nawet jej czarne oczy lśniły jakimś blaskiem. Kot na tym zdjęciu miał zamknięte oczy, ale pamiętała, że były niezwykłe. Jedno oko Alfreda wydawało się zielone, a drugie niebieskie.

Widziała gdzieś jeszcze takie kocie oczy. Ale gdzie?

Nie mogła sobie przypomnieć. To musiało mieć coś wspólnego z Grzegorzem. Postanowiła jeszcze raz przejrzeć listę jego kontaktów. Bez większej nadziei włączyła stary telefon, ten, w którym tkwiła karta z rozbitej komórki. Nie zareagował. No jasne, nie ładowała w nim baterii od tamtej wycieczki do Poznania.

Szybko znalazła ładowarkę, podłączyła i…

Nagle wiedziała!

Przypomniała sobie zasypany śniegiem ogród i czarnego kota patrzącego na nią przez szybę. Kota, który śmignął w progu koło jej nóg, a potem siedział przy furtce i gapił się w dal. Identycznego, z białą łatką na uchu i dziwnymi, dwukolorowymi oczami.

Szybko znalazła numer Hanny.

Odebrała po drugim sygnale.

– Nie wiem, czy mnie pani pamięta. Nazywam się Agata Marks. Byłam u pani miesiąc temu…

– Już pani wie? – zapytała kobieta ciepłym głosem.

– O czym?

– O wszystkim. Już pani wie, jak to było?
– Nie jestem pewna, o czym pani mówi…
– Wydaje mi się, że powinnyśmy się spotkać.
Agata przełknęła ślinę.
– Tak, chyba tak. Czy mogę przyjechać jutro? Naprawdę bardzo mi zależy.
Nie była pewna, czy to właściwy trop. Ale nie miała żadnego innego.

Rozdział 36
Ostatnie pytanie

Z trudem poznała tę ulicę. W porannym słońcu, bez śnieżnych zasp, wyglądała zupełnie inaczej niż wtedy, gdy była tu po raz pierwszy.

Szlag, nie ma gdzie zaparkować! – pożałowała, że wzięła samochód. Nie chciała jednak ryzykować, że znowu gdzieś utknie na całą noc. Że spóźni się na pociąg. Że zerwie się trakcja. Chociaż wciąż miała w torebce klucze do mieszkania Grzegorza. Ot tak, na wszelki wypadek. Zuza nalegała, żeby je zatrzymała.

W ogrodzie, oczywiście, nie było już ani śladu po bajkowym, białym śniegu. Wyglądał teraz zupełnie zwyczajnie. Trochę smutno. Jak chyba każdy ogród na przedwiośniu.

Nie powiedziała Kropeczce, że tam jedzie. Wiedziała, że chciałaby jechać razem z nią. A ta rozmowa – jeśli faktycznie miała cokolwiek wyjaśnić – nie była raczej przeznaczona dla piętnastoletnich uszu. Nawet takich, które niejedno już słyszały.

Hanna zresztą już wtedy, za pierwszym razem, mówiła wyraźnie, że powinna przyjechać sama.

– Muszę tam jechać – powiedziała Marcinowi. Nie chciała niczego przed nim ukrywać. Już nie.

Przytulił ją i szepnął:

– Mam nadzieję, że wreszcie znajdziesz to, czego szukasz. I odzyskamy spokój.

Stała więc pod niebieskimi drzwiami, niepewna, czy powinna wejść. Wtedy, w lutym, Hanna czekała na nią na progu, w uchylonych drzwiach. Teraz jednak było inaczej.

Zapukała i popchnęła drzwi. Zaskrzypiały lekko i bardzo powoli się uchyliły.

– Wejdź, dziecinko. – Z kanapy dobiegł cichy głos.

Przeżyła szok.

Kobieta, którą przed kilkoma tygodniami wzięła za swoją rówieśnicę, wyglądała jak staruszka. Siedziała w szlafroku, przykryta kocem, bez cienia makijażu, z siwymi odrostami na włosach.

– Pani źle się czuje? – zapytała Agata.

– Zwyczajne przeziębienie, tylko strasznie długo się ciągnie. – Hanna westchnęła. – Jeden z lekarzy powiedział mi nawet, że jego zdaniem wcale nie chcę wyzdrowieć. Może coś w tym jest? Bo wiesz… od kiedy powiedziałaś mi o Grzesiu… o tym wypadku… od tamtej pory wcale nie chce mi się wstawać z kanapy. Ogarnęła mnie jakaś kompletnie niewytłumaczalna apatia...

Agata przez chwilę walczyła z pragnieniem, by wybiec z tego domu i o wszystkim zapomnieć.

Ale nie mogła.

Czuła, że jest blisko prawdy.

– Chciałabym, żebyś zabrała kota – powiedziała nagle kobieta. – Nie mam już siły się nim zajmować. Należał kiedyś do Zuzi, czas, żeby do niej wrócił.

Kot Zuzi! To naprawdę był on! Albert? Czy Alfred? Nigdy nie mogła tego zapamiętać!

– Przepraszam, że mówię do ciebie po imieniu. – Starsza pani się uśmiechnęła. – Ale wydaje mi się, jakbym dobrze cię znała. Grześ wszystko mi opowiedział.

– Grześ… Grzegorz opowiedział pani o mnie? – Agata była całkowicie zdezorientowana. – Ale dlaczego?

– Byłam nauczycielką Grzesia i jego siostry. – A więc Zuza dobrze ją rozpoznała. – Skończyli szkołę wiele lat temu. Ale wciąż wpadaliśmy na siebie od czasu do czasu na ulicy. Poznań to w gruncie rzeczy małe miasteczko, każdego wcześniej czy później spotkasz na zakupach albo w autobusie…

Opowieść Hanny, przerywana parzeniem kolejnych imbryczków herbaty i wyciąganiem z kredensu albumów ze starymi zdjęciami, snuła się nieśpiesznie. Agata starała się nie wtrącać, nie zadawać pytań, nie patrzeć na zegarek. To była także jej historia.

Hanna nie była pięknością. Nawet wtedy, gdy miała trzydzieści czy trzydzieści pięć lat. Miała jednak w sobie coś, co urzekało chłopców. Wiedziała, że podkochują się w niej licealiści z kolejnych roczników. Czasami dostawała od nich kartki na walentynki. Czasami znajdowała różyczkę za wycieraczką samochodu.

– Grześ nie był taki. Nie wyznawał mi uczuć, nie pisał liścików, nie przynosił kwiatków. On tylko patrzył, ale tak, że czułam się naga. – Roześmiała się cicho.

Agata pokiwała głową. Znała to jego spojrzenie. Też czasami czuła się przy nim całkiem naga, nawet w grubym swetrze.

Patrzył na Hannę przez całe cztery lata. Rozbierał wzrokiem. Pożerał. Stawał na korytarzu tak, żeby ją widzieć przez cały czas. Wiedziała, że szaleje na jej punkcie. Nigdy jednak nie posunął się dalej. Nie zagadał. Nie zapytał, czy może go podrzucić na przystanek. Nawet po maturze nie przyszedł podziękować i powiedzieć, ile dla

niego znaczyła, jak robili inni uczniowie. Trochę żałowała. Nie spotkała nigdy chłopca tak dojrzałego i tajemniczego jak on. Intrygował ją… Ciekawa była, jak potoczą się jego losy.

Potem wpadli na siebie kilka razy. Pierwszy raz, kiedy wracał z uczelni po zdanym egzaminie. Wyjątkowo trudnym. Szalał z radości, chciał zaprosić ją na kawę albo wino. Odmówiła. Po latach wpadła w centrum handlowym na niego i Magdę, która wtedy była w zaawansowanej ciąży, a Grzegorz patrzył na nią z taką miłością. I powtarzał: „Będę miał córeczkę! Wyobraża sobie pani, pani profesor?”.

Później widziała go jeszcze raz, z daleka. Niósł na rękach zapłakaną Zuzię. Przewróciła się na placu zabaw. Uspokajał ją, głaskał po głowie. Nie podeszła, żeby im nie przeszkadzać.

A potem przyszedł tamten grudzień, osiem lat temu. Tydzień czy dwa przed Bożym Narodzeniem. Miała wolny dzień, poszła więc na zakupy wcześnie rano, żeby uniknąć tłoku. I wpadła na niego na ulicy. Niosła torby z zakupami. Prezenty dla dzieci, mąka, cukier, pomarańcze… Bez ich zapachu nie wyobrażała sobie świąt.

Zaproponował, że pomoże jej wszystko zanieść do domu.

Nie miał pojęcia, gdzie mieszka, nie wiedział, że ma dwójkę niemal dorosłych dzieci, że jest wdową od wielu lat…

– Był zakatarzony, zgaszony, jak ja dzisiaj. Wyglądał jak kupka nieszczęścia. – Uśmiechnęła się do Agaty. – Zrobiłam mu gorące kakao. Postawiłam buty przy piecu, żeby wyschły. Zaczęliśmy rozmawiać… Zapytałam, co mu jest. Dlaczego jest taki smutny. A on po prostu się rozpłakał.

Opowiedział wtedy Hannie o wszystkim. O tym, że Magda odeszła, wyjechała na koniec świata. O cierpieniu Zuzi. O tym, że poznał przez przypadek fantastyczną kobietę. I że wszystko zepsuł.

– Płakał tak, że nic nie mogłam zrozumieć. Szlochał jak dziecko. Przytuliłam go więc do siebie… a wtedy… wtedy on…

Nie musiała opowiadać szczegółów. Agata mogła sobie wyobrazić nagły wybuch namiętności i czułości między tą parą. Z jednej strony on, rozczarowany całym światem… Z drugiej jego pierwsza wielka miłość, chodzący ideał, do którego wzdychał od pierwszej klasy liceum. Wdowa, która pewnie od lat nie uprawiała seksu… i pamiętała to jego spojrzenie, rozbierające ją przez cztery lata, dzień po dniu.

– Było pięknie. – W oczach Hanny zamigotały iskierki tęsknoty. – Wiem, że zabrzmię głupio, ale po tym, co się stało między nami, zrozumiałam, że straciłam całe życie. Mój mąż był wspaniałym człowiekiem. Ale kochankiem… Kochankiem wspaniałym był Grześ. To było bardzo… bardzo intensywne.

Agata pokiwała głową. Wiedziała, co ma na myśli. Dobre słowo: intensywne. Niewiele było przeżyć równie intensywnych, jak seks z Grzegorzem.

– Wygoniłam go potem z domu. Bałam się, że moje dzieci wrócą wcześniej ze

szkoły, że nakryją matkę w łóżku z uczniem. Byłym uczniem…

Grzegorz wrócił do niej następnego dnia. Przywiózł kota. Błagał, żeby się nim zajęła. Mówił, że nie może na niego patrzeć, że stracił do niego serce. Przyjęła kota pod swój dach. Zrobiła Grzegorzowi herbatę z malinami, a potem kochali się długo i namiętnie.

Już po wszystkim leżeli w łóżku, a on opowiadał jej dalszy ciąg tej historii. O tym, jak zakochał się w Agacie. Jakie maile do siebie pisali. Jak nie spał po nocach, wariując z miłości.

– A potem jechał po tę wizę amerykańską, na pewno o tym wiesz? – Hanna spojrzała na nią uważnie. – Do ambasady w Warszawie? I postanowił ci zrobić niespodziankę.

– Jaką niespodziankę? – Agata z trudem wydobyła z siebie głos.

– Nie opowiedział ci? Naprawdę? Byłam pewna, że w końcu wszystko ci wyznał… Tak strasznie się tym gryzł… Namawiałam go, żeby do ciebie zadzwonił…

Wolałaby usłyszeć tę historię z ust Grzegorza. Albo przeczytać w jego mailu, nie patrząc mu w oczy.

Ale usłyszała ją od Hanny. I nareszcie wszystkie cegiełki wskoczyły na właściwe miejsce.

Kupił wielki bukiet róż i pojechał na uczelnię. Chciał zaskoczyć Agatę. Spodziewała się wieczorem jego telefonu, a tu proszę, pojawia się on we własnej osobie. Wiedział, że jest zajęta, nie chciał jej przeszkadzać. Tylko podać te róże i wyjść. I zobaczyć ją przez moment.

Bez problemu dowiedział się na portierni, w którym pokoju pracuje. Wszedł bez pukania. Siedziała przy biurku, zatopiona w papierach. Tyłem do drzwi. Zanim się odwróciła, objął ją, położył róże na biurku i zaczął szeptać do ucha wszystkie wyznania, jakie przyszły mu do głowy.

Że to na nią czekał przez całe życie. Że zakochał się jak wariat. Że nie mógł czekać ani godziny dłużej. Że myśli o niej zasypiając, budząc się, prowadząc samochód. Że jest spełnieniem jego wszystkich marzeń.

Agata mogła sobie z łatwością wyobrazić, co mówił. Słyszała to przecież… kilkanaście dni później.

– Opowiadał mi, że była bardzo zaskoczona. – Hanna odwróciła wzrok. Wiedziała, że dla Agaty to jest bolesne. Nie wiedziała, że bolesne podwójnie. Bo przecież Gocha była jej przyjaciółką. – Wszystko złożył na karb tego, że nie spodziewała się jego wizyty na uczelni. Zaczął ją całować. Z początku odpychała go od siebie, ale potem…

– Wystarczy. – Agata nie chciała słyszeć ani słowa więcej. Wiedziała już dosyć. Wiedziała, jak załamana i przerażona była Gocha, kiedy się dowiedziała, że Wojtek ją zdradza. Był miłością jej życia. Poświęciła wiele dla tego małżeństwa. Zrezygnowała z wyjazdu do Stanów na stypendium. Z etatu na Uniwersytecie Jagiellońskim, bo

Wojtek nie znalazłby pracy w Krakowie. Wybiegała ze spotkań towarzyskich w pół zdania, jeśli zadzwonił i powiedział, że czeka. Była żoną doskonałą. A on zdradzał ją na prawo i lewo.

Grzegorz pojawił się z tymi kwiatami, zachwytem i wyznaniami w najlepszym możliwym momencie. To nie było w stylu Gochy. Seks z nieznajomym? Nie przypuszczała, że Gocha jest do tego zdolna. Musiała być naprawdę bardzo zraniona i wściekła, skoro zrobiła coś takiego. Może kochając się z nim na biurku… albo na podłodze… albo na obrotowym krześle… Może w ten sposób czuła, że wyrównuje rachunki z niewiernym mężem? Może chciała przez moment poczuć się znów pożądana? Bo przecież jej samoocena po tym, czego dowiedziała się o Wojtku, musiała lec w gruzach.

Zapomniała się na chwilę w ramionach namiętnego Grzegorza.

Łatwo było się w nich zapomnieć.

A on był czuły, cudowny, nie szczędził wspaniałych słów… Bo myślał, że kocha się z Agatą.

Mówił do niej „Perełko”, na pewno… tak jak pisał… tak jak mówił potem do Agaty… A więc aż do końca nie wiedziała, że zaszła pomyłka.

– W pewnej chwili zadzwoniłaś z prośbą, żeby ta dziewczyna sprawdziła, w której sali masz zajęcia. – Hanna westchnęła. – Zwróciła się do ciebie po imieniu, podeszła do twojego biurka, żeby poszukać rozpiski… Grześ zorientował się, co zrobił. A w dodatku… wiesz, ona chyba też wzięła go za kogoś innego. Gdy zobaczyła, że podrywa się z miejsca, zapytała, co się stało i… czekaj, czekaj, jakieś takie nietypowe imię… Carlos? August? „Co się stało, Carlos?”. Chyba tak.

– Cezar! Cezar, nie Carlos! Rany boskie! Ona myślała, że to Cezar! – Agata ukryła twarz w dłoniach.

Wiedziała, nareszcie, dlaczego Gocha tak łatwo uległa Grzegorzowi. Wiedziała już chyba wszystko.

Co za komedia pomyłek! Byłoby to nawet zabawne, gdyby nie fakt, że skończyło się tak tragicznie. Cezar, no tak… Gocha miała kiedyś adoratora imieniem Cezar. Widział ją na konferencji w Gdańsku czy w Katowicach. Był socjologiem, pisał doktorat. Pewnie rozmawiali chwilę na przerwie, przy kawie, ale w ogóle go nie zapamiętała. Na konferencjach spotyka się tyle osób. Za to on ją zapamiętał bardzo wyraźnie. Napisał do niej potem na służbową skrzynkę dwa albo trzy maile. Zaśmiewała się nad nimi z Agatą prawie do łez. Pisał, że jej prezentacja na temat edukacji muzealnej niepełnosprawnych zrobiła na nim kolosalne wrażenie. Ale jeszcze większe wrażenie zrobiła jej uroda, jej błękitne oczy i ciepły głos. Odgrażał się, że kiedyś, gdy będzie służbowo w Warszawie, wpadnie na uczelnię z kwiatami i zaprosi ją na herbatę. Spławiła go szybko, dosyć obcesowo. Nie odzywał się więcej. Ale gdy w pokoju pojawił się mężczyzna z kwiatami i zaczął mówić te wszystkie

komplementy… No tak, nic dziwnego, że Gocha uznała, że to Cezar.

Potrzebowała w tamtym momencie uwielbienia, zachwytu, chwili zapomnienia… I dostała to wszystko.

I nigdy się nie dowiedziała, od kogo!

Agata z trudem oderwała się od swoich myśli. Hanna opowiadała dalej:

– Grześ się zorientował, że zaszła koszmarna pomyłka. Szepnął tylko „przepraszam” i wybiegł przerażony z uczelni. Do wieczora chodził po ulicach. Gdyby nie Zuzia, pewnie by się zabił. Był załamany, naprawdę. Chciał po prostu dać ci kwiaty i spojrzeć w oczy, a skończyło się to taką katastrofą. Skrzywdził ciebie i tę dziewczynę, której imienia nigdy nie poznał.

– Gośka. Miała na imię Gośka – powiedziała Agata ze ściśniętym gardłem.

Nagle przypomniała sobie te kwiaty, które stały w wazonie na parapecie. Wielki bukiet róż. Myślała, że to Wojtek przysłał go Gośce, prosząc o wybaczenie. Ale było jeszcze coś… Delikatny zapach fajki, który unosił się w ich pokoju przez kilka dni. Dopiero teraz to sobie uświadomiła. Ten zapach w powietrzu! Znała go z uczelni! Tak długo ją to męczyło!

Wiedziała już wszystko. Wiedziała nareszcie, dlaczego Grzegorz napisał wtedy, że zrobił coś okropnego. Dlaczego błagał, żeby o nim zapomniała.

Wiedziała też, kto zakaził go HIV.

Roześmiała się z niedowierzaniem. Gocha. Co za ironia losu. Najwierniejsza żona świata. Kobieta, która nigdy nie kochała się z nikim oprócz swojego męża. To właśnie ona zakaziła Grzegorza wirusem, który potem zabił ją… a oszczędził jej męża.

– Porąbany jest ten świat. – Westchnęła. – I niesprawiedliwy.

– Bardzo cię kochał – powiedziała Hanna. – Naprawdę. Ale nie mógł sobie darować tego, co się stało. Był wściekły i… Nie wiem, czy to potwierdzisz… Przepraszam, wiem, że to bardzo intymna sprawa… Mówił mi, że był wobec ciebie brutalny. Że próbował kochać się z tobą tak mocno, jak nigdy z nikim. Żeby się w tym zatracić. Zapomnieć o tym, co się stało, choć na chwilę. Widział, że cierpisz. Że nie chcesz takiej miłości. Ale z tej wściekłości nie potrafił inaczej. Chciał też koniecznie zabrać cię z uczelni, z Warszawy, żeby nie spotkać już tej kobiety. Nie ranić jej, siebie, ciebie. Wszystko próbował robić z tobą szybciej, mocniej, intensywniej, żeby wymazać tamtą pomyłkę. Od razu zaproponował ci małżeństwo, tak? Opowiedział o tobie wszystkim znajomym, rodzinie. Teraz już wiesz dlaczego. Chciał udowodnić sobie i tobie, że tamto nic nie znaczy w obliczu waszej miłości. Tylko że w tym, co robił, było tak dużo złości… tak dużo, że nie mogło mu się udać.

To dlatego tak się zmienił. Teraz wreszcie Agata zaczęła to rozumieć. Po tych czterech dniach milczenia jego listy były zupełnie inne. Zniknęły delikatność, aluzje, dawanie czasu sobie i jej. Nie było miejsca na wahania. Grzegorz każdym swoim słowem, każdą decyzją próbował wykrzyczeć: „Liczysz się tylko ty! Nasza miłość

jest wyjątkowa”. Zakrzyczeć to, co stało się z Gochą, szaleństwem, zdecydowaniem, nawet agresją. A ona… ona zakochała się w tamtym pogubionym romantyku z pierwszych listów. I wciąż próbowała go odszukać.

– Mógł mi powiedzieć – szepnęła Agata. Ale wiedziała, że powiedzenie wszystkiego szczerze komuś, kogo się kocha, nie jest wcale proste. Ona przez tyle dni nie mogła się zdobyć na rozmowę z Marcinem.

Hanna namawiała Grzegorza, żeby zadzwonił i spróbował wszystko naprawić.

Agata nie zapytała, ile ją to kosztowało. Nie musiała.

– Nie zadzwonił do ciebie? – Hanna spojrzała na nią uważnie.

– Zadzwonił – pokiwała głową.

Zadzwonił, tak. Dwa czy trzy lata później. Proponował kawę. Odmówiła. Wtedy miała już Marcina i Filipa. Żadne wyjaśnienia nic by nie zmieniły. Nie było już powrotu do tego, co między nimi kiedyś zaistniało. Do szalonej, nierealnej, romantycznej miłości, która ostatecznie sprawiła wszystkim tyle bólu.

Grzegorz wciąż odwiedzał Hannę przynajmniej raz na tydzień. Odkąd przeszła na emeryturę – nawet częściej. Dzieci już się wyprowadziły, była więc sama w tym domku z niebieskimi drzwiami.

– Nigdy się nie łudziłam, że mnie kocha – powiedziała. – Kochał tylko Zuzię. No i ciebie. Ale byliśmy sobie potrzebni. Dwoje samotnych ludzi, którzy mogli o wszystkim porozmawiać i dać sobie trochę radości. Nie myślałam, że taka piękna przygoda spotka mnie w wieku, gdy inni myślą już o ciepłych bamboszach i wykupieniu miejsca na cmentarzu. Wiesz, we wrześniu spędził u mnie dwa dni, kiedy Zuzia była na wycieczce szkolnej. Całe dwa, cudowne dni.

Dwa dni we wrześniu! Kolejna cegiełka wskoczyła na swoje miejsce. Zuza mówiła przecież coś o wyjeździe, z którego Grzegorz wrócił zarośnięty i odmieniony. To musiało być właśnie wtedy. Tylko że nie miało nic wspólnego z Agatą.

– Po tych wspólnych dwóch dniach podjął podobno ważną decyzję. Chciał, żebym poznała Zuzię. Wyobrażasz sobie? Miał jakiś szalony plan, chciał zaprosić mnie na urodziny czy imieniny, jako swoją dobrą znajomą… przyjaciółkę sprzed lat. Nie wierzyłam, że naprawdę to zrobi, ale miło było słuchać, kiedy snuł te plany. Wiesz, seks z nim zawsze był cudowny, ale nie chodziło tylko o seks. Dawaliśmy sobie dużo dobrego. Ciepła, uwagi, przyjaźni…

– Ale przecież… – Agata nie miała odwagi tego powiedzieć. Musiała jednak. Musiała. – On przecież mógł panią zakazić! To może być HIV, a nie zwykłe przeziębienie, ciągnące się tygodniami!

Spojrzała na nią zdziwiona.

– HIV? Skąd ci to przyszło do głowy?

Ona nie wiedziała! Nie miała pojęcia!

Teraz więc Agata musiała opowiedzieć wszystko po kolei. O wizycie Zuzy w pewne zimowe popołudnie. O czekaniu na wynik testu, które trwało prawie tydzień. I gehennie, którą przeszła.

– HIV? Myślisz, że to moje przeziębienie to może być HIV? – Hanna poderwała się na równe nogi. Z apatii, o której wspominała na początku tej rozmowy, nie został już nawet ślad. – Nikt nie zaproponował mi testu. Owszem, dwaj lekarze pytali, czy mam męża. Odpowiedziałam, zgodnie z prawdą, że nie żyje od dwudziestu lat. Nie sądzili chyba, że wciąż uprawiam seks. Lekarze nie wierzą, że ludzie w moim wieku mogą mieć życie intymne. I to pozamałżeńskie! Nikomu nie przyszło do głowy, że to może być HIV! Moje dziecko, czy ty wiesz, gdzie można zrobić taki test? Może to dlatego nie działa na mnie już trzeci antybiotyk?

Pojechały razem do punktu konsultacyjno-diagnostycznego. Agata i tak się tam wybierała. Musiała koniecznie zapytać o jeszcze jedną sprawę.

– Czy to możliwe, że ktoś zakaził się HIV, powiedzmy, dwunastego listopada – mówiła powoli, żeby chłopak w żółtym swetrze zrozumiał dokładnie, o co jej chodzi – i nie przekazał tego wirusa komuś, z kim uprawiał seks niecałe dwa tygodnie później? Nawet jeśli mieli kilka stosunków, bez żadnego zabezpieczenia?

– Dwa tygodnie? Możliwe, oczywiście. – Chłopak uśmiechnął się do niej ze zrozumieniem. – Zakładamy, że przekazywanie wirusa kolejnym osobom jest możliwe od pierwszej chwili. Ale w pierwszych dniach po transmisji wirusa może być w organizmie jeszcze niewiele. Na tyle mało, że ryzyko przeniesienia go na następne osoby jest relatywnie niskie. Ale kilka tygodni później… to jest naprawdę krytyczny okres. Miesiąc, dwa po zakażeniu. U niektórych osób zdarzają się wtedy objawy, które szybko mijają. Przeziębienie, jakiś stan zapalny, kiepskie samopoczucie… Nikt nie wiąże tego z HIV. A to właśnie jest moment, gdy wirusa jest w organizmie bardzo, bardzo dużo. Mnoży się błyskawicznie. Seks z człowiekiem w tej fazie jest naprawdę szalenie niebezpieczny.

– Dziękuję. – Agata pokiwała głową.

– Proszę pamiętać, że ryzyko nigdy nie jest stuprocentowe – zawołał za nią chłopak, gdy już była w drzwiach. – Ale zawsze istnieje! Zdarzają się ludzie, u których jeden jedyny stosunek z zakażoną osobą kończy się transmisją wirusa!

Wiedziała o tym. Wiedziała doskonale.

Szła do samochodu, myśląc tylko o jednym: miała ogromne szczęście. Miała cholerne szczęście, że ten internetowy romans był taki szybki i gwałtowny. Że nie czekali dłużej ze spotkaniem. Miała szczęście, że nie wyjechała z nim do Poznania. Że wszystko skończyło się tak szybko.

Hanna chyba nie miała tego szczęścia. Spotkała Grzegorza kilka tygodni później. Przeziębionego i zmarnowanego. W fazie, gdy każdy kontakt wiąże się z bardzo,

bardzo wysokim ryzykiem zakażenia.

Ale może dzięki dzisiejszej rozmowie z Agatą… dzięki temu, że się dowiedziała, co może jej być… Może dla niej też lekarze zdążą jeszcze znaleźć ratunek? Nawet jeśli to faktycznie HIV?

– Jeśli musiałabym iść do szpitala… – Hanna dogoniła ją na parkingu. – Jeśli… no wiesz, coś by się stało… Powiedz, czy weźmiesz do siebie tego kota?

EPILOG

Agata patrzyła przez okno na Marcina, Zuzę i Filipa, sadzących w ogrodzie pierwsze kwiatki tej wiosny. Wyglądali jak prawdziwa rodzina. Nie mogła już sobie wyobrazić swojego domu bez Kropeczki. Nie mogła… choć powtarzała sobie ciągle, że Grzegorz może się obudzić w każdej chwili. I naprawdę miała nadzieję, że tak kiedyś będzie.

Że usiądą i wyjaśnią sobie to, co się wtedy stało.

Że on pojedzie do Hanny z bukietem kwiatów i przeprosi ją za cierpienia, które niechcący spowodował. Że podziękuje jej za oddanie, za odwiedziny w szpitalu. Wiedziała, że Hanna jeździ teraz do niego codziennie. Siedzi przy jego łóżku i czyta mu książki. Chyba nikt tak jak ona nie czekał na jego przebudzenie.

Agata miała nadzieję, naprawdę, że nadejdzie ten dzień. Że wtedy Zuza będzie mogła zadać mu wszystkie pytania, które wciąż czekały na odpowiedź.

A na razie… na razie po prostu dobrze było mieć Kropeczkę przy sobie.

Stara komórka zawibrowała nieoczekiwanie. Agata poczuła, że serce skacze jej do gardła. Kto może dzwonić do Grzegorza? Po tylu miesiącach?

– Halo? – zapytała ostrożnie.

– Dzień dobry, mówi Ewelina Sokół. Czy to numer pana Ratyńskiego?

Ewelina! Ostatnia z niewiadomych. Kobieta, do której dzwonił w dniu wypadku. Ostatnia osoba, z którą rozmawiał.

– Tak. Ale pan Grzegorz nie… nie może teraz podejść. – Czuła, że stąpa po kruchym lodzie.

– Proszę mu przekazać, że wisior czeka na odbiór od prawie sześciu miesięcy. Wygrawerowałam ten napis, tak jak chciał. Wydawało mi się, że mu się śpieszy, chciał go koniecznie mieć na dziewiętnastego października…

Wisior! Ostatnia wielka zagadka!

– Ja go odbiorę – powiedziała szybko. – Pan Grzegorz jest chory. To dlatego nie przyjechał wcześniej. Proszę mi tylko podać adres.

– On zna adres. – Ewelina zaczynała chyba podejrzewać, że coś jest nie tak.

– Nie będę jechała do szpitala, żeby wziąć od niego adres. Proszę mi podać. To

w Poznaniu, tak?

– Dlaczego w Poznaniu? – zdziwiła się kobieta po drugiej stronie. – Mam pracownię w Warszawie. Nie wie pani, że w Poznaniu nikt nie chciał się podjąć grawerowania na takim cienkim i starym stopie metali, do tego nie do końca znając jego skład?

W Warszawie. No tak. A więc dlatego pojechał wtedy do Warszawy…

– Zależało mu na czasie. To miał być prezent na urodziny, jeśli dobrze zrozumiałam. Planował na tego dziewiętnastego jakąś wycieczkę. Widziałam, że mu piekielnie zależy. Nawet dzwonił, godzinę czy dwie po wyjściu z mojej pracowni, żeby się upewnić, czy dotrzymam terminu. Siedziałam więc nad tym po nocy, żeby zdążyć. A potem on wcale się nie odezwał. Przyznaję, byłam wściekła!

Dziewiętnastego października były urodziny Grzegorza. Nie mogła się mylić. Sprawdzali przecież tę datę, Marcin uczył się jej na pamięć, żeby wyciągnąć z biura obsługi klienta PIN do karty z rozbitej komórki. A Hanna… Tak! Hanna mówiła, że chciał ją zaprosić na urodziny i przedstawić Zuzi jako „dobrą znajomą”. Czy naprawdę zamierzał wtedy dać ten wisior Hannie, w podziękowaniu za te wszystkie lata, za wszystkie namiętne poniedziałkowe herbatki?

Tak, chyba musiało być właśnie tak… Chociaż nie bardzo mogła to sobie wyobrazić. Rodzinny wisior, przechodzący z pokolenia na pokolenie, miał nagle trafić do kochanki? Najwyraźniej ta kochanka była dla niego naprawdę bardzo ważna.

– Dzwonił raz czy drugi, ale nie mogłam rzucić lutownicy w środku pracy – opowiadała dalej Ewelina Sokół. – A kiedy oddzwaniałam, nie odbierał. Chciałam już nawet odesłać ten wisior pocztą, ale pan Ratyński tyle razy mi mówił, że to cenna rodzinna pamiątka, więc czekam i czekam…

– Przyjadę po niego jeszcze dzisiaj – obiecała Agata.

Ewelina prychnęła.

– Nie jestem pewna, czy w ogóle powinnam go pani wydać. Czy pani na pewno jest rodziną pana Grzegorza?

– Jestem. Najbliższą, jaką ma – odpowiedziała. – Wychowuję jego córkę.

– Skoro tak… – Kobieta wreszcie dała się przekonać. – Skoro tak, to chyba mogę go pani wydać. Przecież napis, który grawerowałam, brzmi: „Córeczce. Na zawsze. Tata”. To chyba dla niej?

– Oczywiście, że dla niej. – Agata uśmiechnęła się z ulgą. – Wreszcie go dostanie ta, która powinna. Najważniejsza kobieta w jego życiu…

OD AUTORKI

Pisząc tę książkę, chciałam pokazać, że HIV to problem, który dotyczy nas wszystkich. Że my i nasi partnerzy mamy przeszłość, która może nieoczekiwanie zmaterializować się w tej najmniej przyjemnej, śmiertelnie groźnej postaci.

Pomysł na *Córeczkę* przyszedł mi do głowy, kiedy usłyszałam, że w Polsce nawet 50 procent osób zakażonych wirusem HIV nie ma o tym pojęcia. W innych krajach europejskich jest to nie więcej niż 30 procent. Zaczęłam wypytywać, sprawdzać, dlaczego u nas jest z tą świadomością tak źle. Przecież nawet w małych miastach są punkty konsultacyjno-diagnostyczne, gdzie można zrobić test za darmo i całkowicie anonimowo! Ich lista, którą można znaleźć w Internecie, na przykład na stronie www.aids.gov.pl, jest naprawdę długa! Dlaczego więc się nie badamy? Wszyscy, których pytałam, odpowiadali tak samo: Polacy uważają, że ich to nie dotyczy. Że AIDS to choroba narkomanów i gejów. Tymczasem coraz częściej HIV zakażone są osoby heteroseksualne, mające męża czy żonę i zupełnie normalne życie. HIV to wynik spotkania z pierwszą miłością na trzydziestoleciu matury lub skoku w bok na wyjeździe integracyjnym. Nie brakuje tych, którzy żyją z wirusem od pięciu czy dziesięciu lat. Nie zdradzają męża albo żony, a HIV to spadek po poprzednim, dawno zakończonym związku. Zarazili się kiedyś, na studiach czy wyjeździe z przyjaciółmi pod namiot. Nie mają pojęcia o tym, że w ich organizmie tyka bomba – bo nie widzą żadnych powodów, żeby się badać. Są przecież normalnymi ludźmi z normalnym, nieco nawet nudnym życiem seksualnym. HIV i AIDS nie dotyczą takich ludzi jak oni.

Coraz częściej seropozytywne są też osoby w wieku pięćdziesięciu, sześćdziesięciu czy siedemdziesięciu lat. I – tak jak w przypadku Hanny – nawet jeśli mają pierwsze objawy, lekarze nie kojarzą ich z wirusem. Bo przecież emeryci są w powszechnej opinii istotami aseksualnymi!

W Polsce umieralność na AIDS spada wolniej niż w innych krajach – właśnie dlatego, że u wielu osób diagnozę stawia się za późno, przy okazji robienia innych badań albo wtedy, kiedy pojawiają się już objawy choroby. A przecież dziś naprawdę można żyć z wirusem HIV zdrowo i szczęśliwie, przez wiele lat, po prostu biorąc leki. Można urodzić zdrowe dziecko. Uprawiać sport. Można wszystko, pod warunkiem, że

w porę zrobi się test.

Test nie jest wyrokiem. Wyrokiem może być nieświadomość. W dodatku wyrokiem nie tylko dla nas, ale i dla tych, których kochamy.

Jeśli ta książka przekona choćby jedną osobę, by poszła się zbadać, będę szczęśliwa.

Ale to nie jest tylko, ani nawet przede wszystkim, książka o HIV. To książka o miłości. O jej różnych odcieniach. Szalonej, namiętnej miłości wchodzącej w nasze życie taranem. Takiej, jak miłość Grzegorza i Agaty. Mądrej i czasami piekielnie trudnej, takiej jak miłość Agaty i Marcina. Fajny z niego facet, prawda? Niejeden miałby dość… a on to wszystko przetrwał!

To książka o miłości matki do dziecka. Bezwarunkowej i bezgranicznej. Jak ta Agaty do Filipa. Ale także o miłości takiej matki jak ona i takiego dziecka jak Kropeczka. Niespodziewanej, ciężkiej, bez więzów krwi, które ułatwiają wiele spraw.

Od początku Kropeczka była moją ulubioną postacią. Niejednoznaczną, trochę tajemniczą, nieprzewidywalną, burzącą wszelki ład. Zbuntowanym, skrzywdzonym dzieckiem, które po swojemu próbuje ratować rodzinę i znaleźć miłość.

Bo wszystko tak naprawdę zaczyna się od miłości. To ona zmienia nas z Kopciuszka w księżniczkę, bez względu na to, czy mamy lat pięć czy pięćdziesiąt.

Jak to mówi lektor w najpiękniejszej komedii romantycznej świata, czyli *To właśnie miłość*? Chyba jakoś tak:

Ilekroć martwię się sytuacją na świecie, myślę o hali przylotów na lotnisku Heathrow. Ponoć żyjemy w świecie pełnym nienawiści i chciwości, ale ja tego nie widzę. Moim zdaniem miłość jest wszędzie. Czasem niezbyt dostojna, nie dość efektowna, ale jest. Ojcowie i synowie, matki i córki, mężowie i żony, chłopcy, dziewczyny, starzy przyjaciele. Wiadomości od pasażerów samolotów, które uderzyły w World Trade Center, nie wyrażały nienawiści ani chęci zemsty. Wszystkie były wyznaniami miłości. Rozejrzyj się, a zobaczysz, że wszędzie wokół jest miłość.

Love is all around. Wierzę w to gorąco. A więc jest to książka o miłości. Po prostu.

Muszę przyznać, że właśnie z powodu tej miłości miałam przy pisaniu *Córeczki* jeden bardzo poważny zgryz. Chciałam pokazać, że zwykłym ludziom też „przytrafia” się HIV. Że może dopaść każdego. I miałam świadomość, że im bardziej niewinna będzie moja bohaterka, tym więcej osób o tym przekonam. Myślałam więc: a może Agata powinna być kobietą bez żadnej erotycznej przeszłości? Taką, która wyszła za swoją pierwszą miłość. I nie wie nic o tym, że mężowi zdarzył się skok w bok. Mały, nieważny, jednorazowy… przez który obydwoje mają HIV.

Tak chyba powinno to wyglądać, żeby książka przekonała zwyczajne kobiety i zwyczajnych mężczyzn, że też powinni się zbadać i namówić do tego partnera. Powinnam uczynić pierwszoplanową postacią Gochę. Wierną mężowi bez względu na wszystko. Powinnam stworzyć bohaterkę idealną, uprawiającą seks tylko z jednym, jedynym mężczyzną swojego życia.

Ale w dzisiejszym świecie dziewczyny rzadko wychodzą za swoje pierwsze licealne miłości – a chłopcy nie żenią się już z dziewczynami, które ciągnęli za warkocze. Większość z nas ma swoją przeszłość… Często piękną, romantyczną, od której listy skrywamy w głębi szuflady. Często namiętną i niegrzeczną, tak że do dziś się rumienimy, wspominając to, co robiliśmy na polu namiotowym, w fiacie 126p albo przedziale pustawego pociągu osobowego do Tłuszcza. Często namiętność i romantyzm przeplatają się w tej historii z przeszłości, którą nosimy w pamięci.

Chciałam podarować Agacie taką właśnie piękną i namiętną przygodę sprzed lat… Nieoderwaną przecież od rzeczywistości, bo internetowych miłości jest wokół coraz więcej i więcej. I wiele z nich kończy się prawdziwym happy endem. (Aśka! Serdeczne gratulacje z okazji ślubu!!!).

Mam więc nadzieję, że przez ten namiętny romans sprzed lat moja bohaterka nie trafi w głowach czytelników na listę osób, które na HIV „same ciężko zapracowały”, gdzieś między ekscentrycznych artystów urządzających orgie po koncertach a równie ekscentrycznych gejów zmieniających partnerów jak rękawiczki. I że przekona Was, że warto zrobić test. Z miłości do siebie, do swojego partnera, do swoich dzieci.

Strasznie długie to moje „Od autorki”, ale muszę podziękować jeszcze kilku osobom.

Przede wszystkim dwóm fantastycznym kobietom z Fundacji Edukacji Społecznej, Magdzie Ankiersztejn-Bartczak i Agnieszce Góreckiej. To one opowiedziały mi wszystko, co chciałam wiedzieć na temat wirusa HIV, korygowały moje błędy, podpowiadały i zawsze cierpliwie odbierały telefon. Nie do wiary, ile one wiedzą! Znają na pamięć wszystkie statystyki, odkrycia naukowe, mają też ogromną wiedzę o tym, co dzieje się w głowach osób przychodzących do punktów konsultacyjno-diagnostycznych, ogromną empatię, otwartość i życzliwość. Życzę każdemu, żeby robiąc test, spotkał takiego konsultanta jak one.

Dziękuję po stokroć Magdzie Witkiewicz, koleżance niedoli, która w tym samym okresie pisała swoją książkę *Pierwsza na liście*. Wspierała mnie, a ja – mam nadzieję! – ją, każdego dnia. Bez jej rytualnego „Piszesz? Pisz!” i „Nie śpij! Piszemy! Nie zasypiaj, zrób kawę!” niejeden raz nie usiadłabym pewnie do pracy.

Piłyśmy razem tę kawę w środku nocy i jadłyśmy lody w mroźne wieczory – choć dzieliło nas ponad czterysta kilometrów. A wśród tego „Pisz, pisz, ile masz znaków?” rodziła się nasza przyjaźń…

Magda, dziękuję za wszystko! Bez Ciebie chyba tym razem nie skończyłabym na czas. Następną książkę też będziemy pisać razem, prawda?

Dziękuję Małgosi, mojej ukochanej przyjaciółce i nieocenionej pierwszej czytelniczce. Dzięki różnicy czasu między Warszawą a Toronto wysyłałam jej kawałek, idąc spać – i w łóżku, o siódmej rano, odczytywałam na ekranie komórki jej uwagi. Życzę każdemu autorowi takich „czytaczy", na których można testować surowy materiał. Życzliwych, inteligentnych, uważnych, wychwytujących wszystkie nieścisłości, niezgrabności, niekonsekwencje…

Dziękuję też Nataszy, która przeczytała książkę jako druga. Twój entuzjazm dodał mi skrzydeł na ostatnią fazę prac, naprawdę!

Dziękuję Kasi, która jest przy mnie zawsze, od ponad trzydziestu lat. To cudowne mieć przyjaciół, którzy wiedzą o nas wszystko, co najgorsze, i wciąż są obok. Mieć ich wsparcie dla każdego planu, nawet najgłupszego. A gdy plan nie wypali, nie słyszeć od nich: „A nie mówiłam…". Tym razem Kasia powiedziała mi: „Nie pisz o HIV, napisz o czymś wesołym, na przykład o kobiecie, która się rozwodzi". Następnym razem, Kasieńka, będzie wesoło, obiecuję!

Dziękuję też Ewelinie, Ance i Ewie – moim cudownym, zwariowanym Lejdis, z którymi pisanie doktoratu jest czystą przyjemnością, taką samą jak pisanie książki. Ten Korczak i barszcz z uszkami w bufecie to dla Was, na pamiątkę!

Ninie i Julce, których wsparcie i przyjaźń towarzyszą mi od lat i które zawsze czekają na moją nową książkę. Mam nadzieję, że teraz, kiedy skończyłam, wreszcie spotkamy się na kawę.

I Helen, która nie może przeczytać żadnej mojej książki, bo nie zna polskiego – ale i tak bardzo mnie wspiera i wierzy we wszystko, co robię. Thank you very much for all your support, Helen! You are such an inspiration! I hope one day one of my books will be translated into English or Swedish! For you! The sky is the limit, right?

I jeszcze mojej siostrze Koali, która – gdy tylko skończyłam pisać – zaprosiła mnie na weekend regeneracyjny, zabrała na chiński obiad i amerykańską kolację, zapisała do fryzjerki, zajęła się moją córką, pozwoliła się wyspać – i sprawiła, że nabrałam ochoty na pisanie kolejnej książki. Koalciu, obiecuję, że wreszcie stworzę złą kobietę inspirowaną Twoimi najlepszymi cechami!

I wreszcie, jak zawsze, dziękuję Hance, która niestety nie wypije ze mną już żadnej kawy, zagryzanej kaparami prosto ze słoiczka… Każda moja książka jest też dla Ciebie. Dziękuję Ci za wszystko.

Dziękuję też genialnej trójce z Wydawnictwa Filia: Oldze, Marysi i Mateuszowi. Za to, że namówili mnie na targach książki dziecięcej do napisania czegoś dorosłego i niegrzecznego. Że z radością przyjmowali zmiany pomysłów i terminów. Oraz moje paskudne marudzenie w sprawie okładki. Wyszła pięknie, prawda? Dziękuję, Olga!

Muszę też koniecznie podziękować osobom, które mnie inspirowały przy tworzeniu

fabuły, wymyślaniu postaci i zwrotów akcji. Piotrowi i Mai, od których wszystko się zaczęło – nigdy Was nie zapomnę! Jerzemu – Ty wiesz, że twoje *O północy w Paryżu* pozwoliło się spotkać Agacie i Grzegorzowi, prawda? I jeszcze Ewie i Bartkowi – dawno się nie widzieliśmy, ale wiem, że jesteście najlepszym przykładem tego, że początek jeszcze bardziej ekspresowy i szalony niż u Agaty i Grzegorza może prowadzić do bardzo szczęśliwego małżeństwa i trójki fantastycznych dzieciaków.

I wreszcie, tradycyjnie, jak zawsze, dziękuję dwóm osobom, dzięki którym moje pisanie jest w ogóle możliwe. Mojej cudownej mamie, Marylce, i mojemu Tomkowi.

Marylko, jesteś aniołem. Nie mam pojęcia, jakim cudem ze mną wytrzymujesz, nadążasz za moimi pomysłami i wciąż się uśmiechasz, i wciąż jesteś ode mnie kreatywniejsza, młodsza i bardziej szalona. Nie poradziłabym sobie bez Ciebie!

Tomku, powiedziałeś mi wczoraj: „Nie dziękuj mi w dedykacji. Wolę mieć porządek w domu niż podziękowania w książce”. Ale ja dziękuję. Także za to, że utrzymujesz ten porządek mimo kłód, które rzucam Ci pod nogi w postaci ton książek, gazet, zapisanych kartek leżących po prostu wszędzie… Oraz za jajecznicę, serek ze szczypiorkiem, kilogram gorgonzoli, steki z gumy do żucia, list od Franka Underwooda, zdjęcia skrzynek pocztowych i drapanie szyb o siódmej rano. *Love is all around.*… trzeba tylko ją zobaczyć.

SPIS TREŚCI

Okładka
Karta tytułowa
ROZDZIAŁ 1: FOREMKA Z PROSIACZKIEM
ROZDZIAŁ 2: TYLKO JEDEN SŁOIK
ROZDZIAŁ 3: NOWOROCZNE POSTANOWIENIA
ROZDZIAŁ 4: KRÓLEWNA ŚNIEŻKA
ROZDZIAŁ 5: URODZINY
ROZDZIAŁ 6: ZLIKWIDOWAĆ MAŁEGO
ROZDZIAŁ 7: TAMTO STARE ZDJĘCIE
ROZDZIAŁ 8: NIE SZUKAJ MNIE
ROZDZIAŁ 9: MAGDUSIA27
ROZDZIAŁ 10: ZADZWOŃ DO MNIE!
ROZDZIAŁ 11: NIE WIEM NIC WIĘCEJ
ROZDZIAŁ 12: NA HAMAKU, WŚRÓD PALM
ROZDZIAŁ 13: CZERWONY KABRIOLET
ROZDZIAŁ 14: BARDZO MAŁA INFEKCJA
ROZDZIAŁ 15: PIERŚCIONEK I OBRĄCZKA
ROZDZIAŁ 16: NARESZCIE
ROZDZIAŁ 17: BAMBINO
ROZDZIAŁ 18: KOCI OGON
ROZDZIAŁ 19: PIĘĆ DŁUGICH DNI
ROZDZIAŁ 20: AJLAWJU
ROZDZIAŁ 21: CZERWONA KOPERTA
ROZDZIAŁ 22: JAK KOT
ROZDZIAŁ 23: FURIA

ROZDZIAŁ 24: NASZYJNIK Z ZIELONYM OCZKIEM
ROZDZIAŁ 25: CZAPKA Z POMPONEM
ROZDZIAŁ 26: PYTANIA BADAWCZE
ROZDZIAŁ 27: HERBATKA, JAK TO W PONIEDZIAŁEK
ROZDZIAŁ 28: KANARKÓW CZTERNAŚCIE
ROZDZIAŁ 29: J.W.
ROZDZIAŁ 30: ZAŚWIADCZENIE
ROZDZIAŁ 31: ZAPACH FAJKI
ROZDZIAŁ 32: ŚNIEŻYCA
ROZDZIAŁ 33: BRAKUJĄCY NUMER
ROZDZIAŁ 34: TRZYNASTEGO W PIĄTEK
ROZDZIAŁ 35: TULIPANY
ROZDZIAŁ 36: OSTATNIE PYTANIE
EPILOG
OD AUTORKI
Kampania Krajowego Centrum ds. AIDS
Karta redakcyjna

Kampania Krajowego Centrum ds. AIDS pt.
Jeden test. Dwa życia. Zrób test na HIV. Dla siebie i swojego dziecka™

Krajowe Centrum ds. AIDS, agenda Ministra Zdrowia, jest organizatorem ogólnopolskiej kampanii edukacyjnej pt. *Jeden test. Dwa życia. Zrób test na HIV. Dla siebie i swojego dziecka™*.

Przekaz tej kampanii społecznej kierowany jest do kobiet w wieku prokreacyjnym, które nie odnoszą ryzyka zakażenia HIV do siebie, a także do tych lekarzy ginekologów, którzy niechętnie kierują swoje pacjentki na badania w kierunku HIV. Kampania przypomina, że lekarz ma obowiązek zaproponować pacjentce będącej w ciąży badanie w kierunku HIV. **Test powinien zostać wykonany przed 10. tygodniem ciąży oraz między 33. a 37. tygodniem.**

Celem kampanii jest zmniejszenie liczby zakażeń HIV wśród nowo narodzonych dzieci oraz zwiększenie świadomości dotyczącej testowania w kierunku HIV wśród osób dorosłych. Wiele osób niesłusznie uważa, że problem HIV ich nie dotyczy, przez co o swoim zakażeniu dowiadują się zbyt późno, nawet w fazie AIDS. W naszym kraju rodzą się również dzieci zakażone tym groźnym wirusem. Można temu jednak zapobiec – wystarczy jedynie, żeby przyszła mama wykonała w czasie ciąży test w kierunku HIV i poddała się odpowiedniemu leczeniu, gdyby jego wynik okazał się pozytywny. **Dzięki wykonaniu badania diagnostycznego w kierunku HIV kobiety ratują nie tylko swoje życie, lecz także dają szansę na zdrowe życie swoim dzieciom.**

Test na HIV powinna jednak wykonać nie tylko przyszła mama, lecz także przyszły tata. Ojciec dziecka może wykonać test anonimowo, bezpłatnie i bez skierowania w jednym z punktów konsultacyjno-diagnostycznych (adresy punktów można znaleźć na stronie internetowej Krajowego Centrum ds. AIDS www.aids.gov.pl).

Kampania została objęta patronatem honorowym przez: Ministra Zdrowia, Głównego Inspektora Sanitarnego, Polskie Towarzystwo Naukowe AIDS, Konsultanta krajowego w dziedzinie położnictwa i ginekologii oraz Konsultanta krajowego w dziedzinie perinatologii. Jednym z partnerów kampanii jest Fundacja Rodzić po Ludzku.
Dodatkowe informacje znajdują się na stronie kampanii: www.aids.gov.pl/kampanie/1test.2zycia/

Krajowe Centrum ds. AIDS
Agenda Ministra Zdrowia

JEDEN TEST
DWA ŻYCIA™

Copyright © by Liliana Fabisińska, 2014
Copyright © by Wydawnictwo Termedia, 2015

Wszelkie prawa zastrzeżone

Żaden z fragmentów tej książki nie może być publikowany
w jakiejkolwiek formie bez wcześniejszej pisemnej zgody Wydawcy.
Dotyczy to także fotokopii i mikrofilmów oraz rozpowszechniania
za pośrednictwem nośników elektronicznych.

Wydanie I, Poznań 2015

Projekt okładki: Olga Reszelska
Zdjęcie na okładce: Carol Yepes / Getty Images

Redakcja: Karolina Kaczmarek, Editio
Korekta: Natalia Olszańska, Editio

eISBN: 978-83-7988-414-8

Wydawnictwo Filia
grupa Termedia sp. z o.o.
ul. Kleeberga 8
61-615 Poznań
www.wydawnictwofilia.pl

Wszelkie pytania prosimy kierować na adres:
czytelnicy@wydawnictwofilia.pl

Dołącz do nas na Facebooku!

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej:
DARKHART
Dariusz Nowacki
darkhart@wp.pl

CÓRECZKA

Kochanek sprzed lat
Obietnica złożona małej dziewczynce
Sekret, który może kosztować życie wielu ludzi

Liliana Fabisińska